

Paweł Kornew

Śliski

Tom 2

Przełożył Rafał Dębski

fabrykałów

2008

Pamięci Aleksandra Anatoliewicza Izmajłowa

*Mogę nazwać cię lodem
Ale nie o to wszak chodzi
Które z nas bardziej chłodzi*

„Piknik”

*Drugie moje imię pustkę przypomina
A zwą mnie troska
Ono jest jak gołoledź
Jak pięciodniowy deszcz
Jak lufa przy skroni*

„Fort Royal”

Część druga

PRZEBOJEM!

*Nie ja wyznaczyłem dla siebie tę rolę
Hasło znam, choć szans nie mam za grosz
Szczęście złudą jest, lecz sobie pozwolę
Znać odpowiedź, którą niesie mi los.
Tak to bywa...*

„Fort Royal”

ROZDZIAŁ 7

Obudziłem się rano, wysmyknąłem spod kołdry i starając się nie hałasować, poszedłem do łazienki. Wyprane wczoraj rzeczy zdążyły już przeschnąć, więc przynajmniej z tym nie miałem problemu. Szybko założyłem ubranie, wróciłem do pokoju i delikatnie potrząsnąłem Wierę za ramię. Wymamrotała coś, ale nie obudziła się. Potrząsnąłem mocniej.

- Już czas? - Zamrugła nieprzytomnymi oczami.

- Jeszcze wcześniej. Zamknij za mną drzwi.

- Dokąd idziesz? - Wiera spojrzała na stojący na szafce nocnej zegar. - Dopiero ósma.

- Lecę coś załatwić i zaraz wracam.

- Musisz koniecznie? - Odrzuciła kołdrę, sięgnęła po podomkę. - Mógłbyś zostać.

- Ja szybciotko. - Zawahałem się, patrząc na jej zgrabną sylwetkę, ale niektóre sprawy nie mogły czekać.

- Trudno. Chodźmy. Zamknę i jeszcze się prześpię. - Objęła mnie za szyję, pocałowała w policzek. - Na pewno wrócisz?

- Na pewno.

- W takim razie przygotuję śniadanie. - Zamknęła za mną drzwi, szcęknęła zamkiem.

Zbiegłem po schodach, wyskoczyłem na zewnątrz i skuliłem się od porannego chłodu. Rzeško. Na niebie ani jednej chmurki, czyli dzień zapowiadał się gorący. To bardzo dobrze: na deszcz w ogóle nie chce się wychodzić, a tym bardziej w rajd. Już lepiej dostać porażenia słonecznego. Porażenia! Trzy razy „cha”! Nie, no oczywiście, po minus czterdziestu takie plus dwadzieścia wydawać się może upałem, ale wiatr i tak był zimnawy. Jak zaduje - to się czuje. Nie poleży człowiek na plaży, choć ochota by się znalazła.

Wczesnym rankiem Fort budził się ze snu. Nie widać jeszcze było natrętnych sztajmesów, kurew i innych szumowin, które wypełzają na ulicę w każdy letni dzień. O takiej porze oczy przecierają tylko dozorczy, uliczni handlarze i różni roznosiciele. Dosypiają jeszcze, ile się da, robotnicy i urzędnicy, o ile - rzecz jasna - nie pracowali na nocną zmianę. A właśnie nocna warta Drużyny robi ostatnie kilometry przed powrotem na komendę, Postanowiłem nigdzie

się nie spieszyć, ale zrobić sobie spacer dla przyjemności. Cudownie! Gdy ulice są puste, można prawie uwierzyć, że to normalny świat.

W oddali pojawił się i od razu skręcił w następną przecnicę konny patrol Drużyny. Porządku niby pilnują, darmozjady. Ech, coś się dzisiaj rozkojarzyłem. Zapomniałem, że teraz sam jestem jednym z tych darmozjadów. W Patrolu robiłem chociaż coś pożytecznego.

O! A tam ktoś pracuje - zaraz za skrzyżowaniem cechowi pod nadzorem oddziału zbrojnych wnosili do sklepu na parterze domu mieszkalnego przywiezione na dwóch furmankach pudła od telewizorów. Przesadziłem jednak trochę z tym, że Fort jeszcze śpi.

Nad dachami domów pojawiły się złote kopuły cerkwi. Przystanąłem, zapatrzyłem się - zejść? Oczywiście, nie na spowiedź. Zbyt wiele grzechów się nazbierało, żeby tak z marszu je wyznać. Świeczkę bym po prostu postawił.

„Trzy świece za spokojność, jedną za zdrowie”... Skąd to cytat? Nie pamiętam. Ale myśl była cenna.

Dawniej przed każdym rajdem zachodziłem do cerkwi. Tylko ostatnim razem jakoś się nie złożyło. A gdybym zaszedł, może wszystko potoczyłoby się inaczej? A może i nie... Anioły stróże nie pracują na zlecenie.

Uznałem, że mam jeszcze trochę czasu, skręciłem więc do świątyni. Furtka w płocie okazała się otwarta, wszedłem do środka, przeżegnałem się i zatrzymałem przed cerkiewnym kioskiem, sięgnąłem do kieszeni. Mam jakieś pieniądze? Coś tam zadzwoniło. A w kieszeni pusto. Dziwne. Aha, dziura! To nawet dobrze, inaczej i to bym przepuścił.

Wydobyłem spomiędzy materiału a podszewki złote łuseczki, kupiłem za jedną świeczki i wszedłem do cerkwi. Cisza. Półmrok. Lekki zapach kadzidła i dymu świec. Ani parafian, ani kapłana, tylko twarze świętych na ikonach. Dziwnie tutaj. I spokojnie. Można postać, pomyśleć, pomodlić się, zapomnieć chociaż na chwilę o codziennej krzątaninie. Można, pewnie. Ale czas nie stoi w miejscu.

Zapaliłem świeczki, podniosłem w górę, postawiłem obok dogasających ogarków pod jedną z ikon, wymamrotałem znane z dzieciństwa modlitwy, przeżegnałem się i wyszedłem. Czy zrobiło mi się od tego lżej? Sam nie wiedziałem.

A teraz powinienem zasuwać jak najszybciej do Kiryła. To wprawdzie niedaleko, ale nie zostało zbyt wiele czasu.

A Kirył nie otwierał. Kiedy już wyżyłem się na jego Bogu ducha winnych drzwiach, usiadłem na schodach i obejrzałem srebrne nakładki na czubkach butów. Nawet się nie obluźowały, chociaż przypieprzyłem solidnie. Kopnąć jeszcze parę razy, czy co? Może Kirył śpi? Albo nie ma go w domu? Ale gdzie by mógł poleżeć tak wcześnie? Wstałem z zamiarem

odejścia, kiedy zazgrzytały zasuwamy i drzwi powoli uchyliły się tylko na tyle, żeby gospodarz mógł wysunąć głowę.

- Czego chcesz? - skrzywił się z niezadowoleniem, ziewnął szeroko.

- Został ci jeszcze bimber na cedrowych orzeszkach?

- Chybaście całkiem ocipieli. Najpierw Sielin, teraz ty.

- Chciałbym tylko trochę do butelki - wyjaśniłem. - Idę w rajd.

- W rajd? - zamyślił się Kirył. - W takim razie dawaj flachę.

- Nie poczęstujesz nawet herbatą? - podałem mu naczynie.

- Wiesz, cholera, która jest godzina? - oburzył się. - Pewnie, że wiesz. Tylko, że dla ciebie, łajdaku, obudzić mnie to żadna sprawa.

Przymknął drzwi, poszedł w głąb mieszkania, ale z zasuwami nie kombinował.

Po jakichś pięciu minutach otworzył, zwrócił mi pełną butelkę.

- Wszystko? - spytał mało przyjaźnie. - A może dać ci jeszcze na drogę trochę kiełbasy?

- Kiełbasy nie trzeba. - Schowałem samogon do wewnętrznej kieszeni. - Powiedz mi lepiej coś o Czarci Wyrwie. Co to jest i gdzie się znajduje?

- A co ja jestem informacja turystyczna? - oburzył się Kirył.

Wcale mu się nie dziwiłem.

- Będę wdzięczny.

- To porzucona kopalnia na Granicy Fortu, Miasta i Mglatego - zmiłował się nade mną. - Niedaleko od Sokołowskiego. To taki chutor za Świerkowym.

- Znam go. A na którym terytorium leży Wyrwa? Mglatego czy Miasta?

- Mglatego.

- Co tam jest?

- Może ci od razu wykład zrobić? - Kirył z trudem powstrzymał się, żeby nie rzucić macią. - Daj mi pospać, co?

- Ale tak w dwóch słowach...

- W dwóch słowach? Im niżej, tym zimniej. O! To już były cztery. Spora nadwyżka.

- A dalej?

- Poniżej trzystu metrów nikt nie zląził. Wszystko.

Zaspokoilem twoją ciekawość?

- Dzięki serdeczne, bardzo mi pomogłeś. - Zacząłem schodzić na dół, ale odwróciłem się.

- A co z Sielinem?

- Przyjaciółka wywaliła go z chałupy. - Kirył cichutko zamknął drzwi.

Czarcia Wyrwa. To taka z nią historia. Ciekawe, co tam jest na dole? Ciekawe? A niech to

„ciekawe” leży tam sobie jeszcze sto lat! Nie chcę tego nawet w prezencie. Mam inne, bardziej palące problemy.

Na przykład powinienem szybciej przebierać kulasami. Dochodziła dziewiąta, a musimy jeszcze dotrzeć do posterunku przy bramie. I nie tylko zwyczajnie dojść, ale wziąć ze sobą kupę sprzętu. A mnie, niech to szlag, po wczorajszym w krzyżu jeszcze łamie. I żebra bołą, i ogon gotów zaraz odpaść.

Do koszar dotarłem zadyszany, a jeszcze gruby wartownik wyglądał się i nie chciał mnie wpuścić do środka. Pokazałem mu nawet odznakę, a ten swoje. Ledwo go przegadałem. Pokraka. W ogóle dookoła same pokraki. A tak się ten dzień pięknie zaczął. Kurde mol, co się jeszcze zdarzy do wieczora?

Wiera otworzyła drzwi gotowa już do drogi, z żalem więc musiałem pożegnać się ze śniadaniem. Jedno mnie ucieszyło: zdążyła przebrać zasoby plecaka i teraz był ze trzy razy mniejszy. Co też takiego taszczyła z arsenału do domu?

Zarzuciłem bagaż, chwyciłem karabin, zacząłem powoli schodzić. Wiera z karabinem wyborowym i moją torbą szła za mną lekkim krokiem. Ileż ludzie mają energii! Sam ledwie powłóczyłem nogami, a ona zdawała się polatywać.

Skręciwszy w Aleję Topolową, poszliśmy w kierunku Prospektu Tierieszkowej. Nie powinniśmy się spóźnić.

Ludzi na ulicach wyraźnie przybywało, czułem na sobie zaciekawione spojrzenia. Co u nas za naród? Jak jesteś cieciem, to zamiataj śmieci, a nie gap się na innych. Jesteś przekupniem? To rozstawiaj towar na straganie, a nie oglądaj się za przechodniami. Murarze, żołnierze, malarze, jacyś doginacze, najwyższy czas zająć się swoją robotą! A możeście baby w kamuflażce nie widzieli? Widzieliście i to nieraz. Pracować się po prostu nie chce. Tylko robotnicy z miejskiego krematorium, przejeżdżający obok na municypalnym karawanie, nie zwrócili na nas uwagi. Zuchy. Żeby wam tak pensje podnieśli.

Słońce zaczęło już przypiekać, kiedy wyszliśmy na Prospekt Tierieszkowej i mijaliśmy skrzyżowanie z Bulwarem Południowym. Dobrze mi się zdawało, że będzie dzisiaj gorąco. Z kolei nocą przemarzniemy. W takich różnicach temperatur nigdy nie mogłem znaleźć nic pozytywnego. Jak jest upał to niech będzie upał, ale zimna lepiej nie. Niech już grzeje. Palące słońce, ciepłe morze, gorący piach. A chłodne to jest dobre tylko piwo.

- Mleko - przeczytała Wiera na stojącej w cieniu beczce i trąciła mnie w bok, nie pozwalając przysnąć w marszu. - Faktycznie tu mleko sprzedają?

- A niby co? - burknąłem, spojrzawszy na długą kolejkę.

- W Forcie są krowy?

- A po co? Przywieźli z jakiegoś chutoru - wyjaśniłem. - A mogli też po prostu z Lukowa.

- Napiałabym się takiego prosto od krowy - rozmarzyła się dziewczyna.

- Ja jestem chłopak z miasta i zupełnie nie rozumiem waszych wiejskich obyczajów - uśmiechnąłem się i odwróciłem szybko. Coś przyciągnęło moją uwagę.

Kolejka, wkurzona sprzedawczyni, zblazowany drużynnik, błogo taplający się w kałużę ćpun i drugi przyklejony do płotu. Nie to. Sprzedający pierożki kulawy staruszek, Chińczyk oferujący różne drobiazgi rozłożone na ziemi, przyglądający mu się ponuro chłopak w kurtce z wyszytym kołem zębatym. Też nie to.

Uspokoilem się nieco, ale w tym momencie zobaczyłem stojącego nieopodal beczki starszego mężczyznę, którego twarz w promieniach porannego słońca wydawała się cokolwiek niebieskawa. Od razu widać, że przyjezdny: krótka kurtka z futrem na zewnątrz, przy pasie długi tasak, wysokie buty. Z szyi zwisał mu na grubym łańcuchu amulet w kształcie wpisanej w okrąg ośmioramiennej gwiazdy. Nie, to nie o niego chodziło.

Czyżby mi się przywidziało? Ale przecież poczułem na sobie wyraźnie czyjeś spojrzenie.

Jest! Opalony gość kuczał, zawiązując sznurówkę. Jak mu tam? Kosta? Przypadkiem się ten komunard tutaj napatoczył, czy celowo?

Kosta zawiązał but i nie patrząc w moją stronę, ustawił się w kolejce.

- Co z tobą, śpisz? - Wiera pociągnęła mnie za rękaw. - Chodźmy.

- Tak - zgodziłem się - chodźmy.

Czego mógłby chcieć komunard? A może to faktycznie przypadkowe spotkanie? Już to widzę! Prędzej rak zacznie śpiewać niż ten gość kupi z samego rana mleko. Miałem nadzieję, że nie natknę się na nikogo więcej z jego organizacji.

Doszliśmy do końca prospektu i skręciliśmy w stronę punktu kontrolnego, kiedy doleciał nas ryk tłumu. Od czasu do czasu rozlegały się głośniejsze niewyraźne okrzyki i szczekanie głośników. Mityng jakiś, czy co?

- Ej, panie szanowny, co się dzieje? - zawołałem do chłopca pchającego przed sobą wózek z pudłem od lodówki. Machnął tylko ręką i zaklął paskudnie.

Postanowiłem dać sobie z nim spokój, poprawiłem wrzynające się w ramiona paski plecaka i przyspieszyłem kroku. Zaraz sami wszystko sobie obejrzymy, do posterunku zostało ze sto pięćdziesiąt metrów. Zobaczymy od razu, czy dowództwo jest już na miejscu. Ale sytuacja zaczęła się wyjaśniać wcześniej niż myślałem.

Na rogu stało dziesięciu żołnierzy sił prewencyjnych komendantury w pełnym rynsztunku - hełmach z podniesionymi na razie zasłonami, kamizelkach kuloodpornych, z wysokimi tarczami o wizjerach ze szkła pancernego, pałkami teleskopowymi, różdżkami „Łzawiacza” i

„Zapomnienia”, krótkimi pistoletami maszynowymi.

Po drugiej stronie ulicy na chodniku zaparkował autobus Drużyny z oknami zabezpieczonymi płytami sklejk. Dookoła pojazdu wymalowano niebieski pas. Dwóch funkcjonariuszy dla zabicia czasu obszukiwało pijanego czy też naćpanego faceta. Ten kręcił głową z tępym wyrazem twarzy i nijak nie mógł zrozumieć, czego od niego chcą.

- Co się dzieje? - spytała zaniepokojona Wiera.

- Zaraz sami zobaczymy - westchnąłem ciężko, czując, że nic dobrego nas z przodu nie czeka.

Rzeczywiście - sfłoczeni na placu rozciągającym się między budynkiem komendantury a punktem kontrolnym zaliczali się do kategorii istot, o których śmiało można powiedzieć: „Oby oczy moje nigdy tego nie ujrzały”.

Długa kolejka oczekujących na wyjście z Fortu zajmowała przestrzeń po prawej stronie, szczęśliwcy, którzy zdołali wejść do środka przemykali po lewej, a na środku żołnierze Drużyny i Garnizonu pilnowali grupy dwustu, może nawet trzystu ludzi. A dokładniej nie tyle ludzi, co odmieńców. Od razu rzucały się w oczy powykrzywiane sylwetki, okaleczone twarze, nienaturalnie kanciaste ruchy, sączące się ropniaki, powykręcane stawy i kończyny. Na dodatek skandowali hasła: „My też jesteśmy ludźmi!”, „Pozwólcie nam żyć!”, „Nie jesteśmy niczemu winni!”. Oprócz tego nad tłumem powiewały kartki z napisami w rodzaju: „Nie rujnujcie naszego domu”, „Nasz dom naszym życiem” czy „NIE dla ludobójstwa”.

Zgromadzonych otaczały z trzech stron żelazne płotki, zrobiono jedynie przejście dla tych, którzy opuszczali plac w stronę Prospektu Tierieszkowej. Z całą pewnością odmieńcy mogliby bez trudu roznieść w drobny mak takie zabezpieczenie, ale zaraz za nim stały szeregi drużynników i żołnierzy Garnizonu, którzy tylko czekali na pretekst, aby wejść do akcji.

- Rozejdźcie się! Wzywam was do natychmiastowego rozejścia! - dudnił monotonicznie przez megafon stojący na balkonie oficer. - Manifestacja została zorganizowana bez zgody Rady Miejskiej i uniemożliwia normalny ruch. Rozejdźcie się, inaczej zostaniemy zmuszeni do użycia radykalnych środków.

Radykalne środki to rzecz bardzo prosta. A najpewniejszy środek, znajdujący się w dyspozycji sił porządkowych, to stare, dobre pałowanie. Większość zgromadzonych wojaków już miała ochotę z niego skorzystać, a szczególnie ci z pierwszych rzędów.

Tłum odpowiedział na wezwanie gwizdami. Najpierw spontanicznie, a potem w jednym rytmie odmieńcy zaczęli skandować: „Zostawcie nas w spokoju!”, „Zostawcie nas w spokoju!”, „Zostawcie nas w spokoju!”.

- Musimy się dostać do bramy. - Pokazałem blachę stojącemu na końcu szeregu

młodszemu dowódcy Drużyny i natychmiast podskoczył do nas ubrany w poszarpane palto odmieniec.

- ZOSTAWCIE! - zaryczał mi prosto w twarz. Skrzywiłem się, kiedy owionął mnie cuchnący oddech, wolną ręką lekko trąciłem go w przerośniętą szczękę, a ten zaraz zwałił się na ziemię.

- NAS!

- Przechodźcie szybciej - pociągnął mnie za rękaw drużynnik. Zaczęliśmy się przebijać przez kolejkę w stronę wyjścia z miasta.

- W SPOKOJU!

Dotarliśmy tuż przed wejście na punkt kontrolny.

- ZOSTAWCIE!

Rozejrzałem się, przytrzymałem Wierę, która chciała się przebić ku schodkom.

- NAS!

- Czemu go uderzyłeś? - Dziewczyna przełożyła torbę do drugiej ręki.

- A co, miałem może gościa pocałować? - Teraz zobaczyłem, dlaczego zrobiła się taka wielka kolejka. Wpuszczali tylko troje ludzi naraz i to jeszcze w punkcie, w którym odprawia się tylko z ręcznym bagażem. Co w takim razie musiało dziać się na bramie?

- W SPOKOJU!

Trzeba znaleźć naszych i razem się zebrać. Tym bardziej że wszystkie potrzebne dokumenty miał Grisza.

- ZOSTAWCIE!

Żelazne drzwi uchyliły się, ale mężczyznę, który chciał wejść, wypchnięto z powrotem.

O! Znałem doskonale tę łysinę!

- W SPOKOJU!

Napalm wyjrzał zza drzwi, odszukał nas wzrokiem i zmachał rękami. Zabrałem Wierze torbę i przedzierając się przez ściśniętych ludzi, zacząłem przebijać się do wyjścia. Z boku, nie przebijając w środkach, przedzierali się także Pierwszy i Drugi.

- ZOSTAWCIE!

Spotkaliśmy się na ganku, razem wtargnęliśmy do wartowni. Żelazne drzwi zatrzasnęły się ze zgrzytem i wrzaski od razu ucichły. Pewnie, że nie całkiem, ale teraz można było przynajmniej nie obawiać się popękania bębenków.

- To wasi? - spytał stojący przy wejściu inspektor przyglądającego nam się Chana.

- Nasi.

- Wszyscy już? - Inspektor postawił cztery ptaszki w notesie.

- Wszyscy.

- Czerwony sektor. Poczekalnia. - Urzędnik podrapał się ołówkiem w nasadę nosa, westchnął, a potem rozkazał czekającemu przy wejściu szeregowcowi. - Za minutę wpuścisz następnych.

Stojący po obu stronach drzwi wyjściowych żołnierze nawet nie drgnęli, kiedy głośno szczerknął elektromagnetyczny zamek, a my zaczęliśmy przechodzić obok nich. Mogliby chociaż drzwi przytrzymać, nieroby.

W niewielkim pomieszczeniu już nas oczekiwano.

Dowódca warty sprawdził zapiski, poczekał na kiwnięcie głowy oddelegowanego na posterunek czarownika, zażądał, byśmy podpisali się w dzienniku i kazał nas przepuścić. Czekający po drugiej stronie kraty szeregowiec zgrzytnął zasuwą, otwierając nam wyjście na schody.

Co to takiego ten czerwony sektor? W życiu tam nie byłem.

- Napalm, nie wiesz przypadkiem, dlaczego odmieńcy tak się zbiesili? - spytałem, kiedy wchodziliśmy na piętro. Powinna być jakaś tego przyczyna, i to poważna. Przecież nie zaczęli nagle ni z tego, ni z owego podskakiwać z powodu kaca albo na haju. To była starannie przygotowana akcja.

- Liga zaproponowała, żeby ich wysiedlić z Czarnego Kwadratu. - Lekko skaczący po schodach piromanta wyprzedził nas i zatrzymał się na półpiętrze.

- Dokąd? - Wiera próbowała odebrać mi torbę, ale nie puściłem.

- Nieważne dokąd, byle dalej od Fortu. - Napalm zauważył próby dziewczyny, wyciągnął ku mnie rękę, Siostrzyczki mają chrapkę na ten teren.

- Po co im to? Mało miejsca w Forcie? - Podałem mu torbę. - Nawet w ich rewirze pełno jest pustych domów.

- Tyle że tamte budynki trzeba by wyremontować. - Piromanta przepuścił Chana przodem. - A w Getcie wszystko gotowe. Jest infrastruktura jak należy, w tydzień można doprowadzić do normy sprawy obronności.

- Ale jakim prawem chcą wygnać tych nieszczęśników? - rozgniewała się Wiera. - To nieludzkie.

- Przecież to nie ludzie tylko odmieńcy - zaśmiał się Pierwszy i od razu oberwał łokciem pod żebra od Drugiego.

- Są takimi samymi ludźmi, jak my!

- Wczoraj znów gdzieś podłożyli bombę, elementy antyspołeczne, więc padła właśnie taka propozycja.

Napalm nie zwrócił uwagi na polityczną poprawnie wypowiedź Wiery.

- Liga nie popuści. Mówią, że siostry omawiają jakiś nowy projekt, zezwoliły nawet na małżeństwa nowicjuszek. W dodatku formują oddział z mężczyzn najemników.

- Jednego nie mogę pojąć: jak udało im się przeniknąć z Getta aż tutaj? - Wszedłem zaraz za Chanem do jednego z pokoi. - Tam przecież kwarantanna, a przyłazło ich ze dwustu albo lepiej.

- Mówisz o odmieńcach? Rozwalili mur w dwóch miejscach. I tak dobrą połowę porządkowi zdążyli zatrzymać na Bulwarze Południowym - odpowiedział Grigorij. Siedział na stosie drewnianych skrzynek, obracając w dłoniach okazały tasak. Obok niego stało kilka pudeł z grubego kartonu.

Zrzuciłem plecak na podłogę, z rozkoszą wyprostowałem się. Ufff. Aż chrupnęło mi w krzyżu. Niezbyt ciężki bagaż, a jak w kościach łamie. I piersi znów zaczęły boleć.

Tak, odmieńcy wszystko przewidzieli. Teraz o możliwych skutkach ich wysiedlenia zacznie myśleć i Związek Handlowy - tyle towarów czeka na wjazd przed bramą! - i Drużyna, dla której takie incydenty są jak rżnięcie brzeszczotem po jajach. Problem tylko w tym, czy władze nie uznają jednak, że dobrze by było rozwiązać sprawę raz na zawsze. Może to przyjdzie do głowy ojcom miasta, biorąc pod uwagę serię wybuchów. Chirurgia radykalna zakłada, że jeśli boli głowa, trzeba ją odciąć. Wszyscy powinni pamiętać, iż ten rodzaj zabiegów nigdy nie był obcy wojewodzie. Jest wszak baza techniczna krematorium może pracować okrągłą dobę.

- Do dzieła. - Grigorij końcem noża rozpruł karton. - Biercie żelazne racje i idziemy.

Żelazne racje - to bardzo dobrze. To znaczy, że nie wychodzimy z Fortu na jeden dzień. Będę miał czas zmyć się po cichu. Czego jak czego, ale powrotu w planach absolutnie nie miałem. Kto by zresztą chciał wracać, wiedząc, że ma na niego zlecenie sam Leszy? Trzeba by mieć źle w głowie. Im prędzej wyjdę za mury, tym lepiej. Już w drodze do punktu przejściowego mało nie osiwiiałem.

Koniecznien, koniecznien muszę spieprzać z Fortu! Na szczęście to już sprawa najbliższej przyszłości. Wszyscy dotarli, nikt się nie spóźnił. Rzekłbym nawet, że zgromadziliśmy się w nadmiarze. Do oddziału zamierzał się najwyraźniej przyłączyć ten sam typ, który dwa dni wcześniej upolował mnie razem z Piegowatym i Liniewem.

- Wychodziłeś wczoraj ostatni z bazy? - Grigorij postawił na podłodze otwarte pudło z puszkami tuszonki i podszedł do mnie.

- Wszedłem razem z Wierą, a Ilja jeszcze został.

- A co?

- Nikt się nie pętał w pobliżu? - Grisza wskazał drzwi, wyszliśmy na korytarz.

- Na pewno nie. Coś się stało?

- Było włamanie. Ilja oberwał w nogę „łowianą osą”, teraz obija gruchy kijem w miejskiej klinice.

- Kto się włamał? - Oparłem się o ścianę. Skoro Liniew żył, to oznaczało, że napastnicy wręcz przeciwnie. W takich sprawach trzeciego wyjścia nie ma.

- Kto by ich tam teraz rozpoznał. Jednemu Ilja odstrzelił łeb ze śrutówki, drugiego spaliło pole ochronne. Ale chłopaki znali się na robocie. Profesjoniści. Zewnętrzny system wyłączyli w dwie sekundy. Ale to tylko między nami, dobra?

- Jasne.

- Chodźmy. - Grisza otworzył drzwi, przepuścił mnie przodem. - Bez nas pozostałych zjedzą z kaszą. - Piermiaka ze spółką nie odszukali?

- Odszukali. Tuż przed przewiezieniem ich ciał do krematorium.

Więcej o nic nie pytałem.

- A wy jesteście u nas szefem aprowizacji? - Dymitr, demonstracyjnie założywszy ręce do tyłu, podszedł do tego, jak mu tam - wujka Żeni, który rozkładał paczki z suchym prowiantem.

- Ilja zachorował, zastępuję go. Jestem Jewgienij Mielnikow, a tak po prostu wujek Żenia.

- Idziecie z nami?

- Tak. - Żenia otarł pot z czoła, zdjął wiatrówkę i rzucił ją na puste pudło.

- Jako kto? - Były brat nie mógł się uspokoić. Czego się przypiął do człowieka?

- Jako obserwator - oświadczył Grigorij, zamykając za sobą drzwi.

Mielnikow kiwnął głową.

- A! No to w porządku. - Dymitr odwrócił się, próbując ukryć posepny grymas.

- Bierzcie żarcie. - Żenia wpił mu się w plecy niedobrym spojrzeniem piwnych oczu.

Dobrze, że tylko popatrzył. Na sto procent ręka mu skoczyła do kabury. Wygarnąłby w plecy i odpadłoby jedno zmartwienie. Mógłby też zarznąć nożem, żeby mieć całkowitą pewność.

- Mamy przydział konserw, błyskawicznego makaronu, kluski, herbatę, ciastka owsiane, ser, szynkę konserwową, cukier. Oprócz tego każdemu należy się półtora litra oczyszczonej wody, sto gram alkoholu etylowego i pół tabliczki czekolady.

- Wydacie spirytus? - zainteresował się Napalm. - Spirytus znajduje się pod moją opieką - uciął Mielnikow.

- Co z medykamentami? - Z żarciem wiadomo: jak by co, zawsze się jakieś zdobędzie, ale

w razie komplikacji bez leków może być krucho.

- Dostarczono nam standardowy mały zestaw Patrołu. - Siergiej Michajłowicz zajrzał do swojej torby. A jako uzupełnienie zabrałem dziesięć dawek „Nirwany” - to środek znieczulający - świętą wodę, dwa opakowania „Kropel rosy” i ziołowy pakiet do usuwania z organizmu osadów. To na wypadek, gdyby tło magicznej energii było zbyt duże. Myślę, że o niczym nie zapomniałem. A może wy, Sopol, coś jeszcze doradzicie?

- Faktycznie wzięliście wszystko. Ekomag został zrobiony na bazie srebra czy z domieszką złota?

- Na srebrze.

- Znakomicie. - Czy coś jeszcze? Kiedy przygotowaniami do rajdu zajmują się teoretycy, można spodziewać się niespodzianek. - Szczepionki na czarną niemoc, wiedźmową chorobę i taniec szamanów wszyscy dostali?

- Według kart medycznych, tak. Na pełzającą pleśń też, z wyjątkiem Chana, bo jest uczulony na preparat. - Może być - kiwnąłem głową. - Oprócz Pierwszego i Drugiego, wszyscy są należycie uodpornieni na magiczne promieniowanie?

- Wszyscy - przytaknął Grigorij, odgarniając włosy z oczu. Spojrzał na zegarek. - U mnie odprowadzanie energii jest nieco poniżej normy, ale przez parę dni nic się nie powinno stać.

- Jak wasze tatuaże? - Spojrzałem na bliźniaków, którzy pakowali racje do plecaków.

- W porzo, tylko trochę swędzi - odparł Pierwszy.

- A ja swoich już nawet nie czuję - Drugi potarł szyję, spojrzał w zadumie na czarownika.

- Doktorze, ma pan spirytus lekarski? Nie potrzebuję dużo.

- Przecież nie pijesz - zdziwiłem się.

- Tylko do przetarcia, dla dezynfekcji.

- Cienką warstwą - zakpił Napalm.

- Powiedz, o co chodzi - zaproponował Chan.

- Jeśli o coś chodzi, to żebyście pobrali racje - przypomniał się Mielnikow.

- Sopol, odpowiadasz za bezpieczeństwo marszu - oznajmił Grisza. - Możesz powiedzieć coś o głównych punktach podróży?

- Idziemy do Rudnego? - Zamyśliłem się i zacząłem wyпчаć do torby swoją dołę. Dziwne, że dają aż tyle zarcia. W zasadzie moglibyśmy przecież obrócić w jeden dzień. - No, aż do rozwidlenia na chutor Październikowy, czyli przez jakieś dwie trzecie drogi, nie ma się czego obawiać. Poza tym mamy lato. I ludzie tam stale jeżdżą. A dalej.

Co dalej? Sporo tego. Wprawdzie w porównaniu z zimowymi wyprawami tę można uznać za rekreacyjny spacer, było jednak pewne małe „ale”: w całym oddziale, poza mną, nikt nie

miął pojęcia, co może się zdarzyć za murami miasta. Człowiek doświadczony wie doskonale, na czym można się sparzyć, ale wtłocz taką wiedzę w pięć minut do głowy zupełnemu dyletantowi! Wszystko jedno, nigdy nie można zgadnąć, co strzeli do łba nowicjuszowi, a na co należałoby mu zwrócić szczególną uwagę.

- Dalej... Patrzcie uważnie pod nogi. W zacienionych miejscach można trafić na palącą pleśń. Jak się przyczepi, zanim zdążymy wrócić do Fortu, przeżre mięso do kości.

- Jak ona wygląda? - zapytał Napalm.

- Ciemnoniebieski nalot na kamieniach i betonie.

W pochmurny dzień trudno ją w ogóle zauważyć. Zanim więc gdzieś usiądziecie, rozejrzyjcie się uważnie. A najlepiej podłóżcie cokolwiek pod tyłek.

- Kaplica - westchnęła cichutko Wiera.

- Niczego nie zrywajcie z drzew i w ogóle trzymajcie się od nich z daleka. Normalnych owoców jeszcze nie ma, za wcześnie, a jakie z tych rosnących na Północy można jeść i tak nie wiecie. Zjecie takiego grzyba-sporowika. Wygląda jak zwykła śliwka. Zerwiecie i będziecie później żyć, owszem, ale już w Getcie.

- To już lepiej od razu zdechnąć - mruknął Pierwszy.

- Właśnie, właśnie. Zanim cokolwiek zrobicie, wpierw pomyślcie. Do czego mogą doprowadzić nieprzemyślane postęпки, sami niedawno widzieliście. Z uwagą spojrzałem na obecnych. Wszyscy byli przejęci. - Pomioty mrozu znikły do następnej zimy, nieumarłych też nie trzeba się obawiać. Nocą, jak sądzę, Siergiej Michajłowicz obroni nas przed różnymi paskudztwami. Zwierzęta są w tej chwili spokojne, bo żeru mają w bród.

- Zapomniałem powiedzieć przedtem, że do Rudnego będziemy dochodzić okrężną drogą
- przerwał mi Grigorij.

- W takim razie powtórzę: patrzcie pod nogi. Nory lodowych węży znajdują się głównie w wąwozach. Tam, gdzie latem schroniły się poczwarki śnieżnych czerwi ziemia wygląda jak zaorana. Zwracajcie uwagę na rozsypiska małych kosteczek, takie miejsca omijajcie szerokim łukiem. Od kałuż i innych zbiorników wodnych trzymajcie się jak najdalej.

- To może od razu się zastrzelimy? - rzucił Chan kiepski żart. - Tyle tam okropności, tyle strasznych rzeczy.

- Każdy zrobi jak zechce, ale radziłbym nie strzelać, a powiesić się. Trzeba oszczędzać naboje dla innych odparłem. - A teraz, co do Rudnego: w osiedlu jest pełno szczurowców. Te bestie osiągają rozmiar małego psa. Stado zeżre człowieka w pięć sekund. Uważajcie na nie. A na drodze okrężnej mamy to, co zazwyczaj: bursztynowe pająki, kikumory, na podmokłych terenach bagienne wilkołaki. Ale za dnia raczej trudno je spotkać.

- A bandyci? - spytał wujek Żenia, który skończył rozdzielać prowiant.

- Bandyci? - zdziwiło mnie to pytanie. - Bandytów należy się obawiać w pierwszym rzędzie. W Rudnym można ich spotkać na pewno. Nie traćcie czujności, nie rozluźniajcie się.

- Akurat da się radę rozluźnić - westchnął Napalm ze smutkiem.

- Czas już. Zbierajcie manatki i do wyjścia - zarządził Grisza.

Chwytał torbę, wyszedł z pomieszczenia, a my ruszyliśmy za nim. Zeszliśmy na parter, przemierzaliśmy znajomy hall i weszliśmy w korytarz prowadzący do pokoju nadzoru. Przed nami czekało na swoją kolej dziesięciu chłopaków, myśliwych, sądząc z wyposażenia. Mieli maskujące kurtki, wysokie buty, niezbyt duże plecaki, kusze, strzelby i łuki, a przy pasach topory i noże. Widać było, że nudzili się okrutnie, ale milczeli. Mogli czekać tu nawet i dwie godziny, zdążyli się nagadać.

- Kto na obławę? - Z pomieszczenia nadzoru wyjrzał zażywny sierżant, zerknął do notesu.

- Z licencjami przechodzić pojedynczo.

Myśliwi zaszeleścili papierami, ustawiając się wokół sierżanta.

- Pojedynczo. Powiedziałem pojedynczo! - zamachał rękami podoficer.

- Tyle problemów, żeby wyjść z Fortu - powiedziała Wiera. - Naprawdę nie można szybciej?

- Ogólna odprawa odbywa się przy bramie - westchnął Piegowaty. - To wyjście jest dla grup specjalnych. Zazwyczaj nikogo tutaj nie ma.

- Odmieńcy pokrzyżowali nam trochę szyki wujek Żenia rozłożył ręce. - Na pewno przerzucono tutaj ludzi z arsenału.

- Jakie to wszystko skomplikowane - westchnęła dziewczyna.

Sierżant skończył wreszcie z myśliwymi.

- Co to za obława? - spytał Grigorij, podając dyżurnemu dokumenty naszej grupy.

- Starosta Październikowego daje dwie setki za głowę wilka ludojada. - Sierżant zaczął przeglądać papiery. - Drużyna? Przechodźcie do pokoju nadzoru.

- Wilkołak? - Grisza syknął na kłócących się o coś bliźniaków.

- Nie. I mówią, że został postrzelony.

Weszliśmy do pomieszczenia nadzoru: ściany bez okien, długie stoły z plamami smaru na podrapanych blatach, odgradzona szkłem pancernym dyżurka czarownika. Magiczna lampa świeciła pod sufitem łagodnym blaskiem. Na ścianach wisiały fotografie i portrety pamięciowe ściganych, z wyliczeniem znaków szczególnych, krótkiej listy przestępstw i ceny za głowę. Bez specjalnego zdziwienia dostrzegłem zdjęcie Sztoca. Ale mordy Siomy Dwa Noże, chociaż wypatrywałem, jakoś nie mogłem odnaleźć. Specjalne miejsce wyznaczono

Leszemu: na karcie formatu A3 zostały zamieszczone wszystkie informacje o najemnym mordercy. Dość skąpo tego było, co warto podkreślić. A zajmowało tyle miejsca, bo wszystko wypisano bardzo dużą czcionką. Wzrost około metr dziewięćdziesiąt, rozmiar obuwia czterdzieści pięć, utyka na lewą nogę. Ot, i wszystko. Najwyraźniej wyczytali te cenne wiadomości, korzystając ze śladów na śniegu. Nie było nawet zwyczajnego rysopisu. To też zrozumiałe: ten gość nie miał zwyczaju zostawiać świadków. Nawet najlepsze media nie potrafiły wyciągnąć z ofiar nic konkretnego.

Dwóch techników zajęło się naszą bronią, a ponieważ nie było na niej plomb, procedura trwała nie więcej niż dziesięć minut. Przez cały ten czas młody czarownik wpatrywał się uważnie w kryształową kulę, powtarzając gorliwie zaklęcia skanujące. Na koniec z ulgą odchylił się na oparcie krzesła, wytarł z czoła krople potu i nacisnął guzik odblokowujący drzwi.

- Przechodźcie - doleciał z opancerzonej klatki zmęczony głos.

Wyszliśmy.

- Witaj, złotko. - Grigorij uśmiechnął się do siedzącej przy komputerze jasnowłosej dziewczyny. Położył przed sobą listę. - Nie zmarniałaś mi tutaj jeszcze do szczętu? Jak to jest, żołdactwo pewnie nie daje nawet spokojnie przejść.

Dwóch wartowników siedzących przy drzwiach wyjściowych wymieniło spojrzenia, a potem wlepiło groźny wzrok w mówiącego.

- Cześć, Piegusku. Czemu ty tak o tych chłopaczkach? Ostatnio siedzą cichutko jak trusie.

- Dyżurna najwyraźniej ucieszyła się na widok Griszy. - Na długo wychodzicie?

- Nie martw się, niebawem wracamy. Nie planuj nic na sobotę.

- Z tego powodu na pewno nie zamierzam się martwić. Jak by co, zawsze znajdę sobie jakieś towarzystwo, nie musisz się niepokoić. - Dziewczyna zastukała palcami w klawisze. - O, gratuluję, jeden z twojego oddziału jest ścigany. Wzywamy straż?

Żołnierze Garnizonu nie od razu pojęli, że to nie był dowcip, ale kiedy to do nich dotarło, poderwali się z miejsc zadowoleni, gotowi pokazać, co potrafi „żołdactwo”.

- Nie trzeba strażników, nie trzeba - z miejsca spoważniał Grigorij. - Kto i za co?

- Zaraz zobaczymy list gończy Patrolu. Samowolne porzucenie służby...

- To ja. - Wyjąłem z kieszeni otrzymane od Ilji dokumenty, podałem je Piegowatemu.

- Aha - odetchnął z ulgą. - Masz tam datę? Trzydziestego? Zobacz, rozkaz przeniesienia jest od dwudziestego dziewiątego. Podpis Gelmana, podpis Pierowa...

- Sam pewnie to sobie narysowałeś? - Dziewczyna puściła do mnie oko.

- Sprawdź w bazie danych - odpowiedział Grisza.

- Jest taki rozkaz. - Jasnowłosa spojrzała na ekran, zamyśliła się. - Ale dlaczego Patrol wystawił nakaz ścigania?

- A skąd ja mam to wiedzieć? - Grigorij rozłożył ręce.

- A kto ma wiedzieć? Lepiej poproszę tutaj wartę.

- Daj spokój, złotko. Jak wrócimy, sam wszystko załatwię. Teraz nie ma na to czasu.

- Dobra, przechodźcie. - „Złotko” zwróciło dokumenty. - Ale następnym razem nie przepuszczę, nie myśl sobie.

- Oczywiście. - Grisza oddał mi papiery, wskazał wyjście.

Jeden ze strażników wystukał kod i z trudem otworzył masywne skrzydło drzwi. Za nimi ciągnął się długi korytarz o ścianach z surowej, czerwonej cegły. Kończył się żelazną bramką.

- W dodatku dezterter - westchnął idący z tyłu Chan.

- Co znaczy „w dodatku”? - zatrzymałem się i odwróciłem. - Do kogo ta aluzja?

- Sam powinieneś wiedzieć najlepiej. - Chan uśmiechnął się kwaśno, przechodząc dalej.

- Czego się go czepiasz? - osadziła mnie Wiera. Nie ruszaj gówna, bo będzie śmierdziało.

- A kto go rusza? - burknąłem.

Ale jak już to zrobię, zapachnie w try miga. Latem, trupy szybko ulegają rozkładowi.

- Szlag! - Pierwszy, który dotarł już do końca korytarza, chwycił się za szyję. - Co za cholerstwo? Parzy jak diabli!

- To nic takiego - uspokoił go Siergiej Michajłowicz. - Jesteśmy teraz skanowani, więc zakłęcie tatuażu wpadło w rezonans.

- A u ciebie jak? - Pierwszy spojrzał na brata. Pali?

- Nie, swędzi tylko.

Poczekaliśmy, aż drzwi się otworzą, przeszliśmy przez następny pokój strzeżony przez żołnierzy Garnizonu. Pękający z nudów czarownik nawet na nas nie spojrzał. Wyszliśmy na zewnątrz.

Wszystko. Mury zostały za plecami. Witaj, wolności! Brama miejska znajdowała się jakieś siedemdziesiąt metrów lewej. Sądząc po stłoczonych furmankach i pętających się ludziach, problemy z przepustowością nie zostały jak do tej pory rozwiązane. Czyżby jeszcze nie rozegnali manifestacji?

- Poczekajcie na nas przy namiotach - polecił Grisza, wskazując placyk targowy dwieście kroków dalej. Siergieju Michajłowiczu, pójdziecie z nami.

- Daleko?

- Nie, musimy załatwić kilka formalności.

Piegowaty, wujek Żenia i czarownik ruszyli ku miejskiej bramie. My przenieśliśmy

rzeczy pod namioty, a bliźniacy od razu zaczęli łączyć między kramami. Napalm postął trochę, a potem zapalił papierosa i także zniknął wśród straganów.

Popatrzyłem na skwaszoną fizjonomię Chana i zaproponowałem Wierze:

- Chodź, może kupimy coś do jedzenia.

- Zaraz może wrócić Grigorij - pokręciła głową i zachichotała. - Piegusek.

- A ja się przejdę. Wziąć coś dla ciebie?

- Nie, dzięki.

Postawiłem torbę obok plecaka dziewczyny, na wierzch położyłem karabin, a potem poszedłem popatrzeć, co dzieje się pod bramą. Może uda się zdobyć jakieś przyteczne wiadomości?

Po targowisku kręciło się o wiele więcej ludzi niż zazwyczaj. To całkiem zrozumiałe - czekający musieli coś jeść, a także jakoś się rozerwać. A furmanek zjechało się, że ho-ho.

Wkrótce miałem dość panującego ścisłu, poszedłem więc w kierunku bramy. Wozy ustawiły się w długą kolejkę, między nimi snuli się różnej maści handlarze, ale kupców i ochroniarzy w tej chwili ich oferta zupełnie nie interesowała. Chcieli koniecznie do Fortu, wszyscy skupieni, czujni. Patrzeć tylko, jak dojdzie do mordobicia. Spróbuje się tylko kto wepchnąć na krzywy ryj i gotowe. Ale na razie samobójców, jak widać, nie było.

- Arkasza! - zawołałem, dostrzegłszy rumianą gębę Demina, który kupował w kramie spożywczym chleb i wino. - Jak się masz?

- Ludzie, trzymajcie mnie! - ucieszył się Demin, zgniatając moją dłoń w wielkiej łapie. - Sopol, co się tam u was w środku dzieje?

- Odmieńcy się burzą.

- No to się doczekaliśmy. Co, zaczęli ich wypuszczać z Getta?

- Przedarli się.

- Idiotyzm. Przez tych błaznów uciekają teraz pieniądze.

- Ale przecież nie twoje - uśmiechnąłem się.

- Jak to nie moje? Wiesz, ile dzisiaj kosztuje bochenek chleba?

- Daj już spokój, nie zbiedniejesz. - Pociągnąłem Arkaszę za rękaw rozpiętego półkożuszka. - Co ty, wracasz z bieguna północnego?

- Idź do diabła. Kiedy wyjeżdżaliśmy w nocy, to tak mroziło, że matko jedyna. - Demin kilka razy strzepnął połą kożucha, żeby się ochłodzić. - A teraz wozu nie zostawię samego, bo się ktoś wepchnie. Jak się tylko odwrócisz, zaraz się wciskają. Swołocze.

- Ugotujesz się.

- Ugotuję. A co mam zrobić? - Poprawił sterczącą z kieszeni szyjkę butelki. - Nie mogę

zupełnie zrozumieć odmieńców. Dlaczego nie siedzą w Getcie? Mają tam co pić i jeść, pracować nie muszą, wszystko na państwowy rachunek. To nie, wyłażą. Faktycznie to odmieńcy.

- Chcą ich wygnać z Getta.

- A to jaka senatorska głowa wydumała?

- Liga.

- To już baby ocipiały ze szczętem. - Od strony straganu z mięsem podszedł do nas facet nieco chudszy od Arkaszy. A może i nie chudszy tylko po prostu trochę wyższy. W rękę trzymał wędzone udo. - Cześć.

- Cześć - uściśnięciem wyciągniętych dłoni. Na pewno widziałem już te ostre rysy i szczupłą twarz, ale nie pamiętałem imienia.

- Nie gadaj, Misza. To polityka - nie zgodził się Demin. - Wzięłeś sól?

- Po cholere?

- Nie po cholere, tylko trzeba. - Arkasza wyjął plastikowy pojemnik, otworzył i włożył doń chleb. Może uda się ugotować coś gorącego.

- Nie rozumiem, wszyscy się krzątają, podniecają, a wy chcecie obiad robić? - Wskazałem na panujący pod bramą tłok.

- Wojna wojną, a obiad się należy. - Misza dorzucił udo do pojemnika. - Wzięłeś wino?

- Wzięłem. - Demin poklepał sterczącą z kieszeni szyjkę. - A nie leziemy pod bramę, bo i tak dzisiaj nie damy rady wejść. Spóźniliśmy się.

- Skąd jedziecie?

- Z Siewieroreczeńska. Przytargaliśmy papierosy dla Trofima. Chcesz, mogę zorganizować sporą partię. - Typu przesuszyc i zmielić? - uśmiechnąłem się. - Bieriecie od zwiadowców?

- A od kogo niby innego? Od przekupniów dostaniesz za potrójną cenę.

- Nie ma przecież żadnych zwiadowców - oświadczył nagle Misza.

- Tylko nie zaczynaj znów wyklądać swoich chorych idei! - zaczął błagać Arkasza, udając przerażenie.

- Dlaczego chorych? - Misza nie zauważył żartu. - Powiedzcie sami, dlaczego do Siewieroreczeńska trafia tyle żarcia? Co, specjalnie do nich z tamtej strony idą fury wyładowane towarem? Eszelonami im żywność dostarczają?

- U nich granice są mniej stabilne - powiedział bardzo spokojnie Demin.

- Jakie niby granice? To wszystko to tylko jeden wielki eksperyment!

- Co „wszystko”? - nie rozumiałem. Miałem swoje zdanie na temat tych, którzy

dostarczają żywność w rejon Przygranicza, ale bardzo interesujące było poznać też opinie innych.

- Jasne! Przylecieli obcy i przerzucili nas tutaj zachichotał Arkasza.

- Jacy znowu obcy? Przygranicze, to eksperyment kagiebowców. Wydzielili kawałek Syberii, wrzucili nas tutaj jako króliki doświadczalne i obserwują. Ażebyśmy zbyt wcześnie nie zdechli z głodu, podkarmiają. W Siewieroreczeńsku zorganizowali odpowiednie urzędy, przyuczają ludzi i oni właśnie organizują dostawy.

- Wiesz, jeśli spojrzeć na sytuację z takiego punktu widzenia, to coś w tym jest - zamyślił się Demin na chwilę, po czym znów zarżał Miszy prosto w twarz. To bzdury! A gdyby nawet taki urząd powstał, to raczej w Mieście.

- Gównno! - podniecony Michaił zamachał rękami, o mało nie zawadzając palcami o twarz rozmówcy. Powiedz, co tak właściwie wiesz o Siewieroreczeńsku? Nic nie wiesz! Tam jest parlament i różne frakcje: kozacy, przemysłowcy, zwiadowcy... Tak się nie da, rozumiesz?! W naszych warunkach demokracja nie funkcjonuje! To znaczy, że ktoś tam siedzi w cieniu i pociąga za sznurki. Cholera, przecież prościej dostać się do Miasta, chociaż jesteśmy z nimi na noże. Z Siewieroreczeńska wszystkich imigrantów zaraz wywalają.

- Wciąż się kłócicie? - Podszedł do nas mężczyzna koło czterdziestki w lekkiej brezentowej kurtce. Taki zwyczajny gość - spotkasz na ulicy, nawet nie zwrócisz uwagi, ale Misza natychmiast się zamknął.

- Nie, to Misza się kłóci, a ja tylko słucham. - Arkasza schował za plecy rękę z pojemnikiem.

- To co, orły, zapraszam do taboru.

- Dobrze, Piotrze Iwanowiczu - kiwnął głową Demin.

Pożegnali się ze mną i poszli do wozu. Jeszcze parę minut przyglądałem się chaosowi pod bramą, potem przeniosłem spojrzenie na niebo. Dlaczego tracimy czas?

- <I> Zbiórka. Ruszamy za pięć minut <D> rozległ się głos Grigorija. Niech to jasny gwint, przestraszyłem się. Nie mogłem się przyzwyczaić do działania amuletu.

Wszedłem między namioty, wypatrując towarzyszy. Są!

- Sopel! - zamachała rękami Wiera.

Stałem jak wryty. Rozmawiający z Chanem szczupły mężczyzna, ubrany w luźną skórzaną kurtkę, szare spodnie i wysoko sznurowane buty, także mnie zauważył. Znałem tego człowieka doskonale: prosty nos, krótkie ciemne włosy z rzadką siwizną, na policzku charakterystyczne, przecinające się szramy. Krzyż.

Krzyż? A ten czego tutaj szuka? Jak nic chodzi mu o moją skromną osobę i sądząc po

chmurnym spojrzeniu, nie mogę się spodziewać niczego dobrego.

Skierował się wprost do mnie, przytrzymując pochwę długiej szabli. Dwóch patrolowych z kompanii dalekiego zwiadu szło za nim równo jak jeden organizm. Śmierząca sprawa.

- Idziemy. - Krzyż zatrzymał się trzy kroki przede mną, a patrolowi wycelowali we mnie automaty.

- Dokąd? - Z trudem przełknąłem ślinę. Grdyka drgnęła zdradziecko, co nie uszło uwagi dawnego mojego dowódcy. Że też zostawiłem karabin. Jak by co, nie zdążę wydobyć pistoletu. Ale i z długą bronią w takiej sytuacji nie miałbym większych szans.

- Gdzie trzeba, Sopel, gdzie trzeba. - Uważnie obejrzał mnie od stóp od głów, westchnął ciężko. - Jesteś aresztowany pod zarzutem dezercji. Ręce trzymaj z daleka od noża.

- A czemu tak rozkazujesz, wujaszku? - Skądeś pojawił się Pierwszy.

Drugi wyszedł zza namiotu po przeciwnej stronie.

Wokół nas nagle zrobiło się całkiem pusto. Kupujący, czując wiszące w powietrzu napięcie, czym prędzej oddalili się od naszej grupki. Patrolowi natychmiast zareagowali na pojawienie się uzbrojonych ludzi, skierowali na nich lufy. W odróżnieniu od nich, Krzyż pozostał zupełnie nieporuszony.

- Potrzebne ci to? - zapytał.

- Poczekajcie moment - poprosiłem, nie wypuszczając z dłoni rękojeści noża. Bijatyka nie była nikomu potrzebna. Szczególnie w takich warunkach. A niezależnie od rozwoju wypadków, to ja miałem w pierwszej kolejności otrzymać bilet na tamten świat. - To dowódca mojego byłego oddziału. Myślę, że zaszło tutaj małe nieporozumienie, które zaraz sobie wyjaśnimy.

- Czyżby? - zdziwił się szczerze Krzyż.

- Oczywiście. - Nie odrywając od niego oczu, lewą ręką wyjąłem z kieszeni dokumenty, rzuciłem w jego stronę. - Rozkaz przeniesienia.

- Zabawne. - Uśmiechnął się samymi kącikami warg. - Ale to nie rozwiązuje kwestii zwrotu otrzymanych z magazynu rzeczy na sumę dziewięciuset rubli.

Rzucił papiery z powrotem. Upadły na ziemię krok ode mnie. Mógłbym je podnieść z łatwością, ale wolałem nie próbować: wiedziałem, że jak tylko odwrócę wzrok, w mojej głowie pojawi się maleńka dziurka, która rozwiąże wszystkie kwestie i problemy na tym świecie.

- Jeśli jeszcze do was nie dotarło. - Chan podszedł, pokazał blachę. - Drużyna.

- Co z tego? - Krzyż nawet na niego nie spojrział.

- Właśnie to. Idźcie sobie po dobroci. - Chan położył rękę na rozpiętej kaburze z

pistoletem.

Zaraz się zacznie. Odetchnąłem głęboko, uspokajając nerwy, rozluźniłem mięśnie. Chan nie powinien brać się za spluwę. A jeśli już, to nie za pistolet, lecz automat. - A ty, Sopol, dlaczego nic nie mówisz? Wyślemy tych chłystków do diabła - odezwał się nagle Dymitr, kręcąc nóż między palcami.

Zaraz poleje się czyjaś krew.

- Co tu się dzieje? - Grigorij pojawił się w porę jak nigdy.

Towarzyszący mu Mielnikow i Jałtin rozeszli się w różne strony. Wujek Żenia wyjął „dziurkacz”, czarownik przeciągnął palcami po zrobionych ze szlachetnych kamieni guzikach kurtki. Zamigotały.

- Dokonujemy aresztowania - Krzyż rozpoczął negocjacje, oceniwszy naszą przewagę liczebną oraz fakt pojawienia się czarownika. - Na podstawie nakazu wydanego...

- Na podstawie tego dokumentu - Grisza spokojnie podniósł leżący na ziemi papier - Sopol został odkomenderowany do Drużyny. Kiedy zostanie przeniesiony z powrotem do Patrolu, będziecie działać dalej. Rozmowa skończona.

- Zdziałamy na pewno. - Krzyż machnął na żołnierzy i poszedł w stronę Fortu.

Z ulgą zacząłem znów oddychać normalnie, wytarłem spoconą twarz i odebrałem od Griszy dokumenty. - Czegoś tak się przestraszył? - Pierwszy klepnął mnie w ramię. - Ich było tylko trzech. Dostaliby łupnia.

- Potem ci opowiem, kto by naprawdę oberwał. Pokręciłem głową. Chętnie bym się czegoś napił. Trzeba by chociaż wody łyknąć, bo w gardle istna pustynia. - Niektóre problemy masz już z głowy - wycedził Chan i poszedł ku pozostawionym pod opieką Wiery rzeczom.

No i odbił się na mnie wyskok Maksa. Wpadłem na dziewięć setek i chociaż na niego wzięłem fantów więcej niż za połowę tej sumy, wszystkim obciążyli mnie. Dobra, niech go już Bóg osądzi. Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni.

Podszedłem do swojej torby, wyjąłem wodę i pociągnąłem kilka długich łyków. Ulżyło. Powinienem jeszcze wydobyć bandanę, bo słońce nieźle już zaczęło przypiekać łysinę.

- Chwila! - Siergiej Michajłowicz wyjął z bagażu dwie drewniane kule wielkości dużych mandarynek i zaczął się nam przypatrywać. - Drugi i Chan, weźcie.

- Co to jest? - Bliźniak podrzucił kulę w rękę.

- ARIP.

- Aha, tak sobie myślę, że dawno się nie bawiliśmy ARIP-ami. - Drugi popatrzył na czarownika wyzywająco.

- Asynchroniczno-rezonansowy impulsowy pochłaniacz energii na bazie krystalicznej - spróbował wyjaśnić Jałtin.

- A prościej? - Pierwszy wziął kulę, żeby się jej przyjrzeć.

- Jeśli prościej to granat. Strefa rażenia - dziesięć metrów. Likwiduje wszystko co żyje.

Pierwszy natychmiast oddał kulę bratu.

- Żeby aktywować, należy przyłożyć kciuk do tego kwadratu - tłumaczył Siergiej Michajłowicz, wskazując ledwie widoczną płytkę - wdusić go aż rozlegnie się cichy trzask.

- Kciuk? - spytał Pierwszy. - Ale jaki kciuk?

- Ręki.

- Lewej, prawej?

- Nieistotne. Najważniejsze, żeby cisnąć nie paznokciem, a opuszką - odparł bardzo spokojnie czarownik. Co za pokaz cierpliwości! Od razu widać, że miał sporo do czynienia ze słuchaczami Gimnazjonu. - Zapłon nastąpi po pięciu sekundach od aktywacji. To wszystko.

- Dupy w troki i idziemy - rozkazał Grigorij, poprawiając paski plecaka.

Zarzuciłem torbę na ramię i poszedłem obok czarownika, zerkając na jego kurtkę.

- Chcecie o coś zapytać? - Jałtin zauważył moje zainteresowanie.

- To wszystko kamienie? - wskazałem guziki. Pierwszy raz spotkałem czarownika, który przedkłada kamyki nad kości i drewno. Nie macie też kul jasnowidzenia.

- To wszystko wynika ze skostnienia i lenistwa - uśmiechnął się smutno. - Prościej jest pracować z materiałem organicznym. Że ma mniejszą pojemność, mało komu przeszkadza. Kluczowym tutaj słowem jest „prościej”.

- Rozumiem - kiwnąłem głową.

- A wiecie, czemu? - Siergiej Michajłowicz nie był zdziwiony, że orientuję się w temacie.

- Materiał organiczny zawiera mniejsze komórki energetyczne. W kamieniach są większe, w przestrzeń między nimi wcieka o wiele więcej energii. Dla magów i czarodziejów to nie jest najważniejsze, a czarownicy...

Znowu kiwnąłem głową, chociaż rozumiałem teraz o wiele mniej niż na początku rozmowy.

- Dla czarowników wielkość straty energetycznej jest sprawą krytyczną. Dlatego mam zwyczaj wlewać przy jednym seansie dwa niezależne zaklęcia. Pierwsze, autonomiczne, wypełnia przestrzeń, a drugie, zwyczajne, wchodzi w strefę poddającą się kontroli. Standardowy artefakt nie wykorzystuje rozsianej po kamieniu energii, za to dzięki podwójnemu ładunkowi moc wyjściowa wzrasta nawet o siedemdziesiąt procent.

- To nie jest tylko czysta teoria?

- To praktyka. - Jałtin uśmiechnął się, ale wciąż bez śladu radości. - Ale przy nakładaniu podwójnych czarów podczas jednego seansu, żeby nie doprowadzić do konfliktu pól, trzeba wykazać duże umiejętności. To bardzo delikatna robota. Większość czarowników po prostu się do tego nie nadaje, a ci, którzy mogliby tak robić, nie chcą się uczyć. Dobrze im z tym, co mają.

Oczywiście, doskonale wiedziałem, do kogo pije.

Ciekawe, czy Bergman nie chce, czy nie może? Miał rację Jean, kiedy mówił o skostnieniu i odsiewie w Gimnazjonie. Kto nie przystaje do standardów, ląduje na ulicy.

Minęli nas czterej rowerzyści z wielkimi plecakami przymocowanymi do bagażników. Chłopcy o wyglądzie sportowców równomiernie kręcili pedałami. W pokrowcach na plecach mieli karabiny, a może i łuki. Albo myśliwi, albo inni ludzie wolnej profesji. Dobrze im przemieszczać się na kołach, a nie dreptać piechotą.

- Sopol! - zawołał Grigorij. - Napalm!

Dogoniłem dowódcę, obok którego kroczyli bliźniacy. Uch, gorąco. Trzeba rozpiąć kurtkę, zanim się ugotuję.

- Sopol i Napalm idą z przodu - rozkazał Piegowaty. - Będziecie sprawdzać drogę. W razie czego nie drzyjcie się, tylko używajcie amuletów komunikacyjnych. Wszystko jasne?

- Tak - odpowiedzieliśmy chórem. A co w tym mogło być niejasnego?

- Wy - Grisza zwrócił się do bliźniaków - zamykacie grupę.

- Jawohl - zsalutował Pierwszy i wskazał zdziwiony na młody amarantus, obok którego kręciło się dwóch ludzi w maskach przeciwwgazowych. - Co oni kombinują?

- Ścinają brodzce, łodygi i pędy - wyjaśnił Piegowaty.

- Po co?

- Na lekarstwa.

- Chodźmy już, co? - zaproponowałem Napalmowi, który także zapatrzył się na amarantus.

- Chodźmy - zgodził się i rozpiął skórzaną kurtkę, pod którą miał czarną koszulkę. - Nasza służba niebezpieczna jest i ciężka.

Nieborak, cały w skórach. Żeby sobie tylko nie odparzył tego i owego.

Otoczenie nie zasługiwało na określenie go mianem urozmaiconego krajobrazu - pole zarośnięte trawą o jasnym, niebieskawym odcieniu, upstrzone rzadkimi kropkami jaskrawobłękitnych i bladopomarańczowych kwiatków, niewysokie krzaki. Długie łodygi pojedynczych amarantusów chyliły się w powiewach wiatru, wydzielając gorzkawo-kwaśny zapach z dojrzewających pączków. Asphalt pod nogami zaczął mięknąć. Z czyściutkiego nieba

łały się promienie oślepiającego słońca. I to właściwie byłoby wszystko.

Ale tak lepiej, bo od urozmaiconej topografii terenu głowa może rozboleć. W zaroślach bowiem o wiele trudniej wypatrzeć rabusiów albo bandytów. Szkoda tylko, że taka komfortowa sytuacja nie potrwa zbyt długo.

Pole jakoś szybko zmieniło barwę z szaro-niebiesko-zielonej na intensywnie zieloną, a w oddali pojawiły się dachy domów, znad których unosiły się cienkie strużki dymów.

- To Październikowy? - zainteresował się Napalm.

- Październikowy jest dalej. - Przyłożyłem dłoń do czoła, żeby lepiej się przyjrzeć. To złudzenie wywołane drzeniem powietrza czy ktoś idzie z naprzeciwka? To Borowa. Wioska.

- Czemu tak się cackałeś z tym bliznowatym? - Piromanta odkopnął na pobocze kamyczek.

- To Krzyż. Słyszałeś o nim?

- Nie. Łowca głów?

- Patrolowy. Dowódca oddziału.

- Taki groźny?

- To złe słowo „groźny”. W jego wypadku chodzi o coś więcej. - Zamilkłem, przypominając sobie jedną z naszych ostatnich wypraw. - W zeszłym roku podczas rajdu trafiliśmy na bandytów, zresztą zupełnym przypadkiem. I oni, i my zaczęliśmy grzać z czego popadło. Nas było pięciu, ich dwa razy tyle. Dwóch położyliśmy, oni też nie pozostali dłużni: jednego z naszych od razu postrzelili, drugi chwilę później oberwał kulkę w brzuch. Kiedy próbowaliśmy uciec, trafili jeszcze jednego. Ale o jakiej w ogóle można mówić ucieczce, kiedy taszczysz rannych? Schowaliśmy się w jakichś ruinach, na chodzie byłem tylko ja i Krzyż. W końcu bandyci dali spokój z polowaniem, ucichli, niby że odeszli. Nabojów mieliśmy tyle, co kot napłakał. Krzyż poszedł zrobić rozpoznanie. Sam. Wrócił po dwóch godzinach, powiedział, że wszystko już w porządku. Wiesz, było w porządku, jak w piosence Wysockiego: „Leżeli sobie zgodnie rzędem, a ośmiu ich było”. Tak to z nim wygląda.

- Nieźle. Ale z czarownikiem wołał nie zadzierać.

- Wołał - przytaknąłem. Znow się zamyśliłem.

A dlaczego właściwie wysłali po mnie Krzyża? Dziwne. Owszem, służyłem w jego oddziale, jednak co z tego? Zazwyczaj dezserterami zajmował się zupełnie kto inny. I dlaczego Krzyż tylko czekał, żebym na niego skoczył? A może tylko mi się tak wydawało?

- Właśnie, właśnie.

- Stój - chwyciłem piromantę za rękę.

- Co? - Rozejrzał się szybko, a sekundę później sam dostrzegł człowieka, który szedł nam

na spotkanie. Jego długi płaszcz z kapturem zlewał się kolorem z barwą drogi.

Ależ się podkradł! Jak mogliśmy go wcześniej nie zauważyć?

Tamten zrozumiał, że został dostrzeżony, powoli zdjął kaptur. W pierwszym rzędzie rzucała się w oczy jego smągła - nie opalona, ale właśnie smągła - skóra oraz drapieżny orli nos. Oczy miał jasnoniebieskie. Jeżeli Dominika można było wziąć za potomka hidalgów, to ten gość przed nami sam wyglądał jak hiszpański szlachcic. A twarz była mi dobrze znana.

- Dzień dobry - przywitałem się pierwszy.

- Dzień dobry - odpowiedział, podchodząc bliżej. - Polujecie na wilka?

- Nie - pokręciłem głową. - A chodzić za wilkiem, jak przypuszczam, już nie ma sensu?

- Czemu? Ta cwana bestia wszystkich wystawiła do wiatru i uciekła na wschód. Co za pech.

- Jak tam jest dalej? Spokojnie?

- Najzupełniej. Cisza jak na cmentarzu. Myśliwi aż do Październikowego wypłoszyli wszystkie stwory, żywe i nieżywe. - Mężczyzna znów naciągnął kaptur i przechodząc obok powiedział: - Powodzenia.

- Dzięki. - Odwróciłem się, pomachałem Grigorijowi, że wszystko w porządku i ruszyłem dalej.

- Znasz go, czy co? - Napalm otarł pot z łysiny. - Dziwny jakiś.

Poprawiłem bandarię.

- To Diego. Ten, którego nazywają Myśliwym.

- Naprawdę? - Piromanta podskoczył lekko ze zdziwienia i odwrócił się, ale po Diego nie zostało już śladu.

- Sam widzisz - uśmiechnąłem się. - Raz miał dla nas odczyt. Patrol zapłacił mu za to kupę forsy.

- Cholera, nawet go sobie nie zdążyłem obejrzeć. Wyjął papierosa, zapalił wzrokiem, zaciągnął się.

- Gdzie leziesz? - zatrzymałem go. - Co mówiłem o kałużach? Omijaj je, dłużej pociągniesz.

- A co z nimi może być nie tak? - Napalm zamarł tuż przed wielkim oczkiem. - Przecież na dnie nie czai się jakiś tam ichtiandr!

- Może nie ichtiandr, a może właśnie on. - Chodziłem w tę i z powrotem, przyglądając się odbiciu nieba w tafli. Słońca nie było w niej widać. - W tej na przykład konkretnej bezdennej kałuży zmieści się cała kompania ichtiandrów.

- Bezdennej? A co to znowu za dziwo?

- Kto tam wie. Po prostu jak w nią wpadniesz, to cały. Chlup i nie ma cię. - Toniesz?

- Znikasz. Wrzuc tam cokolwiek, przepadnie - starałem się tłumaczyć jak umiałem. - Chłopaki opowiadali, że w chutorach tak właśnie pozbywają się śmieci. Tylko że kałuże nie pozostają w jednym miejscu. Dzisiaj zobaczysz ją tutaj, jutro gdzie indziej.

- Coś kręcisz. - Napalm przykucnął, wetknął koniec niedopałka w wodę. - O kurczę, jakby brzytwą odciął!

- A co mówiłem?

- A gdyby rękę?

- Masz jakąś zapasową?

- To było głupie pytanie. - Napalm wrzucił filtr w kałużę. - A jak poznałeś, że to właśnie takie ścierwo? - Słońce się w niej nie odbija. Wszystko widać jak w lustrze, a słońca nie. Sam sprawdź.

Nadleciał wiaterek, powierzchnia wody zmarszczyła się, ale zaraz znów była z powrotem gładka niczym szkło. A właściwie niczym zwierciadło. Było w niej widać do najdrobniejszych szczegółów i niebo, i białą kropkę szybującego wysoko ptaka, i przydrożne krzewy, i mnie z Napalmem. Nie odbijało się tylko słońce.

- Dlaczego stoicie? - zawołał Grigorij.

Podczas gdy oglądaliśmy groźne zjawisko, reszta grupy prawie nas dogoniła.

- Mamy tu bezdenną kałużę! - odrzyknąłem. Uprzedź innych.

- Dobrze.

- Słuchaj, a może to są portale na tamtą stronę? - rzekł odkrywco piromanta, kiedy ruszyliśmy dalej. - A co, chcesz sprawdzić?

- Nie. Ale moglibyśmy podpuścić Chana. Przestałby w końcu nudzić - roześmiał się mój towarzysz.

- Nie zgodzi się.

- „Niech biegają swobodnie po kałużach przechodnie” - cieniutkim głosem zanucił piosenkę Krokodyla Gieny. - Szkoda, że powiedzieliśmy im o tym ścierwie. - A gdyby w nią wlaźł kto inny niż Chan?

- To kaplica - wzruszył ramionami. - O, zobacz!

- Co takiego?

- No, tam. - Piromanta podszedł do leżącego na drodze fragmentu betonowego słupa, od północnej strony obrośniętego mchem. - Strachogon. Chcesz?

- Czemu nie? - Wziąłem od Napalma dymiący kawałek mchu i odetchnąłem głęboko, zbliżając do niego usta.

Przestrzeń skurczyła się. Teraz tylko jeden krok i można się znaleźć na drugim końcu pola. Jeden ruch ręką i... Poczucie wszechmocy minęło tak samo nagle jak się pojawiło. Ale pozostało uczucie odprężenia i lekkiej wesołości.

- Jeszcze? - zaproponował piromanta.

- Wystarczy - odparłem zdecydowanie, a on wyrzucił mech na pobocze.

Nie należy z tym przesadzać. Toksyny odkładają się w organizmie i chociaż od mchu nie uzależnia się jak od innych narkotyków, jednak w pewnym momencie strachogon może rozluźnić człowieka zanadto. A to by w naszej sytuacji było bardzo niepożądane.

A w ogóle, gdyby zerwany mech nie tracił właściwości po paru minutach, w Forcie przybyłby jeszcze jeden „lekki” narkotyk. Chociaż, dlaczego „lekki”? Z pewnością zaczęliby z niego i kaszę robić, i inne żarcie. Przedsiębiorcze typy wdrożyłyby jak nic przetwórstwo na poziomie przemysłowym. Daj tylko człowiekowi możliwość zarabiania na słabości bliźnich, zaraz to wykorzysta. A tak strachogonem zabawiali się tylko włóczędzy,

- A co by się miało stać od dwóch sztachnięć? Napalm wytarł ręce o spodnie. - Z kumplem prawie rok codziennie to paliliśmy i nic.

- Mieszkałeś poza miastem?

- Nie. Ale mam przyjaciela, botanicznego geniusza, który w piwnicy założył całą plantację. Nie na sprzedaż, tylko dla siebie. Dopóki mech nie rozrósł się za bardzo, wszystko było jak należy. Ale potem mieszkańcy z parteru zaczęli chodzić na permanentnym haju, więc wezwali SSE. Plantacyjka poszła w diabły.

- Posadzili tego twojego kumpla?

- Za co? Nie mogli mu nic udowodnić. Za to sąsiedzi go pobili. - Napalm westchnął. - Musiał Leopardycz spieprzać.

W odpowiedzi tylko chrząknąłem.

- Sopol, patrz, kaczki!

- Co z tego?

- Strzelaj, będzie pieczone!

- Jasne, będę marnował amunicję na takie pierdoły.

Jakie tam pieczone na wiosnę? Sama skóra i kości, w dodatku mięso zajeżdża błotem. Dymitr ma łuk, niech on ustrzeli kaczuszkę.

- Tak, a widziałeś jego strzały? Groty mają jakby ze szkła. Na pewno bardzo drogie.

- Obejdziemy się bez piezonego.

Do rozstajów na Październikowy dotarliśmy koło trzeciej. Szliśmy dość wolno, jakby nigdzie nam się nie spieszyło. Na pewno nie mieliśmy tego samego dnia wracać do Fortu.

Niepokojące.

Przez ten czas minęliśmy pięć taborów. Chłopi z Październikowego jechali do miasta po zakupy, a przy okazji jak najkorzystniej sprzedać przechowany od lata miód. Drwale wieźli sosnowe bale i rozpiłowany na deski modrzew. Inne trzy tabory wracały z Siewieroreczeńska. No i myśliwi urządzili sobie biwak na poboczu: taszczyć na własnych plecach trzy sarny i dzika nie było wcale tak łatwo. A poza tym - cisza. I nic dziwnego: do Fortu ludzie wyjeżdżają zazwyczaj wcześniej rano, żeby nie wracać po ciemku do domu. A z kolei z Fortu dzisiaj mało kto mógł się wydostać.

Na rozstajach poczekaliśmy na resztę, uzgodniliśmy z Grigorijem, żeby na razie nie robić postoju, ale dojść wpierw do skrętu na drogę okrężną. Tam nie będzie problemów z opałem, a poza tym jest gdzie nabrać wody.

Zaraz za skrzyżowaniem dróg, wzdłuż traktu od razu zaczęły się pojawiać wysokie krzaki, które wkrótce zmieniły się w gęste zarośla. Głóg, leszczyna i inne nieznane mi rośliny ciągnęły się po obu stronach prawdziwą zwartą ścianą. To była roślinność jakby przedleśna. Jeździć w to miejsce z Fortu za takim drobiazgiem byłoby nieporozumieniem. Śmiech jeden, a nie drzewa. Wszystko z pniami nie grubszymi od nadgarstka i można w dodatku zaplątać się w jeżownik.

Od razu rzucało się w oczy, jak daleko temu czemuś do prawdziwego lasu. Rozsady, zwyczajne rozsady. I bardzo dobrze, że są. Tylko że i tak trzeba się rozglądać na boki. Nie, żeby to był jakiś opuszczony rejon, ale na pewno już nie regularny trakt. Diabli wiedzą, co może siedzieć po krzaczorach.

- Tutaj się zatrzymamy. - Grigorij skręcił z drogi na niedużą polanę. Potem zwrócił się do Jałtina i do mnie.

- Dobre miejsce?

- Wszystko w porządku. - Czarownik z jakiegoś futerału wyjął cieniutką różdżkę ozdobioną złotym paskiem, zaczął nią wodzić w powietrzu. - Tło normalne.

- Miejsce jak miejsce - zgodziłem się z nim. Polanę ze wszystkich stron otaczała leszczyna, jedynie od drogi prowadziła przez gęstwę krzewów wąziutka ścieżka. Pośrodku na wydeptanej ziemi sporządzono krąg z okopconych kamolców. Gdzieś obok szemrał strumień. Dobre miejsce, tylko komarów było tutaj trochę za dużo. Ktoś na pewno Griszy powiedział o tej polance, bo przecież z drogi nie szło jej zauważyć.

- Diabli. - Napalm klepnął się w policzek, zmarszczył w skupieniu brwi i po chwili na ziemię posypały się trupy spalonych owadów.

Świetnie. Skoro można było zapomnieć o komarach, wybór miejsca z czystym sumieniem

mogłem ocenić jako znakomity.

- Normalnie jak szturmowy „Raptor” - zachwycił się wujek Żenia.

Piromanta zerknął na niego z ukosa, ale nie odpowiedział.

- Napalm, ty rozpalisz ognisko, Sopol z Chanem pójda po drzewo. Wiera, przygotujesz coś szybkiego do zjedzenia. Siergieju Michajłowiczu, wy zajmijcie się bezpieczeństwem, Dymitr niech pilnuje drogi - wydał rozkazy Piegowaty, pomijając zupełnie bliźniaków. - Ja z Mielnikowem pójdę po wodę, Cóż, bracia stanowczo powinni trochę wypocząć.

Sterali się. Drugi, blade jak prześcieradło, ledwie mógł ustać. Pierwszy był wprawdzie - odwrotnie niż brat czerwony jak rak, ale także ledwie powłóczył nogami. I nie chodziło tutaj po prostu o ich formę fizyczną. Każdy z nich był co najmniej dwa razy silniejszy ode mnie, ale wciąż jeszcze odczuwali skutki aklimatyzacji. Wiele razy widziałem coś podobnego w Patroli: prawdziwy sportowiec, silny jak tur, a przeszedł pięć kilometrów i puchł. Dopiero po tygodniu lub dwóch zaczynał wchodzić w rytm nowego życia. Oczywiście, jeśli nie wdały się w tym czasie jakieś mutacje.

Bliźniacy zrzucili plecaki, zwalili się na rozgrzaną słońcem ziemię i zaczęli udawać, że trzymają wartość.

Czarownik z mądrą miną obszedł polanę dookoła, od czasu do czasu nacinając srebrnym nożem gałązki leszczyny. Kto by mógł przypuszczać, że Jałtin tak dobrze będzie znosił trudy marszu? Nawet nadwaga mu nie przeszkadzała.

Wiera burczała pod nosem coś w stylu „nie najmowałam się u was za kucharkę”, ale zaczęła grzebać w zapasach. Napalm usiadł na kamieniu, zapalił papierosa, a ja z Chanem wybraliśmy się po opał i w ciągu pięciu minut wróciliśmy z naręczami chrustu.

Dokąd pójdziemy dalej? Przecież nie będziemy tutaj nocować.

Wrócili Grigorij i wujek Żenia, piromanta zabrał się do rozpalania ognia. Dobrze mieć taki fach w ręku nie trzeba nosić zapalek czy zapalniczki. Nie przeszkadzają nawet wilgotne drwa.

Czarownik sprawdził przyniesioną w kociołkach wodę, wrzucił do każdego „kroplę rosy” i Wiera zaczęła gotować. Siergiej Michajłowicz wziął drugi kociołek, zaczął wrzucać do niego zioła, jakieś proszki, suszone jagody. Przygotowywał najwyraźniej jakąś specjalną herbatkę.

- Długo jeszcze? - Drugi pociągnął nosem.

- Rany, że też możesz myśleć o jedzeniu - jęknął Pierwszy. - Mnie od samego zapachu rzygać się chce. W dodatku szyja mi dokucza...

- Tak w ogóle ja też nie za bardzo się czuję przyznała Wiera. - Jakby mi ktoś przytknął

uszy wata, a w skroniach mam ucisk.

- Magiczna burza - wyjaśnił czarownik, szcękając kieszonkowym zegarkiem, w którym zamiast cyferblatu wstawiony został poznaczony pentagramami kamień księżycowy. - Niezbyt silna, wszystkiego cztery stopnie w skali Bergmana, ale dla ludzi wrażliwych na zmiany magicznego pola...

- Kiedy dotąd nigdy nie miałam takich objawów. - Wiera machnięciem łyżki odgoniła pchającego się do kociołka Drugiego.

- Mury miejskie ekranują w pewnym stopniu skutki zmian mocy - znowu zaczął objaśniać Jałtin. - Kiedy odkryto naturalne wahania i sezonowe zmiany pola energetycznego Przygranicza, Gimnazjon ustalił dla nich skalę.

- To jak żyją w wioskach? - Drugi przysiadł się bliżej ogniska.

- Wszystkie starają się zabezpieczyć. W miejscach, gdzie mają własnych zaklinaczy, sami sobie organizują ochronę, a gdzie nie, kupują zbiorniki Iwanowa. Gimnazjon ma z tego naprawdę niezły dochód.

Pomasowałem skronie, wciągnąłem nosem zapach jedzenia. Cztery stopnie to drobiazg. Też mi burza! Zimą normalne tło wynosi trzy i pół. Przy pięciu stopniach bez ochrony lub zażywania specjalnych preparatów nie przetrwa się za miejskimi murami dłużej niż dwie doby. Pewnie, nie umrze się bez tego, ale proces rehabilitacji nie należy do najprzyjemniejszych doświadczeń.

- Kasza dochodzi, bierzcie się za łyżki - oznajmiła dziewczyna.

- Super. Herbata też już gotowa. - Czarownik zdjął kociołek z ognia, wsypał do niego z żelaznej puszki czerwonawy proszek, wypowiedział półgłosem zaklęcie. Woda momentalnie zmieniła barwę z burej na bursztynową, a wszystkie fusy oraz jagody osiadły na dnie. Podchodźcie kolejno. Wybaczcie marny kalambur, ale Pierwszy niech będzie pierwszy, a Drugi drugi.

Napalm nieufnie powąchał wywar. - A to po co?

- Wzmacnia odporność na promieniowanie magiczne, a przy okazji wypłukuje toksyny. Przepis opracował Gimnazjon specjalnie na potrzeby Patrolu. - Jałtin wyjął miarkę, zaczerpnął herbaty i przelał ją do srebrnego kubeczka, którego ścianki pokrywały czarodziejskie napisy.

Piromanta zmarszczył nos od ostrego zapachu.

- Ja tego nie potrzebuję. Wolałbym na odwrót, coś na osłabienie tej odporności.

- Ile organizm może przerobić, tyle przerobi. Wywar pomaga tylko uwolnić nadmiar. Nie możemy sporządzić i przyjąć większych dawek, ale profilaktyka na pewno nie zaszkodzi.

Bliźniacy kolejno wzięli srebrny kubek z rąk czarownika i wypili preparat, krzywiąc się. Ale ich skrzywiło, ależ mieli miny! Przecież nie piwo wam dali, żeby tak narzekać. A, przepraszam, przecież wy nie pijecie... No to nie mleko wam dali.

Wszyscy musieli łyknąć wywaru, nawet broniący się desperacko Dymitr. Kiedy przyszła kolej na mnie, wstrzymałem oddech i wypłem to świństwo małymi łyčzkami. W ten sposób wydawało się mniej wstrętne. W Patrołu coś takiego dawali nam po każdym rajdzie. Tyle że tam dodawali do herbatki obrzydlistwo, po którym się potem człowiekowi odbijało. Ale to i tak drobna niedogodność w porównaniu z comiesięcznym zwiedzaniem KWB - komory wyrównania biopola. A kąpiel ozonowa po każdej wyprawie na Północ! Wszelakie obrzydliwe mikstury, pobieranie krwi i wycinków skóry, analizy i szczepionki w porównaniu z tym mogły się wydawać niewinnymi psotami lekarza z przychodni rejonowej.

- Okropność. - Grisza splunął żółto, nie wiadomo dlaczego zatykając nos. - Poznałem malinę kamionkę, pokrzywę i żurawinę, ale pozostałe...

- Nie gadajmy o tym nawet - przerwał mu Napalm, podał Wierze metalową miskę. - Bo mi się jeszcze wróci.

I tak byłem zdziwiony, że nikogo nie zemdliło. Mnie tam za pierwszym razem nieźle targało. Może Jałtin udoskonalił recepturę? Byłoby to do niego nawet podobne. Bliźniacy już się ożywili, wcinali kaszę z entuzjazmem. Prawidłowo zrobili, zostawiając jedzenie na później - jeśli od razu nie zabić czymś smaku wywaru, całą dobę potrafi potem łązić po gębie.

- Często będziemy musieli pić to gówno? - spytał Drugi. Zrozumiawszy, że dokładek nie będzie, starannie oblizał łyżkę.

- Raz dziennie. - Siergiej Michajłowicz zanim zamknął torbę, uważnie sprawdził swoje fiolki, pudełeczka i kolby.

- Więcej tego do ust nie wezmę - zastrzegł się Dymitr.

- Twój wybór. - Czarownik nie zamierzał się spierać, pogładził palcem puszysty wąs.

- Smakuje to jak ostatnia trucizna, nie ma co gadać - zamyślił się Pierwszy. - Ale od razu mi lepiej. I ból szyi minął.

- Dodałem trochę ziół tonizujących - oświadczył z dumą Jałtin i popuścił nieco pasa z masywną, srebrną sprzączką.

Tak jak myślałem!

- Pół godziny odpoczynku i zbieramy się - powiedział Piegowaty. - Pierwszy i Drugi, idźcie nad strumień umyć naczynia.

- Gdzie to jest? - Drugi zerknął z niezadowoleniem na brudne kociołki i miski.

- Pokażę wam - zaproponował wujek Żenia. Usiadłem na rozgrzanym kamieniu, tknąłem

zar patykiem. W górę poszedł lekki dymek, przeschnięte drzewo zapaliło się, strzeliły płomienie, popęzły wzdłuż patyka, który musiałem natychmiast odrzucić.

- Napalm, to ty? - spojrzałem karcąco na piromantę.

- Aha - uśmiechnął się szeroko, siadając obok.

- O co tam Chan czepia się czarownika?

- Wiecie, Siergieju Michajłowiczu, te wasze zioła to ni w gwiazdę, ni w czerwoną armię, musielibyście jeszcze trochę popracować nad smakowymi właściwościami. - Piromanta bardzo udatnie naśladował Chana. - Proszę dać mi zaraz coś na zgałę.

- Czego się nabijasz z człowieka? - Wiera upiła wody z butelki, zakręciła ją i wyjęła z kieszeni lusterko. - Możecie go nie lubić, ale ma biedak zgałę.

- Jeden mój kumpel zaaplikowałby temu koleśowi najefektywniejsze lekarstwo - przypomniałem sobie pewną opowieść Szurika Jermołowa. - Cyjanek potasu.

- Przecież żartujemy tylko. - Napalm machnięciem ręki zdławił ogień, rzucił jeden z kamieni na węgle. - Widzę, że masz fajnych przyjaciół.

- Chce ktoś dokładkę? - spytała nagle Wiera.

- A coś w ogóle zostało? - zdziwił się piromanta.

- Leży przecież - wskazała ślimaka na odwróconym kamieniu.

- To nie dla nas - pokręcił głową Napalm. Takie atrakcje lubią Chińczycy. Jeszcze trochę, a zeżrą w Fortcie wszystkie karaluchy.

- Cholera, nie potrafię pojąć, dlaczego wpuścili Triadę do Fortu. - Sprawdziłem patronasz, wziąłem się za karabin.

- A co w tym dziwnego? - burknął Napalm. - Wszystkim okazało się to na rękę, więc wpuścili.

- Kto to jest „wszyscy”?

- Rada Miejska.

- Ale dlaczego?

- Prawidłowe pytanie brzmi: z kim w pierwszym rzędzie ma kosę Triada?

- Z Cechem - odparłem po chwili namysłu.

- A kto wciąż i wciąż próbuje się wcisnąć do rady? Cech właśnie. Jakoś się to wiąże, co?

- Można by pomyśleć, że Triada jest w czymś lepsza.

- Triadę, jak by co, łatwiej wyrzucić z Fortu, byle nie dać im okrzepnąć.

- Podobno Liga otrzymała pozwolenie na otwarcie przedstawicielstwa w Mieście. - Dziewczyna spojrzała ostatni raz w lusterko, schowała je do kieszeni.

- Właśnie! Lidze przedstawicielstwo, Bractwu sprzedać nieruchomości, Drużynie

umożliwić ułożenie sobie stosunków z Miastem... Wszystko staje się jasne, jeśli trochę pomyśleć.

- A Związek Handlowy?

- Kupcy nie wystąpią przeciwko wszystkim.

A poza tym dla nich pojawienie się Chińczyków było bardzo na rękę. Wymiana towaru z Miastem uległa wielkiemu ożywieniu.

- Mogiła. - Wiera wstała, poprawiła kurtkę. W ten sposób mamy w Forcie piątą kolumnę.

- Tak jakby przedtem nie było u nas różnych szpieguniów z Miasta - wtrącił się Grigorij, którego zainteresowała nasza wymiana zdań. - Chińczyków przynajmniej widać. A poza tym, można spróbować przeciągnąć ich na naszą stronę.

- To jest jakieś wyjście - zgodził się Napalm. Ale przede wszystkim wszyscy chcieli zneutralizować Cech, bo zaczął ostatnio za bardzo podskakiwać.

Kiedy bliźniacy wrócili znad strumienia, Piegowaty chwycił plecak i podszedł do wujka Żeni. Odpoczynek dobiegł końca, zaczęliśmy się pomału zbierać. Poczekaliśmy, aż zapanuje jakiś taki porządek, wyszedłem na środek polany.

- Momencik, posłuchajcie mnie! Pójdziemy dalej po zaniedbanej drodze...

- I co z tego? - przerwał mi Chan.

- Patrzcie uważnie pod nogi i rozglądajcie się na boki, przyjemna przechadzka skończyła się. - Nie zamierzałem wymieniać wszystkich możliwych niebezpieczeństw. Po pierwsze, nigdy nie wiadomo, na co można się nadziać, a po drugie, i tak by się specjalnie nie przejęli.

- A może my, ten tego, wróćmy lepiej do Fortu? - spytał Chan z całą złościwością, na jaką go było stać.

- To by było idealne wyjście - odparłem ze śmiertelną powagą, ale Grigorij, niestety, nie poparł mnie.

Wyszliśmy z polany ścieżką kluczącą wśród leszczyny, a po paru minutach dotarliśmy do szemrzącego wśród kamieni strumyka. Poziom wody opadł już, ale żeby nie zamoczyć nóg, musieliśmy skakać po wystających z wody głazach. Dziwne doprawdy, że nikt się nie pośliznął. Ja sam parę razy cudem zdołałem utrzymać równowagę. Minęliśmy przylegającą do strumienia bagnistą łąkę i wyszliśmy na wysypaną żwirem drogę, po której obu stronach gęsto rosły wierzby.

- Porządek marszu jak przedtem - zarządził Grisza. - Odległości...

- ... co trzy metry - odpowiedziałem, poczekaliśmy na Napalma wytrząsającego z buta kamyk, poszedłem przodem, uważnie oglądając drzewa. - Trzymajcie się z daleka od lewego pobocza. Na liściach z tej strony mamy plastelinowy szron, a na skraju drogi cierniokwiat.

- A co to za szron? - zdziwiła się Wiera. - Coś w rodzaju mszyc?

- Jadowity grzyb. Można się o niego okropnie poparzyć - wyjaśniłem. - Cierniokwiat to te wesolutkie kwiateczki. Tak, właśnie te niebieściutki. Żeby ci nie przyszło do głowy zrywać, bo potrafią człowieka przebić na wylot.

- A czemu tutaj jest tak mało ptaków? - Dziewczyna odprowadziła wzrokiem srokę, która sfrunęła z gałęzi. - Od chwili wyjścia z Fortu widzę dopiero czwartego.

- Naprawdę liczyłeś? - roześmiał się Napalm.

- Mam po prostu znakomitą pamięć wzrokową oraz dar obserwacji.

Szmer. Od strony rosnących po prawej drzew rzucił się ku nam zlewający się z drogą cień. Chwyciłem karabin, odwróciłem się.

Jaskrawozielony błysk uderzył w źrenice, zanim udało mi się wycelować. Diabli! Z oczu pociekły mi łzy, kilka razy mrugnąłem, ale ostrość widzenia wracała bardzo powoli. Najpierw zacząłem rozróżniać szare kontury przedmiotów, dopiero potem barwy wskoczyły na swoje miejsce.

- Mielnikow! - wrzasnął Grisza. - Co ty wyrabiasz?!

- Skąd miałem wiedzieć? Od naszych szturmowców to dostałem.

- Kiedyś, cholera ciężka, sam siebie podpalisz. - Piegowaty zakrył twarz rękami i pokręcił głową.

- Jak przypuszczam, to był „Płomień piekielny”? Jałtin spokojnie podszedł do rozerwanego na pół zwierzęcia.

Cóż to nas chciało wziąć na ząb? Barwa gładkiej skóry z krótką szczecina była dokładnie taka, jak kolorystyka żwiru, ale teraz powoli zaczynała zmieniać nasycenie z brudnoszarego na zgniłozielony. Szpony miała bestia przynajmniej dziesięciocentymetrowe, głowę wyciągniętą daleko ku przodowi. Trudno to nawet by było z czystym sumieniem nazwać głową - prędzej można by określić ją jako jedną wielką paszczkę. Oczy i nozdrza zwierzę miało wąskie. Kikimora. Od rozerwanego i nadwęglonego magiczną energią ciała niósł się kwaśny odór spalenizny.

- Co to, kurwa, ma być? - Mielnikow wcisnął do kieszeni rozładowany amulet. - Co za cudactwo?

- Kikimora szara zwyczajna. - Otarłem wciąż jeszcze łzawiące oczy. - Z reguły poluje w małych stadach, po trzy-cztery sztuki. Lepiej odejźmy stąd kawałek. One nigdy nie oddalają się od swoich łowieckich rewirów.

Pełne niezadowolenia powarkiwanie oślepionych towarzyszy natychmiast umilkło, pobiegliśmy przed siebie. Po mniej więcej dwustu metrach zwolniłem i zacząłem iść, starając

się uspokoić oddech.

- Siergieju Michajłowiczu, wasz system ostrzegania zawiódł - zwrócił się do czarownika Grigorij.

- Najprawdopodobniej problem leży w nieprawidłowym skalibrowaniu - Jałtin nie tracił animuszu. Potrzebuję kwadransa, żeby się zorientować, co i jak.

- Dobrze by było przejść przez moczary dopóki mamy słońce nad głową - uprzedziłem Piegowatego. Te obłoczki też mi się nie podobają.

- „Jak to miło chmurką być, niebem płynąć jak po wodzie” - zanucił cichutko Napalm mrużankę Kubusia Puchatka. - „Mała chmurka na dzień dobry taką piosnkę śpiewa co dzień”.

- Daleko do tych moczarów? - zatroskał się Grisza.

- O ile dobrze pamiętam, zaczynają się za tym zakrętem.

- Słońce jeszcze wysoko - zauważył Chan.

- Macie dziesięć minut, Siergieju Michajłowiczu - postanowił Grigorij. - Sopol, my się przejdziemy do bagien zobaczyć, jak wygląda sprawa z przeprawą. Napalm, ty z nami.

- A skąd tutaj przeprawa? - spytał piromanta, odciągając kurek swojego antykwarycznego pistoletu.

- Tam dalej była wieś, miejscowi regularnie korzystali z drogi.

- Była?

- Podniósł się poziom wód gruntowych i ją zatopiło - przypomniałem sobie opowieści patrolowych. - A ludzie? - Napalm skrzywił się, kiedy oblepiła go gromada muszek, znów wezwał na pomoc swój dar. Po owadach nie pozostał nawet popiół.

- Jedni przenieśli się do Fortu, inni do Październikowego.

Minęliśmy zakręt i znaleźliśmy się przed sporą zatoką.

- Kiedy przeglądałem materiały marszruty, przeczytałem, że zostało tam kilka zagród. - Grigorij uważnie obejrzał przez lornetkę na wpół zatopioną drogę. Wody już trochę opadły, ale i tak dobre sto pięćdziesiąt metrów trzeba będzie przejść po zalanym terenie. Sopol, jak myślisz, damy tędy radę?

- Wydaje mi się, że tak. - Wziąłem od niego lornetkę. - Nie ma co nadkładać drogi.

Dwieście metrów przed nami trakt krył się pod czarną bagienną wodą. Można tam było przejść jedynie po wąskiej grobli sporządzonej ze zbitych na zaciosy kłód. Wydawało się, że konstrukcja powinna bez problemu wytrzymać nasz ciężar. Ale jak było naprawdę, diabeł jeden widział. Nie było nad czym deliberować - trzeba podejść i po prostu zobaczyć.

Co nastrojało mnie optymistycznie, to fakt, że do zabagnionego odcinka drogi nie

podchodziły wierzby, a ziemię pokrywał gęsty kobierzec traw, pośród których sterczały niebieskozielone ostrza liści turzycy. W takich warunkach nikt nie zdoła się do nas zbliżyć niepostrzeżenie. I choć sami będziemy niby mucha na talerzu, nie powinniśmy się obawiać jakiegoś niespodziewanego ataku.

- Zaraz podejda nasi i od razu idziemy - powiedział Grigorij, chowając do kieszeni amulet komunikacyjny. - Czarownik już ustalił, w czym problem.

- Nie podobają mi się tamte szuwary - wskazałem kołyszącą się w porywach wiatru ścianę zieleni, który przy przeciwnym brzegu podchodziła prawie do samej drogi. Wylezie stamtąd pancernik albo wilkołak i nawet jeśli go natychmiast rozwalimy, ktoś może zdążyć dosięgnąć.

- Sitowie to nie problem. - Zmrużywszy oczy przed ukośnymi promieniami chylącego się ku zachodowi słońca, Napalm spojrział na nas pobłaźliwie, z wysokości swojego wzrostu.

- No i doskonale. - Grigorij odwrócił się, spojrział na zbliżających się bliźniaków. - Nie zrozumiałem, gdzie reszta?..

Drgania powietrza za plecami braci wydały nu się niepokojące, ale niczego nie zdołałem dostrzec za pomocą czarodziejskiego widzenia. Jednak coś było nie tak...

- Moje ostatnie dzieło - pochwalił się Jałtin, kiedy figury chłopaków rozwarstwiły się i zamiast dwóch ludzi zobaczyliśmy sześciu. - Przestrzenne nałożenie obrazów.

- Trzeba było uprzedzić. - Grigorij powoli opuścił lufę AK5U. - Teraz migiem sforsujemy zabagniony odcinek i maszerujemy dalej w normalnym reżimie. Wszystko jasne?

Powlekliśmy się w stronę przeprawy.

Na twarzach bliźniaków, Chana i Dymitra zauważyłem świeże ślady ukąszeń miejscowej krwiopiczej drobniicy, natomiast po Siergieju Michajłowiczu i Wierze nie było zupełnie widać bliższej znajomości z komarami i muszkami. Wieczorem trzeba się będzie trzymać w pobliżu piromanty.

W drodze, w miarę przybliżania się do zabagnionego odcinka, coraz częściej zaczęły się pojawiać uszkodzenia, w których już zdążyły się zadomowić wątle krzaczk i marnie wyglądająca trawa. W głębokich deszczowych kałużach migały kropeczki rozwiolatek, a przy dnie zamaryły cienie kijanek. Dymitr już chciał zejść z nierównej nawierzchni na pobocze, ale powstrzymał go widok ostrych liści traw. Dobrze, że się nie wygłupił, bo gdzie byśmy mu zdobyli nowe obuwie?

- Sopol, poczekaj - zaniepokoił się czarownik, kiedy już miałem stanąć na oślizłej, mocno przegniłej kłodzie przeprawy.

Mało brakowało, a byłbym się pośliznął, kiedy spojrzałem na wołającego. Na

powierzchni wody kiwał się kawałek kory zerwany butem.

- Coś się stało? - zapytał Grigorij, ale Jałtin pokręcił tylko głową, wpatrując się w zatokę. Co wzbudziło jego czujność? Przecież panował zupełny spokój.

Przy brzegu pływała rzęsa wodna, dalej powierzchnia była czyściutka. Z drugiej strony w naszym kierunku ciągnęła się ulotna dróżka złożona z bijących w oczy słonecznych odblasków, ale zarośnięte wodorostami muliste dno było widać jak na dłoni. Skądś dochodziło rechotanie żab, a od rozgrzanej zatoki płynęło ciepło. Lekki wiaterek poruszał trzciniami, w oddali zieleniły się wierzchołki topoli. Teraz tylko by sięść sobie na brzegu, rozłożyć zapasy na gazetce, łyknąć z flaszki... Jeszcze tylko wędkę i - posłuchaj przyjacielu - zza drzew doleci zaraz szum kolejki elektrycznej.

Czarownik wyjął drewnianą szkatułeczkę, wytrząsnął na dłoń z dziesięć maleńkich kryształków, wrzucił je w moczar. Na moment zawisły w powietrzu, a potem miękko opadły ku powierzchni wody, połyskując zielonkawo i popędziły w dal.

- Co się stało? - nie wytrzymał Mielnikow, ale Jałtin tylko syknął na niego, nadal się czemuś przypatrując.

- Wydawało mi się - oznajmił wreszcie z pewną ulgą.

- Trzeba się było lepiej przeżegnać - doradził Chan.

- Uwzględnię to w przyszłości - kiwnął głową Siergiej Michajłowicz, gestem poprosił, żeby kontynuować przeprawę. - Proszę...

Pierwszy wlaź na groblę Napalm, ja zaraz za nim.

Bale chwiały się pod nogami, ale zostały porządnie zamocowane.

- Kurważ mać! - zaklął Chan, kiedy but wpadł mu między kloce i nalało się do niego błotnej mazi.

Nikt - nawet się nie uśmiechnął. Otwarta przestrzeń na wszystkich działała przygnębiająco. Odgłosy chlupotania między chwiejącymi się na wszystkie strony belkami rozchodziły się nad zatoką, a każdy ostrzejszy dźwięk powodował, że mocniej ścisnąłem karabin. W miarę oddalania się od brzegu, głębina stawała się coraz większa, a na wodzie tu i ówdzie pojawiały się kręgi - ryby polowały na latające nad powierzchnią małe owady.

Wszystko byłoby w porządku, ale wystrzelać nas w tej chwili... Myśl, która na brzegu wydawała się bzdurna, pośrodku akwenu nie dawała mi spokoju. Poza tym czarna woda też skrywała różnych mieszkańców. Niechby podpłynął tylko jakiś wodnik albo stalowy włos...

- Napalm, co z szuwarami? - przypomniał piromancie Grigorij, kiedy do brzegu zostało ze czterdzieści metrów.

Drewniana grobla zamieniła się już prawie w pojedyncze kłody, jakoś tam na miejscu

utrzymywane mocowaniami. Jeszcze trochę i trzeba będzie płynąć. Nie, na szczęście dalej konstrukcja zaczynała się dźwigać z wody. Znaleźliśmy się po prostu w najgłębszym miejscu.

Zamiast odpowiedzi Napalm wyciągnął rękę. Z jego dłoni wystrzelił żółty kłęb płomieni. Pod naporem ognia łodygi trzciny zapłonęły gwałtownie i szarymi płatami sadzy opadały na wodę.

- I dobrze. - Piromanta, upewniwszy się, że spalił tyle, ile trzeba, zaczął przeskakiwać z kłody na kłodę. - Idziemy...

Prychnąłem ze zdziwienia - co za talent! - i ruszyłem za nim. Teraz na pewno nikt i nic nie wyskoczy z zarośli, ale też taki fajerwerk nie mógł pozostać zupełnie niezauważony. Kto wie, jaki stwór postanowi sprawdzić, skąd ten ogień? Może lepiej było jednak poprosić czarownika, żeby zaklęciem przeczesał chaszczę? Cóż, każdy jest mądry po szkodzie.

Pływające po wodzie płaty sadzy zakołysały się i w przepławę zaczęły uderzać niewielkie fale. Wraże - nie było takie, jakby ktoś płynął ku nam, prac przed sobą grubą warstwę wody. W dodatku ten ktoś nas doganiał...

Rzuciliśmy się w stronę brzegu. Najgorzej radził sobie ze skakaniem po belkach Siergiej Michajłowicz, ale nie dawali mu się zwalić w bagno podtrzymujący go z dwóch stron Grisza i wujek Żenia. Wszystko by było dobrze, ale inni nie mogli ich w tej chwili wyminąć. Chyba że wpław.

Biegący na końcu Drugi spanikował i nie zdołał wymyślić nic” lepszego jak aktywować ARIP, żeby wrzucić go w moczary. Nad miejscem upadku zaraz pojawiła się kopa blasku, a męty, popiół i rzęsa spłynęły na dno.

Wyskoczywszy na brzeg, w pierwszym rzędzie oddaliłem się od wody i ślizgając się na zarośniętym trawą zboczu, wbiegłem na drogę. Obok mnie z automatem w rękach rozglądał się na wszystkie strony Chan. Pozostali powoli docierali do nas.

- Po co wyrzuciłeś granat? - spytał Drugiego Chan, kiedy chłopak podszedł bliżej. - Rybek chciałeś nagłuszyć?

- A idźcie w buraki - zjeżył się Drugi. - Widzieliście fale? Tam taka bestia płynęła, że mnie czy ciebie wzięłaby na jeden ząb!

- Tam nic nie było - zaprzeczył czarownik.

- Wiecie to ze swojego wołtomierza? - wsparł brata Pierwszy. - Wszyscy widzieli fale! - Tam przecież wody po kolana.

- Jak jesteście tacy mądrzy, to dlaczego biegliście tak szybko?

- Maleńki chłopczyk granacik znalazł - wtrącił swoje trzy grosze Napalm.

- A ty się lepiej przymknij! - wsiadł na niego Pierwszy. Od razu stało się jasne, że nie

ustępuje wzrostem piromancie, a przy tym jest o wiele solidniej zbudowany.

- Lecimy - Grigorij przerwał jałową dyskusję. Trzeba się pospieszyć, bo słońce niedługo zajdzie.

Opuściliśmy zabagnioną nizinę, droga wiodła teraz w prawo, tam gdzie powinno znajdować się Rudne. Jego peryferii nie było jeszcze widać zza rzędów topoli. Kiedy je minimy będzie już wiadomo, ile drogi zostało.

Słońce skryło się za topolami, promienie przedzierały się przez gęstwą młodych liści. W miarę zbliżania coraz wyraźniej było widać oplątujące pnie i rozciągające się między drzewami liany jeżownika oraz sterzące z ziemi, rozcapierzone na końcach pędy czarnego bambusa. Liście topoli miały dziwny odcień, nie sinozielony nawet, ale jakiś taki przezroczyście-błękitnawy.

- A to co? Ten wasz jeżownik? - Chan rąbnął tasakiem w przerzuconą przez drogę lianę z rzadka usianą kępkami krótkich igiełek. Masywne ostrze rozcięło cienką zieloną korę, pojawił się bezbarwny sok. - A mówili, że to istny drut kolczasty.

Wyginając się konwulsyjnie, kikut spróbował dopaść krzywdziciela, zmuszając Chana do ucieczki. Chciałbym zobaczyć, jak ten cwaniak zimą próbuje się dorwać do jeżownika z tym scyzorykiem. Prościej by było wówczas użyć ręcznej piły.

Nie wiem już, kto pierwszy zareagował na pojawiające się wśród drzew cienie, ale na pewno nie ja - zbyt przypominały taniec słonecznych promieni pośród poruszanych wiatrem liści. Ale kiedy Jałtin i Napalm cofnęli się na przeciwną stronę drogi, dotarło do mnie, że to, co widzę, to nie tylko gra świateł. Cienie były zbyt mroczne jak na tak słoneczny dzień, a poza tym żyły własnym życiem - dosłownie jakby ktoś niematerialny przemieszczał się z jednego cienistego zakątka w drugi.

- Co to jest? - Grigorij kręcił głową, popatrując to na zjawisko, to na czarownika.

- Spadajmy stąd i to zaraz - zaproponowałem, czując nieprzyjemny dreszcz na plecach. - To niedobre miejsce.

- Wszystko jedno, ale co to było? - pytał uparcie Piegowaty, kiedy oddaliliśmy się od groźnych drzew. - Rzeczywiście, miejsce paskudne - zgodził się ze mną Jałtin.

- Co to znaczy?

- Nieczyste - wyjaśniłem.

- Może diabelskie? - prychnął Chan. - Głupie gadanie!

- Skoro wicie lepiej - wzruszyłem ramionami. Latem może to się wydawać głupim gadaniem. Cienie nie odważyły się wypełznąć na drogę. Ale zimą, w dodatku po zachodzie słońca... Ilu takich sceptyków można znaleźć po odwilży, trudno policzyć. Przecież lodowi

piechurzy też nie pojawiają się znikąd.

- Jeśli bardziej wam pasuje takie wyjaśnienie, to była lokalna anomalia pola energetycznego - zaproponował wyjaśnienie czarownik.

- Nie podoba mi się ani tak, ani tak. - Chan nie wziął słów Siergieja Michajłowicza poważnie.

I słusznie, że mu się nie podoba. Nic dobrego w takich anomaliach człowiek nie znajdzie. Chociaż nie, mają jedną pozytywną cechę - występują tylko lokalnie, a to bardzo istotne. Nie wolno leżeć w niedobre miejsce, wtedy nie traci się życia. Czarownik zapomniał dodać tylko terminu „pseudorozumna”. Mądrale z Gimnazjonu bardzo lubią te dwa słowa: „anomalia” i „pseudorozumna”. Jak tylko spotkają coś, o czym nie mają pojęcia, zaraz zaczynają nimi szermować.

Przeszliśmy jeszcze z pół kilometra, ominęliśmy gaj i oczom naszym ukazały się peryferia Rudnego. Zostało najwyżej piętnaście minut marszu.

Grigorij podniósł do oczu lornetkę, uważnie zlustrował najbliższe budynki, ale nic niepokojącego nie wypatrzył. Ale co też można niby dostrzec z takiej pozycji, Jak nasza, nawet przez lornetkę? Spojrzysz - pusto jak po wojnie atomowej, jedna ruina: pochylony płot, kryty papą długi barak, wyglądający zza drzew róg dwupiętrowego domu, komin kotłowni. Ale nikt nie ma pojęcia, co tam się dzieje naprawdę.

Przy samym wjeździe do osiedla na poboczu rdzewiał ciągnik. A właściwie resztki maszyny. Ktoś zapobiegliwy powyjmował i powykręcał wszystko, co mogło się przydać, wziął się nawet za gaśnice.

- Na górcie stoi furmanka, ktoś koła z niej zdjął - skomentował widoczek Napalm, spojrzał na idącą obok niego Wierę i zamilkł.

- Ależ niesamowity zachód! - zachwycił się wujek Żenia na widok purpurowych obłoków, przez które przesączały się promienie słoneczne.

Co za chłop! Inni marzą tylko o tym, żeby dopełnić do postoj, a ten się zajmuje okolicznościami przyrody! Silny jak koń.

Czując zbliżający się odpoczynek, przyspieszyliśmy kroku. Wkrótce skręciliśmy w prowadzącą w głąb osiedla drogę gruntową. Buty zakłaskały w błocku, a nie dało się iść poboczem, bo z obu stron ciągnęły się wypełnione wodą rowy o trawiastych brzegach. Po lewej stronie mieliśmy pustać. W rozkiszłej glinie można by chyba utonąć. Brzeg prawego rynsztoka rozpadł się, rozsypał, podchodząc pod same płoty jednorodzinnych domków.

- Poczekajcie! - stałem się ostrożny, kiedy zbliżyliśmy się do pogorzelska.

Moją czujność wzbudził podeschnięty na słońcu kawałek drogi z przodu. Wszędzie

dokoła kałuże, błoto, a krok dalej suchutko. O co chodzi? Takie rzeczy zawsze trzeba sprawdzać.

- Co znowu? - Grigorij rozejrzył się uważnie. Dymitr parę razy podrzucił i złapał toporek, Napalm pomasaował palcami skronie, a Chan i bliźniacy odbezpieczyli broń. Wszyscy już przyswoili prostą prawdę, że niczego dobrego po takich nagłych postojach spodziewać się nie należy. Tym bardziej że doszliśmy już prawie do samego osiedla i nie wiadomo, na kogo tutaj można trafić.

- Zaraz zobaczymy. - Przeskoczyłem rów, wyłamałem deskę z płotu. Okazała się zanadto nadzarta zgnilizną, wziąłem więc inną.

Wróciłem na drogę, podszedłem na sam skraj suchego, tknąłem deską. Nic się nie stało. Spróbowałem w innym miejscu. Też nic. Z tyłu doleciały drwiące śmieszki.

Śmiejcie się, śmiejcie. Ze złością uderzyłem końcem deski w środek drogi tak mocno, że mały włos, a postąpiłbym krok naprzód, tym bardziej że przedmiot miękko wszedł w ziemię. Ułamek sekundy później cały spłacheć przeschniętego gruntu zapadł się, odsłaniając dół ze sterczącymi nadpalonymi kolcami. Żeby przejść dalej, powinniśmy przeciskać się wzdłuż pokancerowanego płotu, bo jama zajmowała całą szerokość drogi.

- Niczego sobie - westchnął ktoś za moimi plecami.

- Idźcie za mną. - Znow przeskoczyłem kanał, trzymając się desek ogrodzenia, przeszedłem po samym brzeżku, minąłem niebezpieczny odcinek i stanąłem na drodze.

- To jakaś stara jama? - spytał Grigorij, który przeszedł zaraz za mną. - Możesz to określić chociaż w przybliżeniu?

- Stara, ale maskowano ją już po przejściu deszczów - spochmurniałem. - Musimy zachować czujność.

- Broń w gotowości - zakomenderował Piegowaty. - Siergieju Michajłowiczu, ktoś jest w pobliżu?

- Nikogo. - Czarownik, który z powodu zahodowanego brzuszka zmęczył się przeprawą bardziej od innych, oddychał z trudem, sprawdzając kilka amuletów.

Poszliśmy dalej, starając się mieć oczy dookoła głowy.

Nikt nie miał ochoty wpaść niespodziewanie na konstruktorów pułapki. Może nie była ona zbudowana przeciwko ludziom, ale zawsze...

- Ty czego? - zdziwiłem się, kiedy Napalm po raz pierwszy od początku podróży podsypał prochem panewkę pistoletu.

- Na wszelki wypadek - burknął, chowając rożek do torby.

Grigorij skręcił w zaułek między piętrowym domem mieszkalnym z zapadniętym dachem

a wysokim płotem jakiejś dawnej szkoły. Innej trasy zresztą nie było - droga z przodu została zryta i przekopana, a właśnie na obranym kierunku znajdowało się centrum osiedla.

Nagle coś uderzyło Dymitra w pierś, potoczyło się po ziemi. Ktoś cisnął oszczep z okna! Poczułem nagle w gardle dławiącą kulę, ale Jałtin wykrzyknął krótką frazę i duszność znikła. Przytrzymując nadgarstek prawej ręki lewą dłonią, Napalm huknął z pistoletu i oberwańca z toporem, który wyskoczył na dach najbliższego domu, po prostu zniósł z powrotem do wejścia, a ścianę pokryły bryzgi krwi. Na odsiecz kumplowi z okien piętrowki wyskoczyło jeszcze dwóch bandytów, ale Grigorij połapał się już w położeniu, pokrył ich ogniem ZAKSU.

Świsnęła strzała, ześliznęła się po ramieniu Mielnikowa, który wypuścił różdżkę „ołowianych os” i zakrył ranę ręką, Rąbnąłem w łucznika, ale ten zdążył już odskoczyć od okna. Pierwszy i Drugi, operując synchronicznie długimi seriami, ścięli trzech mężczyzn, którzy wtargnęli w zaułek i zamierzali nas obrzucić krótkimi oszczepami.

Wycelowałem znowu w łucznika, który mignął w oknie, ale w tej chwili ktoś przeskoczył przez płot i spadł mi na plecy. Kiedy runąłem na ziemię, karabin wypadł mi z rąk. Namacałem pochwę przy pasie, wy dobyłem nóż i próbowałem pchnąć tego, który mnie przydusił. Nie byłem w stanie.

Na szyi zacisnęły się żelazne palce, ale zaraz owionął mnie żar, poczułem swąd spalonej skóry i włosów. Pałący się żywcem nieborak zlaźł ze mnie, zasłonił dłońmi wypaloną straszliwie twarz i zaczął się tarzać w błocie.

Na wszelki wypadek rzuciłem jeszcze w niego nożem, chwyciłem karabin i niespodziewanie upadłem na kolana. Nogi miałem jak z waty, świat rozmasał się. Tylko cudem znów nie wypuściłem broni. Obok mnie runął na drogę Grisza, a młóćący gościa o niesłychanie długich rękach Chan zachwiał się i przepuścił uderzenie w głowę. Jego przeciwnik podniósł z ziemi topór, zamachnął się...

Ładunek loftki wyrwał mu kawał ciała, rzucił na płot. Po strzale odeszły mnie wszystkie siły, zwałem się ciężko na ziemię.

Z domu wyszedł karzeł z wielką głową, skierował ku nam różdżkę zakończoną trupią główką i zaczął coś bełkotać. Powietrze przed nim wyraźnie zgęstniało, zmieniło się w pałającą purpurowym ogniem kulę. Jałtin jako jedyny jeszcze stał. Powiódł prawą dłonią po kamieniach guzików i wypowiedział zaklęcie blokujące podążający w jego stronę zabójczy urok.

Strzałę, która zaraz potem wyfrunęła z okna, otaczające Siergieja Michajłowicza pole, wyglądające jak wir powietrza, pochwyciło i odrzuciło niczym zapałkę. Sylwetka czarownika

uległa zamazaniu, spowił ją perłowy blask. Wirujące wokół niego pole ochronne i zaklęcia siłowe wypełniły całą przestrzeń taką energią, że kończyny trupów zaczęły wyraźnie drgać.

Kolejny atak karła - czarna błyskawica kulista także nie sięgnął celu, za to Jałtin zaraz sam podjął działania zaczepne: niesamowicie skomplikowany splot strumieni mocy wdarł się w postawioną przez kurdupla zasłonę, rozszczepił na prawie niewidoczne pojedyncze nitki, które dosięgły wroga. Ciało pokraki uległo prawie dwukrotnemu powiększeniu, skóra popękała, a na wszystkie strony bryznęła krew. Karzeł zachwiał się i zwałił na ziemię.

Dziwne odrętwienie - zupełnie jakby ktoś dociskał mnie do ziemi wielką łapą - zaczęło powoli przechodzić. Napalm podniósł się na czworakach, pomógł Wierze przewrócić się na plecy. Grisza przyciągnął karabin, wziął na cel drzwi budynku.

Siergiej Michajłowicz, nie zwracając na nas uwagi, wyjął ze szkatułki szlachetne kamienie, zawiesił nad nimi rękę. Część kamyków upadła w błoto, ale około dziesięć rozleciało się na wszystkie strony niczym stadko wściekłych świetlików. Dwa wypaliły dziury w deskach ogrodzenia, trzy pomknęły wzdłuż ulicy, a pozostałe znikły w oknach domu.

- Możecie się nie spieszyć - czarownik uspokoił Griszę, który poderwał się na równe nogi, a teraz kiwało nim na wszystkie strony. - Zatroszczyłem się o wszystko.

Jakoś zdołałem stanąć, odwróciłem leżącego twarzą w błocie Chana, upewniłem się, że z nim wszystko w porządku i podszedłem do jednego z trupów. Co to znów za odmieniec? Rzeczywiście - odmieniec. Wydęte czoło, zdeformowane dłonie, czerwone, dziwnie skręcone małżowiny. Wszyscy tak wyglądali. To znaczy mutacje nie były w każdym wypadku identyczne, ale normalnego człowieka wśród zabitych nie znalazłem. Białawe oczy pozbawione źrenic, sączące się ropne bąble, dodatkowe kończyny, zrosnięte palce, poskręcane kości i stawy... Odmieńcy. Miejscowi. A już na pewno nie z Fortu.

- Co za cholerstwo? - Pierwszy pomógł wstać Drugiemu i rozglądał się, drapiąc kark. - Dawno się tak kurewsko źle nie czułem.

- Myślę, że to właśnie ci od wilczego dołu. - Czarownik podszedł do szczątków swojego przeciwnika i nadepnął różdżkę, rozgniatając czaszkę na jej końcu. - Na pewno nikt nie uciekł? - spytał Grigorij, kaszląc po fali mdłości.

- Na pewno.

Chyba po raz pierwszy Jałtin odpowiedział na jakiekolwiek pytanie krótko i jednoznacznie. Nie mieliśmy powodu, by mu nie wierzyć - gdyby nie on, wszyscy byśmy stracili życie. Na nasze szczęście odmieńcy zbytnio polegali na umiejętnościach swojego zaklinacza. I trzeba im przyznać - nie bez podstaw. Przecież miał dość sił i umiejętności, aby

ukryć siebie oraz ziomków przed skanującymi czarami Siergieja Michajłowicza.

- Nikt teraz nie wróci, żeby nas zaskoczyć zniecacka? - uściślił kwestię Piegowaty.

- Nie ma kto wracać. - Błady i zmizerniały czarownik odszedł od zwłok karła, wytarł chustką pokrytą potem twarz. - Ale na wszelki wypadek zwiększyłem zasięg czarów skanujących do stu metrów.

- Bardzo dobrze. - Grigorij sprawdził AKSU, wszedł na podmurówkę przy wejściu do budynku. Napalm, pójdziemy się rozejrzeć.

Szczęście, że mnie ze sobą nie ciągnęli. Było mi niedobrze, w dodatku dzwoniło w głowie. Czyżby ta swołocz zdążyła pogłaskać mnie pałką po łysinie? Ale nie czułem przecież uderzenia, od razu zbił mnie z nóg... Dobrze, że guzów nie miałem. A co z pozostałymi?

Wiera przyszła już do siebie i próbowała doprowadzić do porządku ubłoconą odzież. Chan pił łąpczywie wodę z butelki. Bliźniacy, podtrzymując się nawzajem, zbierali z ziemi broń i plecaki. Wujek Żenia, nie zwracając uwagi na rozcięty łuk brwiowy, kłął półgłosem i opatrywał rozorane strzałą ramię. Dymitr sprawdzał, czy kolczuga, która powstrzymała oszczep, została uszkodzona. Jeśli teraz był wśród nas ktoś, kogo nie bolały zębra, to tylko on. Kolczuga kolczugą, ale rzut był naprawdę mocny.

- Wszyscy żyją? To wspaniale. - Siergiej Michajłowicz przestał wreszcie ciężko dyszeć. - Chan, Sopol, bądźcie tak dobrzy, znieście trupy w jedno miejsce. Najlepiej wrzucie je do tego rynsztoka.

- A co my jesteśmy zakład pogrzebowy? - Pochmurny Chan chwycił jednego z nieboszczyków za nogę i powłókł we wskazane miejsce.

Westchnąłem, podniosłem z błota bandanę, też zabrałem się do roboty. Czemu zawsze muszę mieć takie podłe szczęście?

Grigorij z Napalmem wrócili, kiedy zdążyliśmy już wrzucić wszystkie trupy do rowu, a czarownik spryskał je jakąś mętną cieczą. Po co to zrobił, nie wyjaśnił, ale nas i tak w tej chwili nie bardzo to ciekawiło.

- Jak tam? - spytał Mielnikow.

- „Malutki chłopczyk karabin dostał, więc każdy we wsi otrzymał postrzał” - zadeklamował piromanta, patrząc na Jajtina dziwnym wzrokiem.

- Tylko trupy - ucieszył nas Grisza. - Zbierajcie manatki, tam się zatrzymamy.

- Warto? - wyraził wątpliwość czarownik.

- Powiedzieliście, że nikt nie uciekł - powiedział Grigorij, patrząc mu prosto w oczy. - Bo tak jest.

- W takim razie nie ma nad czym deliberować.

Lepszego miejsca nie znajdziemy.

Zebraliśmy szybko rzeczy, weszliśmy do budynku.

Piegowaty zaprowadził nas do piwnicy. Napalm strzelił palcami i nad jego głową pojawił się ogienek. Było przynajmniej widać, dokąd zmierzamy. To były prawdziwe katakumby. Zardzewiałe rury, pozrywane przewody elektryczne... Plamy krwi... Widać, że świeże. O! Jest pierwszy umarlaczek. W wąskim przejściu twarzą w dół leżał garbus z wypaloną w plecach dziurą.

Idący przede mną Siergiej Michajłowicz co parę kroków rysował na ścianach czarodziejskie symbole. Samym skrajem świadomości dostrzegałem wybuchające konstrukcje pola ochronnego, które oplątywały budynek i powoli gasły.

- Tutaj mamy kibelek - Grigorij wskazał drzwi, zza których rzeczywiście dolatywał smród moczu. W następnym przejściu pachniało dymem. - A tutaj mieli ołtarz. Napalm tam już się zakrzętał, więc niewiele zostało.

- Niepotrzebnie. - Czarodziej był z jakiegoś powodu niezadowolony.

- Kto mógł wiedzieć, że może was to zainteresować? - Grisza rozłożył ręce i poprowadził nas dalej korytarzami, na ścianach których kopcily się pochodnie. Dym uchodził przez wybite w stropie dziury. - Ołtarz był drewniany, cały zachlapany krwią. Stała figura trzygłowego straszyla... Dobra, rozgoście się.

- Tu mamy się zatrzymać? - zdenerwowała się Wiera. - W tym brudzie? Przecież przez noc nabawimy się tu różnych rzeczy!

- Ja tam się ostatnio przebadałem - mruknął Pierwszy, ale na jego szczęście dziewczyna nie zrozumiała żartu.

Zaraz tam się nabawimy. Ale co do jednego Wiera, miała absolutną rację - nocować tu także nie miałem ochoty. Wszystko było zatłuszczone, okopcone i zapaszek bardzo nieprzyjemny. Jakies wyrka stały, ale spać w wyrku odmieńca... Nie jestem obrzydliwy - życie mnie oduczyło - ale to już by była przesada.

- O dezynfekcję możecie się nie martwić. - Czarownik wyjął z torby mieszek, zaczerpnął z niego garść proszku, podrzucił go w górę. Pył natychmiast rozleciał się po całym pomieszczeniu, osiadł i wybuchnął zimnym ogniem.

O żeż ty! Wszystko prawie-prawie zaczęło błyszczeć.

Zupełnie jakby kilka dni pracował tu najlepszy oddział asenizacyjny.

- Pierwszy i Drugi, wynieście trupy na ulicę. Chan, osłaniaj ich - rozkazał Grigorij.

- Pójdę z nimi. - Jałtin znów wyjął butelkę z mętną cieczą.

Rzuciłem torbę przy wejściu, rozejrzałem się. Pośrodku piwnicy zostało urządzone

miejsce na ognisko, a dziura w suficie znajdowała się dokładnie nad nim. W jednym kącie stała żelazna beczka z wodą, obok niej kupa obgryzionych i nadpalonych kości. Wzdłuż dalszej ściany ustawiono rząd legowisk. Pierwszy właśnie zwałił z jednego bezwładne ciało.

- Wody tutaj nie bierzcie. - Powąchałem zawartość beczki. Wydzielała nieprzyjemny odorek.

- Weźmiemy z zapasów. - Grigorij pogrzebał w kościach czubkiem buta i zaklął, kiedy wytoczyła mu się pod nogi ludzka czaszka z dziurą pośrodku czoła. - Ludożercy? - jęknęła Wiera. - Chodźmy stąd!

- Bzdura - zaoponował wujek Żenia, siadając na jednej z leżanek. Ewidentnie czuł się niezbyt dobrze. - Tutaj przynajmniej na pewno nikt nie przylezie. Griszeczka, pójde sprawdzic, co porabia nasz oddział grabarzy.

- Idź.

Żeby odwieść nas od niepotrzebnych przemyśleń, Piegowaty zastosował prostą wojskową metodę: „żołnierz nie ma myśleć, żołnierz ma robić”. Każdy z nas otrzymał zadanie niecierpiące zwłoki i zanim znalazłem minutkę na to, żeby się ponudzić i przeanalizować sytuację, było już po kolacji.

Dojadłem swoją porcję, zapiłem kompotem pigułkę ekomaga wydaną przez czarownika. Ten właśnie środek przepisano mi w pierwszym miesiącu służby w Patrołu, Miał zapobiegać szokowi będącemu efektem ubocznym wysokoenergetycznych zaklęć ochronnych i innych takich pierdół. Dokładnie nie pamiętam, jakich, ale coś tam nam wtedy opowiadali.

Przysiadłem przy ognisku, włożyłem w nie parę polan - przyjemnie, a w dodatku nie musieliśmy się troszczyć o opał, bo w składziku byli mieszkańcy zgromadzili spory zapas. Znaleźliśmy tam też całe pęki pochodni.

- Oni rzeczywiście jedli ludzi? - Wiera usiadła obok mnie na przyciągniętej do ognia pryczy.

- Jedli. - Odpiąłem z pasa ładownicę, położyłem pod nogami. - Przypuszczam, że oni tutaj w ogóle żarli co podeszło.

- Dobrały się, gołabczki - rzucił Chan, przechodząc obok. Zatrzymał się przy rozmawiających cicho Griszcy i Żeni.

Tylko chrząknąłem. A niech się wścieka. Jak w każdym towarzystwie złożonym z więcej niż dwóch osób, tak i u nas dały się zauważyć pewne kółka zainteresowań, jeśli można to tak określić. Bliźniacy, czyszcząc automaty, szeptali między sobą. Były brat i czarownik okazali się samowystarczalni: Dymitr miał wszystkich za nic i nie ukrywał tego, polerując teraz toporek i smarując go tłuszczem, a Siergiej Michajłowicz zajmował się swoją kryształową

kulą, Czekałem tylko, aż Napalm dopije kawę i przysiądzie się do nas. Grisza i Mielnikow mieli swoje sprawy, tylko Chan kręcił się jak gówno w przerębli.

- Zaraz wracam. - Poczujęm kręcenie w kiszkaach, postanowiłem więc nawiedzić ten sławetny kibelek. Tylko wezmę jeszcze od Napalma kawałek gazety. Widziałem, że zabrał tego trochę.

Złożyłem wyłudzony od towarzysza kawałek papieru, wyszedłem z pomieszczenia i stanąłem, czekając, aż oczy przywykną trochę do ciemności. Dokąd teraz? Też pytanie! Dalej korytarzem. Przecież nie zabłądzą. A gdyby nawet - będę się kierował węchem.

Dotknęła mnie leciutko pajęczynka zaklęcia ochronnego i rozpoznając swojego, zaraz straciła zainteresowanie. Nawet nie chciałem myśleć, jaka czekałaby mnie upojna niespodzianka w razie pomyłki. Jałtin to oczywiście łebski facet, ale od razu widać, że tylko teoretyk. Dopóki nie nabierze wprawy, wszystkiego można się spodziewać.

Prawie na oślepie odnalazłem właściwe drzwi, wstrzymałem oddech, wszedłem do środka i nie ryzykując wyprawy w głąb pomieszczenia, przesunąłem się wzdłuż ściany. W tym rejonie jeszcze nie wszystko było zapaskudzone. Ściągnąłem spodnie do kolan, przysiadłem w kącie.

Co za smród! Ale to nic, najważniejsze, żeby w coś nie wdepnąć. Czyszczenie butów byłoby potem czynnością prawdziwie odrażającą. Usłyszałem ciche głosy w korytarzu, wzmogłem czujność. Czyżby ktoś jeszcze postanowił sobie ulżyć? To będzie musiał poczekać w kolejce.

- Udało się połączyć?

- Tak. Plany uległy zmianie.

Z początku trudno było zrozumieć słowa, ale stopniowo ich brzmienie wyostrzało się.

- Co się stało?

- W Forcie niepokoje, w dodatku nasi koledzy przyjechali wcześniej niż zapowiadali. Ilja nie rusza się na krok od Carki, inni też nie mogą się wyrwać.

Mielnikow i Grisza. O czym gadają? - Ależ nie w czas! Co teraz?

- Sami musimy sprawdzić to miejsce.

Kurde mol, nie wiedziałem, o czym rozmowa, ale jeśli by zajrzeli do wychodka, miałbym przechlapane.

- Jak to sami? Z tą ekipą?

- Nie wrzeszcz. Sam tego nie rozumiem. Ale rozkaz to rozkaz.

Wujek Żenia i Piegowaty powoli przeszli obok drzwi.

Ledwie powstrzymałem westchnienie ulgi.

- A przeciek?

- O zmianach planów porozmawiamy po powrocie. W nocy będziemy pilnować, kto spróbuje przekazać swoim wiadomości.

- ... nie upilnujemy?.

- Jest sposób. Damy radę.

Głosy zaczęły cichnąć; mając gdzieś całą ostrożność, przytrzymałem spodnie ręką, żeby podkraść się do drzwi.

- Co z instrumentami? Skąd w ogóle taki pośpiech?

- Wszystko jest. Fabryka się przebazowuje...

Podtarłem się szybko, podciągnąłem dżinsy i zacząłem nasłuchiwać. Poszli? Chyba tak. Trzeba wracać. Miałem nadzieję, że nikt nie zwrócił większej uwagi na moje zniknięcie. Bo gdyby Grisza i wujek Żenia zaczęli coś podejrzewać... Jeśli chodziło o „kreta”, ich zamiary względem niego były oczywiste. Rano Jałtin zaordynuje mu ostrą niewydolność serca na skutek wahań napięcia magicznego i już.

- Gdzie Griszka? - spytałem, natknąwszy się przy samym wejściu do naszej piwnicy na Dymitra, obok którego stali nabzdyczeni bliźniacy. Na mój widok Pierwszy pociągnął za rękę Drugiego i odeszli.

- Poszedł z Mielnikowem w obchód. - Zerknął na mnie z ukosa, wyszedł na korytarz.

Co tu zaszło? Dziwne. Co tam, czort z nimi. Myśli biegały mi po głowie niczym oszalałe karaluchy, to znaczy bez najmniejszego sensu, a przy tym w kółko. To podpucha, podpucha, podpucha...

Zaraz, dlaczego niby podpucha? Może raczej manewr odciągający. To dlatego wzięli do oddziału ludzi od Sasa do lasa - wiedzieli, że któryś okaże się szpiegiem. W ten sposób za pośrednictwem naszej grupy mogli wykonać robotę dezinformacyjną w sprawie planów Ilji. Jeśli dobrze zrozumiałem sens rozmowy, zamierzali dokonać tutaj poważnej operacji nie naszymi siłami, ale za pomocą zaufanych towarzyszy. Ale coś się zawaliło... I lepiej, że tak się stało, bo inaczej wszystkich by nas posłali do piekła. A przecież jeszcze nic nie zdążyliśmy zrobić.

Ciekawe, kto jest agenciakiem? Każdy by pasował.

Dymitr - szpieg Bractwa, Jałtin - Gimnazjonu, Wiera - Ligi, Napalm - czyjkolwiek. Bliźniacy zasadniczo stanowili po prostu balast. A ja? Też ładunek dodatkowy, dolepiiony, żeby przydać całej tej awanturze cech prawdopodobieństwa albo jako potencjalny kanał do przekazywania fałszywych informacji. Dlaczego niby Liniew tak bardzo nalegał, żebym odnalazł Kruka? Przecież mieliśmy zlokalizować producentów mózgotrzepów, a Kruk też ich poszukiwał. Czyżby Ilja uznał, że kumpel tak łatwo mnie kupi? Oto jest pytanie...

- Nie podoba mi się tutaj - najeżyła się Wiera, kiedy przy niej usiadłem. - Po co zostaliśmy w budynku? A jeśli ktoś przeżył?

- Czarownik zadbał o wszystko - westchnąłem.

Nie, żebym miał do niego stuprocentowe zaufanie, ale trudno by było znaleźć inny nocleg.

- Widziałeś, jacy oni straszni? Skąd się coś takiego bierze?

- Mutacje. - Zasłoniłem oczy przed gryzącym dymem. - Słyszałaś, co mówił Jałtin o miejskich murach? A nawet za ich osłoną ci, którzy mają skłonność do degeneracji albo po prostu są mniej odporni, też ulegają zmianom. A ile ci tutaj musieli mieszkać...

- Wszędzie tak jest?

- Dlaczego wszędzie? Tam, gdzie miejscowi sami zorganizowali ochronę albo kupują sprzęt w Forcie, panuje spokój. A poza tym, pije się różne zioła dla oczyszczenia organizmu.

- To straszne. Z nami też by się tak stało?

- Nie myśl teraz o tym - poradziłem. - W Patrolu wiele razy wychodziliśmy na długie rajdy, ale za moich czasów tylko dwóch trafiło do Czarnego Kwadratu.

- Gdzie?

- Getto tak nazywają - Czarny Kwadrat.

- A! Stamtąd byli ci na mityngu! A po co w ogóle Getto jest potrzebne?

- A jak myślisz? - Wyjąłem nóż z pochwy, żeby sprawdzić, czy dobrze oczyściłem go z krwi.

- No... Trzeba zegnać wszystkich w takie miejsce, żeby nie kłuli w oczy. - Dziewczyna poczekała aż schowam klingę, przylgnęła do mnie ramieniem.

- To też. Ale przede wszystkim chodzi o bezpieczeństwo samych odmieńców. Większość z nich nie potrafi o siebie zadbać. Do Getta wozi się żywność, a bandy nie mają tam wstępu.

- Nie wypuszczają ich stamtąd, biedacy żyją jak w więzieniu!

- Wypuszczają tych, którzy nie roznoszą różnego paskudztwa. Kwarantanna jest właśnie dla zakaźnych. No i po to, żeby miejscowi nie leźli do Kwadratu.

- Okropność! Dlaczego ludzie nie mogą zostawić ich w spokoju?

- Jak powiedział jeden z moich znajomków, niech mu ziemia lekką będzie: „Odmieńców nikt nie lubi” sparafrazowałem słowa Obrębka.

- Ale za co?

- Za odrażające kalectwo, za to, że trzeba ich karmić, za strach... - Strach?

- Żeby się nie stać takim jak oni. Większość ludzi nie cierpi, kiedy przypomina im się o nieprzyjemnych rzeczach. Uważają, że jeśli o czymś nie myślisz, na pewno cię to ominie.

- Ty też się boisz?

- Owszem.

- Czego się też boisz? - Napalm przysiadł po drugiej stronie ogniska, położył na kolanach rozładowany pistolet. - A ja już myślałem, że jesteś całkiem obojętny na wszystko, dlatego masz taką ksywę.

- Nie zgadłeś więc - uśmiechnąłem się. - Sopol to nie to samo co Wałach.

- Faktycznie. A właściwie skąd masz takie dziwne przezwisko? - zainteresowała się Wiera.

- Nie wiesz, jak to jest z ksywami? - roześmiał się Napalm, jakby poczuł, że pytanie jest dla mnie bardzo nieprzyjemne. Wyjął z torby wycior. - Popatrzysz na człowieka i od razu wiesz, że Chan to nie żaden Chan, ale Kręcioł, wujek Żenia - Bosman, a Dymitr - Ponurak. Grisza ma wypisany pseudonim na twarzy. Pierwszy i Drugi to Paker Jeden i Paker Dwa, zaś Ilja jest Precel.

- A ja? - Dziewczyna poruszyła kokieteryjnie ramieniem.

- Lalunia - odparł piromanta bez zastanowienia i przystąpił do czyszczenia pistoletu.

- Słuchaj, jaki ta armata ma kaliber? - Ocenilem gabaryty broni. - Sześć czy cztery?

- A kto by tam mierzył? - Napalm odłożył wycior na bok. - Ale każdy pancierz i każdą magiczną osłonę przebija bez problemu.

- A właśnie chciałam zapytać - Wiera zniżyła głos, wskazała ruchem brody na wracającego Dymitra. Taszczy ze sobą wszędzie ten cały chłam: kolczugę, szablę, topór, noże, łuk, kołczan. Chory jest, czy co?

- To po prostu bardzo przewidujący człowiek odparłem poważnie.

- Czyżby? Nie rozumiem. Przecież nie chodzi tylko o wczorajszy dzień, ale też o przedwczoraj. Po co mu takie zabawki? Podobno chłopom z tego zgromadzenia kompletnie wali w dekiel.

- Nie gadaj. - Piromanta wyjął papierową tubkę z prochem, naderwał ją z jednego końca. - Ten, kto wymyślił ich zasady, musiał być geniuszem.

- Dlaczego?

- Kiedy się to wszystko zaczynało... - Napalm wsypał proch do lufy i ubił go wyciorem. - To znaczy kiedy przeskoczyliśmy tu z normalnego świata, założyciele Bractwa byli zwyczajnymi oprychami - dresiarzami z Fortu. Wtedy tak się nazywał rejon w okolicach dworca. Takich band było więcej: Cech, Siódema, Białogwardziści i kupa innych... A gdzie są teraz? Siódemiarze zostali zwykłymi bandziorami. Cech od lat stara się wejść do Rady Miejskiej, ale na razie bez szans. A Bractwo właśnie dzięki mocnej męskiej ideologii tak

prędko urosło w siłę.

- To znaczy co, bandyci powiedzieli: nie będziemy używać broni palnej i wszyscy do nich zaraz pobiegli? Brednie.

- Obiecali ludziom stabilizację. - Napalm wydobył z torby płócienny woreczek, wytrząsnął z niego na dłoń szarą kulę.

Wyciągnąłem rękę, piromanta przetoczył na nią kawałek ołowiu. Och, ty! Ku mojemu zdumieniu kula okazała się o wiele cięższa niż się spodziewałem. Imponująca waga, naprawdę imponująca...

- Dzięki takim a nie innym zasadom uniezależnili się od marniutkich dostaw amunicji z tamtej strony - kontynuował piromanta. - Nie tracili funduszy na środki ogniowe. Nie utrzymywali kobiet i dzieci, dlatego poszła do nich najbardziej sposobna do pracy część ludności. Drużyna zbyt długo ich lekceważyła, nie uważała za poważną konkurencję, a potem było za późno. A teraz, choćby nie wiem jak się napinał Gimnazjon, według mnie, jeszcze długo nie zdoła dogonić czarodziejów Bractwa.

- Czarodzieje? Co oni mają do tego?

- A w co, jak myślisz, bracia lokowali wszystkie środki? Przecież nie tylko w ten, jak go nazwałeś, chłam.

- Skoro wszystko jest tak pięknie, dlaczego nagle zaczęli przyjmować kobiety? - Wiera znalazła słaby punkt w argumentacji Napalma. - Dimeczka na wspomnienie o tym zaczyna się dosłownie pienieć.

- Bo już wykorzystali wszystko, co mogli wykorzystać z poprzednią doktryną. - Piromanta odebrał mi kulę. - A teraz przechodzą do następnego etapu rozwoju. Liga też, między innymi, dostrzegła brak perspektyw dla jednopłciowych organizacji. Ale one na razie, jeszcze się kryją.

- Powinny się zjednoczyć z Bractwem - mruknąłem.

- Nie, to by były dwa grzyby w barszczu. - Napalm wetknął kulę do lufy i sięgnął po przybitkę.

- Sopol, ty już tam byłeś. - Drugi podszedł niepostrzeżenie, pochylił się do mnie. - Jak trafić do sracza? - Idź w stronę wyjścia, drugie drzwi po prawej.

- Uwaga. - Grigorij wrócił, podszedł do ogniska. - Oderwijcie się na minutę od zajęć i podejdźcie tutaj.

- Czego znowu? - Dymitr wsunął za pas toporek, stanął obok Napalma.

Bliźniacy, którzy nie zdążyli jeszcze wyjść, przysiedli przy ogniu. Czarownik zostawił w spokoju kryształową kulę, precyzyjnie sięgnął obok Dymitra i zaczął nadtapiać rozcapierzony

koniec syntetycznego sznura, na który nanizał kilka żelaznych kółek. Chan zignorował zaproszenie, pozostał na pryczy, oglądając uważnie otartą stopę. Ponury wujek Żenia z ręką na temblaku zajął miejsce za Grigorijem.

Zaczyna się... Zaraz coś się zdarzy. Proszę, jak też Mielnikow świdruje nas oczami. Myśli, że w ten sposób wyodrębni szpiega?

- Mów, tylko krótko. - Skrzywiłem się od zapachu palonego syntetyku.

- Nasze plany uległy pewnym zmianom. - Nikt pewnie nie zwrócił na to uwagi, ale dłoń Piegowatego nieznacznie powędrowała w stronę rozpiętej kabury. Czyżby się obawiał ekscesów? - Operację przeprowadzimy nie w Rudnym, ale w pewnym porzuconym osiedlu niedaleko stąd.

- Jakim znowu osiedlu? - Dymitr nachmurzył się.

- W normalnym - zaśmiał się groźnie Mielnikow, sprawdzając, jak reagujemy na informację.

- Plan się zmieniły? - Napalm z niezmaconym spokojem dopchnął przybitkę i schował wycior. A może od samego początku miały się zmienić?

- To ma jakieś znaczenie? - spytał Grigorij.

- Kolosalne. - Piromanta postukał lufą w lewą podeszwę. - Skoro zaczęły się takie ruchy, niczego dobrego nie można się spodziewać.

- Tak miało po prostu być - zełgał Piegowaty. Obawialiśmy się przecieku.

Czego ten czarownik tak smrodzi? Postanowił nas wytruć?

- Gdzie ma być ta operacja? - powtórzył pytanie Dymitr, kiedy bliźniacy odeszli od ogniska.

- Co za różnica? - Grigorij nie zamierzał odpowiadać. - Jak dojdziemy, sam zobaczysz.

- Co znaczy, jaka „różnica”? - rozgniewał się były brat. - Powinniśmy chyba wiedzieć, w jakich warunkach przyjdzie nam pracować!

- Po CO?

- Żeby się przygotować.

- Będziesz miał dość czasu na przygotowania.

- Kiedy?

- Jutro. Nie rozumiem, dlaczego jesteś taki niezadowolony?

- Jestem zadowolony.

- No to czego?

- Niczego. - Dymitr odwrócił się i nagle, zwinąwszy się w miejscu, kopnął Jałtina w głowę.

Czarownik padł na podłogę, a w rękach Dymitra pojawiły się krótkie różdżki „ołowianych os”.

- Ręce! Ręce! - wrzasnął, cofając się tak, żeby mieć wszystkich w polu widzenia.

Na razie mu się to udało. Nikt nie zamierzał nawet drgnąć. Samobójców wśród nas nie było.

Żeby posłużyć się powiedzeniem Chana - kurważ mać. Nawet nie pomyślałem, żeby sięgnąć po karabin. Choćbym nawet zdążył, tego gada nie dosięgnie się zwyczajną kulą - tło aktywowanych amuletów ochronnych czułem nawet z tej odległości. W dodatku nie wiadomo, jak by poradził sobie z polem „Anioła Stróża” czarodziejski nabój. Dobrze jeszcze, jeśli tylko zrykoszetuje. A gdyby się rozerwał?

- Wracaj na miejsce - krzyknął Dymitr na Wierę, usiłującą pomóc Siergiejowi Michajłowiczowi. - Sopel, rzuć to.

Niechętnie rozwarłem palce, nóż z brzękiem upadł na beton. Zauważył jednak, swołocz.

- Napalm, bardzo powoli położy ten muszkiet na podłodze.

Piromanta chwycił pistolet za lufę, pochylił się, żeby odłożyć broń.

- Chan, dawaj tutaj, ale już!

Ogłuszający huk uderzył w uszy z potworną siłą.

Ciało Dymitra, praktycznie pozbawione głowy, runęło bezwładnie. Napalm rzucił dymiący pistolet, zaczął masować nadgarstek lewej ręki.

- Co za chujosa - wysyczał Chan, cały obryzgany kroplami krwi.

Wiera podskoczyła do czarownika, odciągnęła go od ognia. Pierwszy i Drugi klepali się po uszach. Grigorij z Żenią w milczeniu podeszli do trupa.

- Jak to zrobiłeś? - spytałem Napalma, kręcąc w lewym uchu palcem wskazującym. - Przecież nie nacisnąłeś spustu, a poza tym kurek nie był odwiedziony. - A po co? - skrzywił się. Wyciągnął z torby zestaw do ładowania pistoletu. - Sam spowodowałem zapłon. Przydaje się czasem mój dar.

- Masz prawdziwy talent.

Wiera podsunęła pod nos Jałtinowi watkę nasączoną amoniakiem. Czarownik, po ocknięciu, namacał palcami uderzoną potylicę, a potem zaczął grzebać w torbie.

Wujek Żenia zawołał mnie, żebym pod jego nadzorem przejrzał zawartość bagażu Dymitra. Bronią i różnościami pozostałymi po trupie powinni zająć się sami kontrwywiadowcy, ale na przykład butla wody im po nic, a mnie by się bardzo przydała. Więcej nic ciekawego w rzeczach zabitego nie znalazłem. Mielnikow pod koniec rewizji też cokolwiek pomarkotniał. Powrzucałem cały chłam z powrotem do worka, podałem go Żeni, a

resztki zapasów byłego brata zaniósłem do ogniska.

- W jaki sposób Bractwo jest z tym powiązane? - spytał Grigorij Mielnikowa.

Starając się nie okazywać zainteresowania rozmową, nadstawiłem pilnie uszu.

- Dlaczego zaraz Bractwo? - wzruszył ramionami wujek Żenia. - Ta gnida mogła pracować dla kogokolwiek. Choćby i dla Chińczyków.

- Bez Bractwa się tutaj na pewno nie obeszło. Przy magazynie to oni nas zaatakowali, mówię ci - upierał się przy swoim Piegowaty. - Chciałbym tylko wiedzieć, czy to oni produkują mózgotrzepy, czy tak jak my chcą producentów znaleźć.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków. - Mielnikow zaczął drugi już raz przeglądać znalezione w kieszeniach Dymitra przedmioty. - Jutro wszystko będzie wiadomo.

Podszedłem do nich.

- Dokąd właściwie idziemy?

- Jutro, wszystko jutro - uciął zdecydowanie Grisza.

Jak jutro, to jutro. Mnie ta kwestia właściwie powinna zwisać kalafiorem. I zwisała. Najważniejsze to znaleźć odpowiedni moment, żeby prysnąć.

- Niczego z tych rzeczy sobie zostawiać nie będziemy. - Żenia pokręcił w dłoniach miniaturowe różdżki „ołowianych os” i cisnął je do worka. - Diabli wiedzą, jakie w nich mogą być niespodzianki.

- Tak sobie myślę - podrapałem się po głowie. Czy nasze blachy nie powinny zablokować „os”?

- Przecież nie jesteśmy w Forcie. - Mielnikow podał mi tobołek z dobytkiem nieboszczyka.

- Sopol, Chan, pozbądźcie się trupa - westchnął ciężko Grigorij. - Worek też wyrzucicie.

A tyle razy powtarzałem sobie: nie pchaj się w oczy naczalstwu, nie pchaj się, durniu... Ale jakoś wciąż o tym zapominam. Wywlekliśmy ciało Dymitra za nogi, rzuciliśmy je na jakąś kupę gruzu czy innego barachła. Zgodnie z rozkazem nie zdjęliśmy niczego z ciała. Chan pewnie ze wstrętu i obawy, że go wydram, a ja, hołdując przesądom.

Kiedy wróciliśmy do piwnicy, czarownik całkiem już się otrząsnął i pił jakieś mikstury własnej produkcji. Sądząc po kiepskim wyglądzie, pierwszy raz oberwał ciężkim butem w grzywkę. Nieprzyzwyczajony, biedaczek.

- Nie mogliście uprzedzić? - zawarczał na Grigorija. - Albo chociaż coś napomknąć?

- Siergieju Michajłowiczu, sam jestem w szoku. Piegowaty spjrzał na rozmówcę szczerymi oczami. Nie mogłem przewidzieć czegoś takiego...

- A tak w ogóle, przygotowaliście już grafik dyżurów? - Jaitin popatrzył na kawałki

stopionego sznura i cisnął je w ogień.

No i na cholere? Co za przyzwyczajenie, żeby każde ścierwo ciskać do ognia? I tak już nie było czym oddychać.

- A wasza ochrona nie wystarczy? - spytał bez ironii Mielnikow.

- To dziwne miejsce - Siergiej Michajłowicz szczerze ujawnił brak ufności we własne czary. - Intensywność pól magicznych jest tutaj wyraźnie podwyższona, a w dodatku są one sztucznie wyrównywane. Nie zdołałem zlokalizować źródła tej anomalii, ale można przyjąć, że ma to jakiś związek ze spalonym ołtarzem.

- Spaliłem tam wszystko na wszelki wypadek zaczął się tłumaczyć Napalm.

- Nic strasznego się nie stało, przecież nie wrócimy przeszłości. - Czarownik zamyślił się nad czymś, wstał z pryczy z ciężkim westchnieniem. - Pójdę, zrobię tam co trzeba.

- Sopol, bierzesz pierwszą wartę. Za dwie godziny obudź Chana - zarządził Grigorij. - Potem kolej Bliźniaków, Mielnikowa i moja.

- Tak jest. - Chwyćłem torbę, poszedłem ku wyjściu. Uznałem, że tu będzie najlepiej się ulokować. Trzeba tylko jeszcze zaświecić pochodnie w korytarzu, a w pomieszczeniu sypialnym wygasić, wtedy nikt nie zdoła mnie dostrzec.

Wszyscy zaczęli układać się do snu. Zgasili większość pochodni tylko dlatego, że bardzo nalegałem. Obok mnie przeszedł czarownik ze świecą kryształową kulą w ręku. Skręcił do pokoju z resztkami ołtarza. Dziwny z niego człowiek. Ja właściwie do wszystkiego już przywykłem, ale do niego jakoś nie mogłem. Kiedy mnie mijał, poczułem, jakby ktoś przejechał mi po plecach lodowatą dłonią. Poczułem też na sobie ciężki wzrok w ciemnościach. Proszę, nigdy dotąd nie bałem się mroku, a tutaj mnie dopadło.

Poszedłem do Grigorija, wziąłem zegarek i wróciłem na posterunek. Może by tak poczytać zapiski konduktora? Ale w takiej ćmie? Musiałbym sobie przynieść pochodnię. Nie, nie można. I to wcale nie ze względu na dyscyplinę, ale dlatego, że kto się zajmuje na warcie innymi rzeczami, ma większe szanse w razie czego przejechać się na tamten świat. Będzie jeszcze czas na lekturę.

Sen zaczął mnie morzyć już po dziesięciu minutach, tak że musiałem się uciekać do różnych sposobów, żeby nie zasnąć na posterunku. Wychodziło mi, prawdę mówiąc, marniutko. Parę razy głowa opadła mi na piersi, wstałem więc i oparłem się o ścianę. To też nie dawało stuprocentowej gwarancji - parę razy w życiu zasnąłem maszerując - ale łatwiej było się kontrolować.

Ciekawe, co tam porabia czarownik? Jeszcze nie wrócił, entuzjasta wiedzy. Lepiej by odpoczął, dopóki ma możliwość.

- Aaa - ziewnięcie o mało nie zwichnęło mi szczęki. Znowu usiadłem.

Może zegar Griszki źle chodzi? Kto to widział, żeby czas płynął aż tak powoli. Też kretyński pomysł! Czas nic nie jest nikomu winien: chce to pełźnie, a zechce skacze. A zazwyczaj jego zamiary pozostają w jawnej sprzeczności z naszymi oczekiwaniami.

W ogóle, czas to pamiętliwy gad. Na przykład Sielin, proponując coś wypić, mawiał „trzeba jakoś przecież zabić czas”, a ja się z nim zgadzałem. Zaś czas to pamięta. I tak to wygląda: najpierw przez całe życie próbujemy go zabić, a potem okazuje się, że wszystko jest dokładnie na odwrót - to on powoli dobiera się nam do tyłka.

Diabli, gdzie to mnie myśli poniosły! O mały włos, a bym zasnął. Nic, zrobię sobie mały spacer.

Jakoś doczekawszy końca dyżuru, zbudziłem Chana, wręczyłem mu zegarek, wyjąłem z torby koc i walnąłem się na wyrko.

Bez odbioru...

ROZDZIAŁ 8

Wstawaj, obiboku. Prześpisz śniadanie. Otworzyłem z trudem oczy, spojrzałem ponuro na uśmiechniętą Wierę - ja tam nie dostrzegałem w okolicy nic wesołego - i z niechęcią usiadłem.

- Gdzie to śniadanie? - Dziwne: wszyscy spokojnie śpią, a to, że Napalm rozpała ognisko jakoś mnie nie pocieszyło. Zbudzili mnie dla towarzystwa, czy co?

- Zaraz będzie.

- Wtedy wstanę. - Położyłem się z powrotem.

Urażona dziewczyna odeszła do ognia, gruchnęła kociołkiem.

- Mówiłem ci, że nie doceni - bardzo rozsądnie zauważył piromanta i swoim zwyczajem dorzucił odpowiedni cytat: „Nie przeszkadzajcie mi we śnie, tak bardzo chciałbym zostać sam”...

A co miałem niby docenić? Że nie dali mi pospać?

Dzięki serdeczne! Przewróciłem się na drugi bok ale sen nie przychodził. To ci dopiero! I co robić? Głupio zacząć się przewracać z boku na bok. Pójdę do nich - wyjdzie, że wydurniałem się, a nie, że chciałem spać. - Plunałem na to wszystko, wyjąłem zapiski konduktora i zacząłem je przeglądać. Pierwsze trzy kartki nie zawierały żadnych pożytecznych informacji. Jakieś mętne aluzje na temat zrzeszającej konduktorów organizacji oraz niewyraźne rozmyślenia o otwierających się z tamtej strony „oknach”, przy czym o sposobach przewidywania miejsc i czasu ich pojawiania się nie było nawet słowa. A to przecież najważniejsze.

Ale potem natknąłem się na te wiadomości, dla których wziąłem ten rękopis od sekciarzy. Krótka można by je nazwać „Teoria i praktyka przechodzenia”. Sama zasada na pierwszy rzut oka nie wydawała się zbyt skomplikowana: w miejscach rozerwania przestrzeni trzeba się było poruszać w kierunku maksymalnego oporu. Problemy były dwa: gdzie znaleźć te przerwy i jak wyznaczyć właściwy kierunek. Co do tego pierwszego jakieś pomysły miałem - jeśli granice między obwodami Przygranicza nie były miejscami zerwania przestrzeni, to już

niczego na tym świecie nie rozumiałem. Ale co do drugiego, nie miałem pojęcia, o co może chodzić. Nic, zobaczy się na miejscu.

- Kompania, koryto! - Napalm zadzwonił łyżką w kociołek.

Schowałem zapiski do kieszeni i podszedłem do ogniska. Wciąż obrażona Wiera zignorowała mnie, więc sam musiałem sobie nałożyć makaronu błyskawicznego. Ziewający jak niedźwiedź wujek Żenia wydostał z zapasów dwa opakowania suchego prowiantu i zajął się ich rozdziałem.

- „Piecuch jeden, rudy kot leżał jak spalony knot.

Jeść się chciało aż świszczało, ale dźwignąć trzeba ciało”. - Napalm mrugnął do mnie, wesoło chrzęszcząc kulkami suchego prowiantu. - „Piszczy kotek w wielkiej biedzie - miska sama nie podjedzie”.

- I w lepszych czasach nie byłem rudy. - Popiłem śniadanie herbatą. - Kiedy wychodzimy? - Myślę, że zaraz.

- Która godzina?

- Siódma. - Wiera wyjęła lusterko, zaczęła sprawdzać fryzurę.

- Pięknie wyglądasz. - Poprawiłem jej niesforny kosmyk.

- „Spadłam z dachu prosto w siano, głową hamowałam” - Napalm znów popisał się znajomością twórczości ludowej.

- Co cię tak na lirykę wzięło od samego rana? Przełałem resztki wody z plastikowej półtoralitrowki do butli zabranej z bagażu Dymitra. - Czyżbyś się wyspał? - Aha.

- A ja nie. Całą noc śniły mi się jakieś bzdury.

- Ty to jeszcze nic, popatrz na Jałtina.

- Co z nim?

Faktycznie, kiepsko zniósł tę noc towarzysz czarownik. Oczy miał czerwone, jakby ich w ogóle nie zmrużył, twarz poszarzała, ogólnie wyglądał niezdrowo. I po co to było wojować z Bergmanem? Siedziałyby sobie teraz w ciepłym laboratorium, badania na szczurach przeprowadzał. Od razu widać, że nie praktyk. Niby wszystko robi jak trzeba, a jednak mu nie wychodzi, choć się powieś...

- Unikalne miejsce, mamy tu niesamowicie skoncentrowaną i złożoną strukturalnie moc na głębszych poziomach. Bez dokładniejszych pomiarów trudno coś więcej powiedzieć, ale mam wrażenie, że gdzieś tutaj został przebity szyb do nowego, nieznanego jeszcze pokładu rozsianej w przestrzeni energii.

- Ja wszystko rozumiem, ale musimy już iść. - Zajęty czymś Grigorij puścił zachwyty czarownika mimo uszu. - Sopol, Pierwszy i Drugi, zabezpieczcie ulicę. Wychodzimy za

dziesięć minut.

Wziąłem karabin, kiwnąłem na chłopaków i wyszedłem na korytarz. Bliźniacy ruszyli zaraz za mną. Wszedłem po schodach, ostrożnie wyjrzałem na zewnątrz. Wszystko wydawało się w porządku, tyle tylko, że cuchnęło rozkładającymi się zwłokami. Dziwne, bo na dworze było dość chłodno, a na niebie wisiały chmury.

Chmury nie są ani trochę podobne do ludzi. Jeśli raz pojawiają się na horyzoncie, to dopóki nie poczęstują ziemi deszczem albo śniegiem, nie znikną. Ale deszcz czy śnieg to jeszcze pół biedy. Najważniejsze, żeby nie wpaść pod grad. A człowiek? Cóż, człowiek może nam mignąć na widnokregu i zniknąć bez śladu, bez konsekwencji. A może nas także zająć zniecka i zaatakować, tego nigdy nie wiadomo. Chmury są o wiele bardziej przewidywalne.

Dobra, co my tu mamy? Pochmurną i zimną aurę.

Możliwe opady deszczu oraz silny wiatr w porywach do tyłu a tyłu metrów na sekundę - wystarczy popatrzeć na wierzchołki drzew. Ale jeśli dać spokój warunkom pogodowym, nic interesującego. To znakomicie, ale nie wolno pod żadnym pozorem tracić koncentracji. Jałtin może sobie być pewien, że nikt z ludożerców nie przeżył, ale nie można tego przyjmować od razu za pewnik.

Skupiłem się, zlustrowałem najbliższe budynki magicznym spojrzeniem. Złowiłem tylko zakłócenia, które powodowała alarmowa sieć Siergieja Michaiłowicza - w teorii miała odchylenie w granicach normy, ale w praktyce dawało to możliwość użycia pewnych sztuczek maskujących.

Jak to się mówi, w Bagdadzie panuje spokój. Wszedłem na zewnątrz, sapiący mi za plecami chłopcy postanowili na razie skorzystać z osłony murów. Też dobrze.

„W Bagdadzie mamy spokój, w Bagdadzie mamy spokój i tylko nasz padyszach surowo marszczy brwi”...

Spod betonowej płyty podmurówki wysunęła się dłoń i chwyciła mnie za kostkę. Na spuchniętych palcach ciemniały trupie plamy, ale uchwyt był żelazny. Nie zastanawiając się długo, przerzuciłem karabin do lewej ręki i z trudem wydobyłem szablę.

Jakby na umówiony sygnał zza rogu wyskoczyło jeszcze dwóch martwiaków i chwiejąc się, ruszyło ku nam. Rozdęte twarze, pokręcone sylwetki, wyraźne ślady rozkładu. Nie byli piękni za życia, a teraz...

- Oslaniajcie mnie! - Wzniosłem szablę. Bąble na ściskających nogę palcach popękały, nogawkę zalał obrzydliwy płyn.

Cholera, trzeba było poczekać aż typ wyjdzie cały i dopiero wtedy odstrzelić mu łeb. Spod płyty wypęzła druga ręka, więc nie tracąc czasu jednym ciosem odciąłem jej cztery

paluchy. Przyjąłem, jeśli można się tak wyrazić, prewencyjny sposób działania.

Blizniacy w końcu połapali się, co i jak, ale zamiast rozprawić się z martwiakami za pomocą bardziej tradycyjnych metod, to znaczy łopatką saperską lub tasakiem, otworzyli szaleńczy ogień. Kule karabinowe przebijały na wylot trupy, które wciąż parły naprzód.

Drugim uderzeniem szabli spróbowałem przerąbać nadgarstek więżącej mnie ręki, ale ostrze ześliznęło się po kości. Martwiak wylazł spod betonu, usiłował wbić mi w łydkę zęby. Rąbnąłem go na odlew w głowę, zdzierając z czaszki zgniły skalp. Następna próba okazała się już udana - klinga przecięła nadgarstek i napastnik zwałił się na ziemię.

Naboje w magazynkach bliźniaków skończyły się jednocześnie. Jeden z nieboszczyków leżał już na ziemi, próbując podnieść się na postrzelane nogi, ale drugi nieoczekiwanie rześko podskoczył do mnie. Odrzuciłem szablę, podniosłem karabin do oka i wywaliłem przeciwnikowi w łeb z loftki. Tyle że w pośpiechu źle wycelowałem, trafiając w pierś. Ładunek przeszył miękkie ciało jak kartkę papieru, a trup z rozerwaną klatką piersiową poleciał do tyłu. Trzecim wystrzałem rozwaliłem czaszkę podnoszącemu się zombiakowi z odrąbaną ręką.

Napalm wypadł na zewnątrz, podpalił martwiaków i po chwili zostały z nich tylko poczerniałe szkielety.

- <I> Co się tam u was dzieje? <D> - Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że Grigorij zwywa mnie przez amulet komunikacyjny.

- <I> Już nic <D> - odpowiedziałem, po czym zwróciłem się do Pierwszego i Drugiego: - Zostańcie tutaj. Napalm, chodź ze mną.

Chwyciłem szablę i pobiegłem do rynsztoka, do którego wczoraj wrzuciliśmy trupy. Na szczęście moje obawy okazały się płonne: pozostałe martwiaki były na miejscu. Tylko jeszcze jeden najwyraźniej próbował wypełznąć spod kupy ciał, ale zmarł, przyciśnięty innymi. Większość zwłok znajdowała się w bardzo kiepskim stanie. Procesy rozkładu przebiegały o wiele szybciej niż normalnie. Jak się okazało, płyn, którym spryskał ich czarownik, spełnił w pewnym stopniu swoje zadanie.

Dziwne te martwiaki. Do piwnicy nie zeszły, zorganizowały regularną pułapkę zamiast leżać bezmyślnie całą bandą. Ale przecież nikt nimi nie kierował! Strumień magicznych rozkazów poczułbym zaraz przy wyjściu.

Kiedy wróciliśmy, wszyscy już byli na górze, przynieśli także nasze rzeczy. Teraz nawet Jaftin nie chciał zostać w tym miejscu, przyjęliśmy od razu szybkie tempo. Uspokoilem się trochę dopiero wtedy, gdy peryferia Rudnego zostały za nami.

- Co, nikt więcej nie mógł wziąć śrutówki? - Specjalnie zczekałem aż obok Grigorija

nikogo nie będzie, zanim zadałem pytanie. - Te wasze pukawki są w takich razach na nic.

- Na ludzi nadają się znakomicie. Często spotykałeś w lecie martwiaki? - Piegowaty wysunął całkiem sensowny argument.

- Kurde, dzisiaj pierwszy raz w życiu zobaczyłem żywe trupy. - Napalm został z tyłu, żeby się do nas przyłączyć. - I bardzo żałuję, bo teraz nic nie przełknę. - To drobiazg, przejdzie ci - uspokoiłem go. Do obiadu minie.

- Tak myślisz?

- Jestem pewien. - Znow zwróciłem się do Griszy: - Powiesz wreszcie, jaki jest nasz cel?

- „Dokąd z kumplami dzisiaj zmierzamy sekret to wielki, że hej” - mrugnął do mnie Napalm. - „Zatem nikomu go nie zdradzamy, bo zdradzić by było ojej”. - Zwiaginka. To opuszczona wioska dwadzieścia kilometrów na wschód - odpowiedział Grigorij, popatrując z chmurną miną na dowcipkującego piromantę. - O ile wiem, w tamtym rejonie jest teraz jedna wielka topiel.

- Błota i rozlewiska zaczynają się nieco dalej.

- Dziwne, ale nigdy o takim siole nie słyszałem.

Wiesz chociaż, dokąd idziemy?

- Mam mapę, nie zabłądzimy - burknął Piegowaty, ale w jego głosie darmo by szukać niezłomnej pewności. Rozwinął mapę, nie zatrzymując się. - Zobacz, pójdziemy tędy, po objeździe. Punkt orientacyjny stanowi drewniany słup z zerwanymi przewodami, jeden jest tylko taki w okolicy. Gdzieś w pobliżu powinien znajdować się zjazd na drogę gruntową. Nią dotrzemy prosto do Zwiaginki. Już wiesz, dokąd maszerujemy?

- Dotarło. Ale...

- Jak dotarło, to zasuwaszcie obaj do przodu.

- Dobra - westchnąłem i wysunąłem się na czoło grupy, która zaczęła się zanadto rozciągać.

Trzeba kontrolować takie sprawy, jak ruchy oddziału, bo różne rzeczy mogą się zdarzyć. Tym razem zdążyłem w samą porę.

- Stój! - krzyknąłem na Wierę, która zeszła z drogi i już pochylała się nad błękitnym kwiatem z wielkim pakiem. - Nie ruszaj!

- A co to takiego?

- Serce śnieżycy. - Odciągnąłem dziewczynę od rośliny, zdjąłem bandanę i wytarłem spoconą łysinę. Rozrzuca nasiona na dwadzieścia metrów, potrafi przebić nawet kamizelkę kuloodporną. A ten w dodatku jest niedojrzały, wydziela sok o temperaturze płynnego azotu.

- Oj - pisnęła Wiera. - A taki śliczny.

- Więcej nie dotykaj niczego, czego nie znasz, dobrze?

- Oczywiście, oczywiście...

Poszliśmy dalej, jednak teraz obserwowałem już nie tylko okolice, ale i resztę grupy. Tak to jest, jak się weźmie dzieciaki na wielką budowę, cholera. Wszystkiego chcą dotknąć. Tak jakby nie rozumiały, że nie tylko same ręce tracą, ale zabijają przy tym kolegów. Śliczny, też coś... Tfu!

Dobrze, że chociaż miejsce było niezłe - dookoła same pola. A nawet nie tyle pola, co pustacie. Pośród wyrosniętej już wysoko trawy czerniały suche łodygi burzanów. Krajobraz może nieciekawym, ale za to nikt nie podejrzewa niepostrzeżenia. A różne tam uroki przyrody miałem głęboko gdzieś.

Wreszcie na tle zaciągniętego nieba zamajaczył słup.

Kawałki przewodów elektrycznych zwisały z poprzeczki, przypominając nieco szubienicę przygotowaną do egzekucji. Widok w każdym razie był dość ponury.

Dalej ciągnęło się zielone pole, niewyglądające na zaniedbane. Faktycznie zresztą nie było opuszczone: z jednej strony zobaczyłem pochyloną wieżyczkę, z drugiej sterczały jeszcze dwie. Gdzieś w pobliżu powinna znajdować się wioska. I rzeczywiście - można było dostrzec wysoki częstokół, nad którym wznosiły się pomalowane na niebiesko kopułki cerkwi.

Pod najbliższą wieżyczką płonęło ognisko, a wokół niego siedziało pięciu ludzi w szarych, pokrytych pyłem drogi płaszczach. Uzbrojeni byli dość marnie: dwururka, obrzyn, dwie kusze, topory, długie noże. Od razu też było widać, że to przybysze, a nie tutejsi.

- Sopol, idziemy. - Grigorij oddał swój plecak Mielnikowowi, ruszył przez pole.

Idziemy, to idziemy. Postawiłem torbę na ziemi, poszedłem za nim.

Siedzący na nasz widok w ogóle nie zareagowali, za to z wieży zaczął schodzić krępy mężczyzna około czterdziestki, w skórzanej kurtce obszytej srebrnymi płytkami. Na plecach miał długą pałkę, jeden z pierwszych modeli „ołowianych os” - sprzęt może niezbyt szybkostrzelny, ale za to o niezłym zasięgu. Do pasa przytroczył długi tasak, na szyję założył wiązkę amuletów ochronnych. Tu z kolei nie mogło być wątpliwości, że człowiek miejscowy. Drugi, wyposażony w karabin z lunetą został na górze, żeby osłaniać towarzysza.

- Patrol - przedstawił się Grisha ku mojemu zaskoczeniu, pokazał mężczyźnie jakieś papierki. - Co u was?

Uważnie obejrzałem symbole wyrzeźbione na wieżycy. Ale tego naćpali! Nawet na gwoździach nie poskapili run.

- W porządku. - Chłop kiwnął głową, ledwie rzuciwszy okiem na zaświadczenie. Bardziej

był zainteresowany nami. - Jak łągowisko nawii w zeszłą niedzielę wywiało, zrobiło się od razu spokojniej. Tylko że o, w tamtym lasku osiedliło się stado śnieżynek, ale tu do nas nie dolatują. Dzisiaj pochmurno, tak że uważajcie trochę...

- A to kto? - Grigorij wskazał oczami ognisko.

- Zielarze.

- Sami zbierają? - zainteresowałem się, oceniwszy wyposażenie mężczyzn.

- Ale gdzie tam - uśmiechnął się krępy. - Skupują.

Tak też myślałem. Chodzą od wsi do wsi, żeby kupować już zebrane zioła i jagody. Z pewnością gdyby im pogrzebać w rzeczach, można by znaleźć coś nielegalnego. Na przykład składniki do produkcji L-13. Takie jest życie.

- Dojdziemy tą drogą do zejścia na Piaszczyste? - Grisza zaszeleścił mapą.

Cholera by go wzięła! Odkąd to patrolowi posiłku, się mapami, pytając ludzi o kierunek? Minus za brak rozeznania, przyjacielu, ewidentny, wielki minus. Ludzie Patrolu z zawiązanymi oczami przechodzą wzdłuż i wszerz całe Przygranicze. Można, oczywiście, podpytać czasem tubylców, dowiedzieć się czegoś od swoich. Ale mapa?

- Dojdziecie. Zjazd jest akurat przed słupem, do osiedla będzie jakieś osiem wiorst. - Chłop nie spojrzał nawet na papier. - Na rozwidleniu skróćcie w prawo.

- Dziękuję. - Piegowaty zaznaczył coś ołówkiem, przypomniał sobie najwyraźniej o zorganizowanej pod Październikowym chutorem obławie, bo zapytał: Wilki tu u was nie szaleją?

- Bóg uchował.

Wróciliśmy na drogę, ruszyliśmy dalej. Dlaczego Griszka wziął mnie ze sobą, nie mogłem zgadnąć. Na wszelki wypadek? Możliwe. Albo chciał, Żebym był w kursie co do marszruty, a nie chciał gadać przy innych.

- Co to są śnieżynki? - zapytał, kiedy do wskazanego przez chłopca lasu zostało dwieście metrów.

- Zwierzęta podobne do białych nietoperzy. Latem nie napadają na ludzi, ale dzieciaka albo pijanego mogą wystudzić.

- Co mogą zrobić? - nie zrozumiał przysłuchujący się rozmowie wujek Żenia.

- Wystudzić. Zamrozić. Wyssać ciepło - wyjaśniłem jak umiałem najlepiej. - Patrzcie!

Z lasu wyprysło stado lodowobiałych nietoperzy, okrążyło zabłąkaną srokę, na chwilę zbiło się wokół niej, przypominając wielką grudę, po czym wróciło między drzewa. Ptak z chrzęstem spadł na ziemię.

- Niczego sobie mrożonka - gwizdnął z podziwem Napalm. - Wieruszka, ugotujesz ją na

kolację? - Tylko umawiamy się, kłocu, że ty zjesz ptaka, a mnie oddasz swoją tuszonkę - odgryzła się od razu dziewczyna.

- Nie, tak nie gram. Słuchaj Sopel, ta sroka przypomniła mi sikorkę hawajską, która nie boi się mrozu, a w powietrzu cuda potrafi wyczyniać.

- O czym mówisz? - Nie od razu do mnie dotarło, jaką to sikorkę ma na myśli piromania.

- Tak tylko mi się przypomniało. - Spojrzał spod oka na Wierę, a ta zaczerwieniła się i odeszła. - Właśnie...

Pokręciłem głową, ale nic nie powiedziałem. Miałem zbyt dużo własnych problemów, żeby jeszcze zajmować się cudzymi. W dodatku tylko patrzeć, jak zacznie padać...

- Jak myślisz, Dymitr pracował dla Bractwa? - spytał Napalm, upewniwszy się, że nikt nas nie słyszy.

- Są dwie możliwości. - Wolałem nie dzielić się swoimi prawdziwymi przemyśleniami. - Albo wkręcił się do nas jako szpieg Bractwa, albo faktycznie go stamtąd wywalili. W pierwszym przypadku wiadomo, kto był jego mocodawcą. W drugim możliwości jest wiele. Choćby i Liga.

- Pieprzysz!

- A niby dlaczego? Jeśli baby pozwoliły siostron wychodzić za mąż i formują męski oddział, to i brata mogły nająć.

- Nie, moim zdaniem to jednak Bractwo.

- A na jaki plaster brać im się za handel narkotykami? - Myśl, że bracia mogliby załadować Fort prochami nie mieściła mi się w głowie. Brednie.

- Przecież potrzebują środków na przeprowadzkę do Mglistego, a mózgotrzepy to żyła złota!

- Pierdoły.

Nagle moją uwagę zwróciło dziwne zjawisko niebo nad iglastym lasem dziwnie szybko jaśniało. Przyjrzałem się dokładniej i zrozumiałem, że chmury nigdzie się nie podziały, ale ktoś z ziemi zaczął je podświetlać.

- Super, co to za iluminacja? - Wiera pokazała anomalię czarownikowi. Jałtin popatrzył na nią z wyrazem niezrozumienia, potem na zjawisko, ale nic nie odpowiedział. Dziewczyna zwróciła się do mnie: - Sopel?

- Nie wiem. - Na wszelki wypadek odbezpieczyłem karabin. - I wcale nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć. Może lepiej to obejdziemy?

- To słup - wyjaśnił spokojnie Grigorij, jakby wszyscy powinni od razu wiedzieć, co za cudo mają przed sobą. - Po prostu powietrze jonizuje. W nocy jest widno w promieniu

dziesięciu kilometrów. Siergieju Michajłowiczu, naprawdę nic o tym nie słyszeliście?

- Nie - odpowiedział czarownik cichym głosem.

Całkiem się sterał. Jak to mówią: wyszedł z siebie, prędko nie wróci.

- Ogólnie, powietrze świeci i tyle. - Piegowaty zatrzymał się na rozwidleniu dróg. Jedna odchodziła na południe, druga szła wśród drzew wprost ku słupowi. - Przejdziemy las, potem jeszcze siedem kilometrów wśród pól i znajdziemy się prawie na miejscu.

- Może zrobimy postój? - zaproponował Pierwszy.

Skóra wokół tatuażu nie była już tak bardzo czerwona, ale na szyi wciąż miał lekki obrzęk.

- Później. - Dowódca spojrzął na zegarek. - Siergieju Michajłowiczu, nie zapomnieliście ugotować dla nas waszej cudownej herbatki?

Czarownik bez słowa wyjął z torby termos, podał go Piegowatemu, który odkręcił korek, upił łyk i podał naczynie mnie. Także odpiłem, ale tylko troszkę, bo przestudzony napar był jeszcze wstrętniejszy niż gorący. Przekazałem termos Napalmowi, niech on się dławi.

- W lesie zachowujemy wzmożoną ostrożność - oznajmiłem. - Sprawdźcie broń.

- Też mi las - prychnął Chan. - Może od razu nazwiesz gajem trzy sosny?

- Jeśli będzie trzeba, nazwę - odpowiedziałem ostrym tonem, uważnie obserwując gęsto rosnące przy drodze krzewy.

Na las to wszystko faktycznie nie wyglądało. Widać było nawet prześwit po drugiej stronie. Przejdziemy ze sto metrów i znów znajdziemy się na otwartej przestrzeni. Tylko że różnym paskudnym stworom jako ochrona przed słońcem wystarczy dosłownie jedno drzewo. Co jak co, ale przez głupotę i nieprzezorność nie miałem ochoty iść do piachu. Innym też nie zamierzałem na to pozwolić - mieliśmy jeszcze coś do zrobienia, a już pogodziłem się z myślą, że do czasu samej akcji nie dam rady zwiać. Zresztą to by było grube świństwo tak ludzi zostawić. Porem na pewno znajdzie się jakaś szansa wziąć nogi za pas.

Powietrze w lesie było inne. Świeższe jakieś, bardziej wilgotne. Roślinność najzwyczajsza: sosny, świerki, znów sosny. Wysokie pnie rwały ku niebu, ścigając się ku słońcu, więc dla podszytu światła pozostawało dość mało.

- Oj! - pisnęła nagle Wiera i wyrwała z kabury pistolet.

Idący obok Mielnikow ledwie zdążył ją powstrzymać. Momentalnie zwróciliśmy się w różne strony z bronią gotową do strzału.

- Co jest? - spytał Grisza półgłosem.

- Oczy - zaszlochała dziewczyna.

- Co? - zdziwił się Piegowaty. - Jakie oczy?

- Zielone, z pionowymi źrenicami. - Wiera trochę ochłonęła. - Pod tymi krzakami zawisły w powietrzu. - Same?

- Tak.

Ostrożnie zbliżyłem się do zarośli, z uwagą obejrzałem ziemię. Nie znalazłem śladów czyjejkolwiek obecności. Nie jestem tropicielem, ale jeśli na trawie i wśród liści zostały nienaruszone kropelki rosy, można założyć, że nikt tutaj nie przebywał.

- Nic. - Wróciłem do reszty. - Żadnych tropów.

- Jakich tropów? - dziewczyna zaśmiała się histerycznie. - Przecież mówiłam, że to były tylko oczy. Szybowały nad ziemią!

- Niczego nie wyczułem - zauważył Jałtin, nie czekając na pytanie.

- Chodźmy już. - Grigorij przyglądał się krzakom z palcem na spuście AKSU.

Z przodu zatrzeszczały gałązki, a ja o mały włos byłbym wypalił w powietrze. Na ścieżkę wyszedł piękny łoś, popatrzył na nas, po czym zniknął w gęstwinie. Co za bestia! Miał w kłębie ze dwa i pół metra, jeśli nie więcej!

- O cholera...

- Na szaszłyk!

- Fuck!

- Czy on miał zielone oczy?

- Normalnie potwór!

- O matko!

- Widziałeś to?

Na temat łośia wypowiedzieli się wszyscy, oprócz czarownika.

- Przywidziało się jej, Sopel, jak myślisz? - Napalm obejrzał się na drzewa, kiedy już wyszliśmy z lasu.

- Kto wie? - Osobiście latających oczu jeszcze do tej pory nie spotkałem, ale ciężko by mi było tylko na tej podstawie utrzymywać, że takie zjawisko jest niemożliwe. Na Przygraniczu niczego nie można być w stu procentach pewnym.

- Ej, koleżanko, nie zażyłaś aby jakiegoś halucynogenu na śniadanko? - Piromanta poczekał na Wierę. - Idź w buraki! - wysyczała i odwróciła głowę.

- Sopel, widziałeś ty kiedyś, żeby gały same latały? - Napalm przetarł chustką łysinę.

Dobry pomysł. Trzeba będzie sobie też zorganizować jakąś szmatkę, szkoda bandany.

- Jeszcze ją sobie wypoleruj - poradziła złośliwie dziewczyna.

- Jak będzie czas, to i wypoleruję, i nawoskuję - Nie, nie widziałem - odparłem, spoglądając na rozciągające się przed nami pole. Dziwne, ale tutaj nic się nie świeciło, nie

dało rady znaleźć śladu funkcjonowania słupa. Z polem wszystko było w porządku, ale droga mi się nie podobała. Sprawiała wrażenie, jakby od wielu lat nikt po niej nie jeździł i jakby prowadziła donikąd. - Tylko to o niczym nie świadczy.

- Jak to?

- Był u nas w oddziale jeden gość. Leń, prawdę mówiąc, jakiego świat nie widział. Tylko by się całe życie migał od pracy. Kiedy ruszyliśmy w rajd, zaraz zaczął się skarżyć: mówił, że słyszy głosy, nie rozumie wprowadzie słów, ale gdzieś go wzywają. Pomyśleliśmy, że znów świruje, żeby uniknąć warty. Nie daliśmy mu się obijać. Budzimy się rano a jego nie ma, chociaż drzwi zamknięte od środka, okna także, a dymnikiem nawet kot by nie przeszedł. Gdzieś zniknął.

- Sprawdziliście piwniczkę?

- Jaka tam piwniczka, niczego nie było.

- I nie znaleźliście? - skulił się odruchowo Drugi.

- Nie znaleźliśmy.

- To prawda? - Pierwszy skrzywił się i podrapał szyję. - Kręcisz chyba.

- Niby że zmyślam? - zirytowałem się. - Akurat bardzo mi to potrzebne.

- Nie mógł zniknąć tak po prostu. - Napalm wytarł już głowę, schował chustkę do kieszeni, zgrzytnął błyskawicznym zamkiem. - A co sam o tym myślisz?

- Ja w ogóle rzadko myślę. Ale śledczy odwrotnie, rozmyślał bardzo dużo. Pracę ma taką - postanowiłem dłużej nie męczyć słuchaczy. - I wydało mu się dziwne, że zaginiony niedawno ograł w karty dwóch kolegów z oddziału. A kiedy wyszło na jaw, że jeden z przegranych po znajomości u oddziałowego medyka zdobył garść prochów...

- I co? - Pierwszy jakoś nie potrafił dodać dwu do dwóch.

- Jak to, co? Wsyпали prochów do żarcia, a kiedy wszyscy spali, wytaszczyli biedaka, zarżnęli i spokojnie wrócili na kwaterę. Debile.

- Przecież mówiłeś, że go nie znaleźli! - wypomniał Drugi.

- Bo tak było. Sprawcy pokazali nawet miejsce, w którym zakopali zwłoki, ale nie było tam choćby kosteczki. Zwierzęta zdążyły zrobić swoje.

- No, nieźle potrafisz kit wstawiać - poklepał mnie z uznaniem po ramieniu Mielnikow.

- Po co się spierać, sami powiedzcie, jest to możliwe?

- Jasne, nie śmiem wątpić...

Wzruszyłem ramionami, nie odpowiedziałem. I jakoś tak samo z siebie zdarzyło się, że dalej szliśmy w milczeniu. Powiał zimny wiatr, zaczęło mżyć. Pola ciągnęły się i ciągnęły. Żebyśmy już dokądkolwiek wreszcie doszli.

- Popatrzcie tylko na to. Co za ścierwo! - Grigorij zaklął.

Oho! Popłynęliśmy. A dokładnie - zaraz popłyniemy. Droga doprowadziła nas do Czarnego Strumienia, który okazał się nie strumieniem wcale, ale pełnoprawną rzeczką, przez którą przerzucono kiedyś nawet most. Sądząc po rozmytych deszczem resztkach sadzy, spalono go dobry miesiąc temu. A do drugiego brzegu z dziesięć metrów. Nurt wody silny, trudno by się było w nim utrzymać.

- I co, mamy iść w bród? - bez wielkiej radości zapytał Chan.

- Zimno - nastroszył się Pierwszy.

- Poniesie - poparł brata Drugi, rzucił do wody kamień. - I dna nie widać.

Racja. Woda była mętna, trudno od razu ocenić głębokość: metr czy dziesięć. Tylko wejść - nawet jeśli dasz radę się wydostać, zmarzniesz i przemoczysz rzeczy. Słusznie powiadają: nie znasz brodu, nie włącz do rzeki.

- Sopol? - Grigorij odwrócił się od wody i nie zauważył, że tuż pod powierzchnią mignął długi wąski cień. Szedł ostro pod prąd.

- Musimy spróbować znaleźć gdzieś dogodniejszą przeprawę.

- A jeśli nie znajdziemy?

- Jak dojdziemy do tego lasu, zwalimy sosnę i po niej jakoś przepłyniemy - pokazałem bór rozciągający się kilka kilometrów dalej w dół rzeki.

- Po co tracić czas? - Wujek Żenia ocenił spojrzeniem odległość do drugiego brzegu. - Mamy sznury, powiążemy się i...

- ... i wszyscy posłużymy za pokarm rybkom - dokończył za niego Napalm. - Ja w tę wodę nie pójde. Skrzeli nie mam i pływać nie umiem.

- Nie umiesz - nauczymy, nie zechcesz - zmusimy - uśmiechnął się krzywo Chan.

- Doprawdy?

- Nikt nie wejdzie do rzeki - oświadczył nagle czarownik, do tej pory wpatrujący się w wodę w milczeniu. - Trzeba znaleźć przeprawę.

Grigorij zerknął badawczo na zmizerniałego Jałtina, wymienił spojrzenia z Mielnikowem i westchnął:

- Idziemy do lasu. Nie znajdziemy brodu, zrąbiemy drzewo. Ruszajcie się.

- A postój? - Pytanie Pierwszego pozostało bez odpowiedzi.

To właśnie czarownik wypatrzył mostek zбитy z pociemniałych od starości desek, choć przedtem tuż obok niego przeszli i bliźniacy, i Grisza. Wykrzywiona konstrukcja nie wzbudzała zaufania, a zupełny brak poręczy czynił przejście przez kładkę prawdziwą przygodą. A może nie tyle przygodą, co - za sprawą przemykającego pod powierzchnią cienia

- pozbawionym aury lekkości mocnym przeżyciem.

Siergiej Michajłowicz zdjął założone przez kogoś na deski zakłęcie alarmowe, a potem pojedynczo przeszliśmy na drugi brzeg, wszyscy szczęśliwie i bez przygód. Poczułem ulgę. Nikt, kto by wpadł do wody, nie dałby rady dopłynąć do celu. A gdyby nawet i dopłynął, pogoda nie sprzyjała kąpielom - wiatr chłodny, przenikliwy, niebo bez śladu słońca.

Grigorij poczekał, aż wszyscy trochę wypoczną, uspokoją oddech i bicie serca, a potem poprowadził nas przez przybrzeżne krzaki, które wkrótce zamieniły się w prawdziwy las świerkowy. Tutaj znów musiałem przejąć rolę przewodnika. Kto w moim byłym oddziale powiedziałby, że zostanę kiedyś kimś takim? Przecież całe życie potrafiłem się zgubić pośród dwóch ulic na krzyż!

Jakoś poszło. Drzewa zaczęły rzednąć, zobaczyłem kamienistą drogę. Kawałek dalej, pośród młodego podszycia i zarośli wiedźmowego bicza, widniały na wpół rozwalone budynki.

- To jest ta wioska? - spytałem cicho Grigorija, który wyjął właśnie lornetkę.

- Nie, ona leży dalej. To pozostałości kołchozu - odparł, uważnie obserwując teren. - Zobaczcie, na drodze zostały ślady, deszcze ich nie zdążyły rozmyć.

- A bo to mało ludzi mogło tędy jechać? - wzruszył ramionami wujek Żenia. - Chociażby myśliwi. - Nie czujecie? Jakby ozonem zajeżdżało - pociągnąłem nosem. - A może tylko mi się zdaje?

- Ja mam katar - powiedział Mielnikow i zaczął przedzierać się przez krzaki ku drodze. - Chodźmy.

- Wszyscy są? - zapytał Grigorij, kiedy zebraliśmy się na poboczu. - Nie idźcie po błocie. Ukryjemy się teraz w jakimś budynku i zrobimy zwiad. Jest coś, co nie daje mi spokoju, jeśli chodzi o pogodę. Coś niedobrego wyczuwam.

- Poczekajcie. - Czarownik zatrzymał zbierającego się za Grigorijem Drugiego. - Trzeba się zabezpieczyć.

Wykonał prawie niedostrzegalny ruch dłonią, a po drodze poleciał mglisty obłok. Zanim jeszcze oddalił się na dwadzieścia metrów, na jego tle dwa razy pojawiły się przegradzające przestrzeń między drzewami czary sygnalizacyjne przypominające strukturą pajęczyny.

Jałtin pogładził kryształową kulę, coś wyszeptał i w nasze amulety zaczęła wpływać magiczna moc. Przed oczami zamigotała tęczowa zasłona, las nieoczekiwanie rozpadł się na oddzielne drzewa i krzewy.

- Widzicie tę chmurkę? - czarownik wskazał wędrujące w powietrzu zakłęcie. - To błądzące czary ochronne, za żadne skarby nie próbujcie ich dotykać.

Rozglądając się uważnie, przebiegliśmy przez drogę i skierowaliśmy się do obory. Usłyszałem niepokojący szum koron drzew, spojrzałem w górę i wstrzymałem oddech: szare chmury błyskawicznie rozstępowały się na boki, a błękitne niebo zaczęło zmieniać barwę na oślepiająco białą.

- Chodu! - W tej chwili nie zamierzałem przestrzegać zasad bezpieczeństwa, rzuciłem się na przełaj przez krzaki. - Kriogen! - wrzasnąłem.

Nie było czasu na wyjaśnienia. Kto by nie poszedł w moje ślady, musiałby się bezwzględnie przenieść do krainy wiecznych łowów. Z tyłu dały się słyszeć okrzyki, trzask gałązek, oddechy. Nie ryzykowali.

Zatrzymałem się w drzwiach budynku - na szczęście dach był cały - poczekałem na innych. Czarownik wpadł pierwszy, wyprzedzając pozostałych. Biegący zaraz za nim bliźniacy przeskoczyli obok mnie jednocześnie. Wierę, która pędziła na końcu, w wejściu chwyciłem za kołnierz i wrzuciłem do środka. W tym momencie wśród drzew przeleciała biała fala. Wszystko, co napotkała na drodze, w mgnieniu oka zamarzało na wskroś, a ziemia pokrywała się grubą warstwą lodu. Odskoczyłem od drzwi, zasłoniłem się torbą jak mogłem, przypadając do przecinającego podłogę wyżłobienia.

Na chwilę wszystko skuł mróz, twarz i dłonie owiało zimno, ale fala chłodu od razu opadła, nie zdążywszy całkowicie nas zamrozić. Odrzuciłem torbę, rozejrzałem się. Na szczęście kriogen zawadził oborę samym skrajem, inaczej figurowalibyśmy wszyscy teraz w formie lodowych statui.

- Jasny gwint - zaklął Grigorij i zaczął rozcierać pobieląły policzek.

Czyli jedno odmrożenie jest. Zahaczyło kogoś jeszcze? Nie było więcej ofiar fali mrozu. Czarownik sporządził dla Piegowatego jakiś okład i nieszczęśnik syczał z bólu za każdym razem, kiedy przykładał go do twarzy.

- Niczego sobie! - Napalm wyszedł na zewnątrz, chwycił przemarzniętą gałąź krzaka. Ta z chrzęstem odłamała się, zostawiając w dłoni piromanty lodowy liść.

- I co, z ludźmi też tak robi? - Napalm powiódł dłonią wzdłuż wiedźmowego bicza, a ten zaczął od razu tajać. Na zdrowie to roślinie nie wyszło - poczerniała i zgięła się ku ziemi.

- Bywa nawet gorzej. Bo ludzi nie przemraża tak równomiernie, tylko rozrywa ich na kawałki. - Popatrzyłem uważnie na niebo: znów przybrało szarą barwę zasłaniających je chmur.

- Bredzisz - uśmiechnął się Pierwszy i kopnął pokrytą szronem jodełkę. Drzewo drgnęło, a igliwie posypało się w dół, dzwoniąc kryształowo.

- Wracajcie do obory, czego świecicie gębami na dworze? - fuknął na nas Grigorij, po

czym zwrócił się do Mielnikowa: - Weź kogoś, przejdźcie się wzdłuż drogi, zobaczą, co jest grane. Ja sprawdzę osadę. Sopol, idziemy.

Obeszliśmy oborę z lewej strony, gdzie roślinność ocalała przed kriogenem. Przedarliśmy się przez kolczaste krzaki malin i zalegliśmy za zwałoną wieżą ciśnięć. Teren nie bardzo wyglądał na prawdziwą wieś, a na fabrykę narkotyków jeszcze mniej. Chyba że to były tylko obrzeża, a prawdziwa wioska znajdowała się za lasem. W jakim takim stanie zachowała się jedynie studnia, a wszystko pozostałe zamieniło się w porośnięte młodymi drzewami i krzewami ruiny. A ruiny interesowały nas raczej mało, nie dla nich tutaj przyszliśmy.

Na oczyszczonym z roślin placu stały dwa wagoniki. W takich zazwyczaj mieszkają budowlańcy albo strażnicy. Obok nich sterczały z ziemi drewniane kołki, najwidoczniej jeszcze nie tak dawno podtrzymujące płótno zwiniętego teraz i złożonego obok namiotu. Długi daszek z tworzywa sztucznego osłaniał od deszczu resztki sągów i stertę siana, z boku ustawiono sztapel skrzynek z surowego drewna. Co jeszcze? Psia buda, wieża strażnicza, ognisko, pochylony wychodek, kupa śmieci pod lasem, wiatrak, od którego do jednego z wagonów odchodził gruby przewód.

Mógłbym nawet uwierzyć, że to obóz myśliwych, albo drwali, ale im wiatrak prądotwórczy byłby na nic. Czyli mieliśmy przed sobą naszych klientów.

Zza dalszego wagonika wyjechała furmanka, zabrałem Grigorijowi lornetkę. Ludzie jak ludzie: odzież różnorodna, a to skórzana kurtka, a to wiatrówka, kufajka z obciętymi rękawami, długi płaszcz przeciwdeszczowy. Ubrojeni byli w dwie dubeltówki, obrzyn oraz shotgun. Wóz stanął obok zwiniętego namiotu. Młody facet w przeciwdeszczowcu zeskoczył na ziemię, podjął płachtę, wrzucił ją na wóz.

Kto to taki? Kurierzy? To by było zbyt proste. Można wśród nich odróżnić miejscowych i obcych na pierwszy rzut oka. Tutejsi - a zauważyłem trzech: po jednym wartowniku przy wagonikach i gość na wieży byli w kamuflażkach. Ci na dole wyposażeni zostali w zwykłe kałachy, a ten na górze w erkaem Kałasznikowa.

- Nic nie czujesz? - wyszeptalem. - Mnie, jak patrzę na ten wagon, ścisną w skroniach.

- U mnie wszystko normalnie - odparł Grigorij jeszcze ciszej.

Niczego nie rozumiałem. Mało tego, że oczy zaczęły mi łzawić, to jeszcze swędziała skóra na całym ciele. Spróbowałem wyczuć stan pola energii magicznej i od razu skrzywiłem się od nieprzyjemnego doznania. Najbliższe skojarzenie - jakby ktoś zaczął wiercić w czaszce dziurę, jednocześnie od środka i od zewnątrz. Wiertarką udarową. Coś podobnego, choć nie w takim nasileniu, odczuwałem w mieszkaniu épuna, do którego zawlókł mnie Piegowaty.

Pole energetyczne bezustannie falowało, a występujące przy tym wahania mógłbym wyczuć

nawet zwyczajny człowiek. A to musiało zaowocować jedną, niezbyt, przyjemną konsekwencją - w razie ataku Jałtin w niczym nie będzie mógł nam pomóc. Pozytyw też dał się w związku z tym zauważyć: wśród producentów narkotyków nie mógł się znajdować czarownik. Człowiek o wysokiej wrażliwości nie byłby w stanie wytrzymać w takiej kołomyjce nawet dwóch godzin.

- Jak myślisz, ilu ich jest? - Grigorij wychylił się zza zwałonej podstawy.

- Na pewno nie mniej niż dziesięciu. - Podniosłem lornetkę do oczu. Czterech na furmance, dwóch strażników na dole i jeden na górze. - Widzę siedmiu. - Z tymi na furmance?

- Tak.

- Z tymi, coś mi się zdaje, zbiera się z piętnastu - Grisza zabrał mi lornetkę. - Ja naliczyłem ośmiu. - Gdzie ten ósmy?

- Widzisz krzak bzu? Tam, prawie pod samym lasem, na lewo od wiatraka.

- Aha, już wiem. - Dostrzegłem w gęstwinie jakiś ruch. Maskowanie dobrze ukrywało postać, ale widać ją było, kiedy człowiek zmieniał pozycję. - Czemu uważasz, że jest ich tak dużo?

- W wagonie powinni odpoczywać zmiennicy, czyli jeszcze pięciu lub sześciu ludzi. - Grigorij schował lornetkę, zamyślił się. - Idź i powiedz, żeby przyszli tutaj Mielnikow z Jałtinem. I niech nikt nie używa amuletów komunikacyjnych.

- Dobra. - Odczołgałem się w las, tam dopiero wstałem i poszedłem normalnie do swoich. Ciekawe, czy przygotowali coś do jedzenia.

Usłyszawszy polecenie, wujek Żenia i Siergiej Michajłowicz zaraz wyszli. Obrzuciłem wzrokiem wnętrze obory, podszedłem do Wiery, która wodziła się z karabinem snajperskim.

- Jak rekonesans Mielnikowa? - Zainteresowały mnie długie karabinowe naboje z lśnącymi niewyraźnie w półmroku spiczastymi kulami.

- Znalazł posterunek. Dwóch ludzi - odparła, nie odrywając się od broni.

- Słuchaj, jakie masz zakłęcia nałożone na pociski?

- Różne. - Odgarnęła z twarzy kosmyk włosów, spojrzała na mnie. - Nie przeszkadzaj, co?.

- Jak chcesz. - Nie zamierzałem jej się narzucać, odszedłem do Napalma i bliźniaków grających w oczko. Normalne, że człowiek denerwuje się przed poważną operacją. Gniewać się o to nie należy.

- I co tam? - Pierwszy wziął od piromanty kartę, splunął na podłogę. - Fuck!

- Nic dobrego. - Spojrzałem na rzucone już karty: dwie damy, dziesiątka i szóstka. Fura.

- Będziemy szturmować? - Pierwszy zaczął dobierać karty od nowa, ale wzięwszy do ósemki i szóstki dziewiątkę, znów zaczął kłaść. - Żeż twoja mać! Gówna w ciapki!

- I czego się tak wnerwiasz? - Napalm rozpląnął się w uśmiechu. Jemu karta szła jak złoto. - Kto nie ma szczęścia w kartach, ten ma szczęście w miłości.

- Myślisz? - Przy kolejnym rozdaniu Drugi zatrzymał się na dziewiętnastu, ale naliczywszy tyle samo oczek u trzymającego bank piromanty, cisnął karty na podłogę.

- Na sto procent. - Napalm zebrał je z ziemi, zaczął tasować.

- Lepiej zajmijcie się robotą. Sprawdźcie broń wycedził przez zęby Chan, który akurat nadszedł.

- Obowiązkowo. - Napalm rozdał karty, nie zaszczycając go spojrzeniem.

Chan powstał chwilę nad głowami graczy, wymamrotał coś niezrozumiale, po czym podszedł do Wiery. - Odpieprzył się wreszcie, kręcioł.

- Wbijaj lepiej - poradził Drugi i przypomniał sobie pytanie brata. - To jak z tym szturmem? Będzie? - Będzie, oczywiście, że będzie, jakżeby inaczej.

- Cholera, a komu to wszystko potrzebne? Odfajkować podpunkt na formularzu? - Pierwszy odłożył karty na bok. - Po cośmy tu przyjeźli? Otoczyliby całą wieś... - Ale ile by trzeba do tego spędzić narodu! - nie zgodziłem się.

- Rzecz nie leży wcale w ludziach. - Drugi podał mi pół tabliczki czekolady. - Jaki jest sens naszej misji? Jak przedtem na każdym rogu sprzedawali prochy, tak będą sprzedawać i dalej. Jak nie mózgotrzepy, to jakieś inne. To, że zlikwidujemy jedno laboratorium na zadupiu, nic tutaj nie zmieni. Ryba psuje się od głowy.

- Źle myślisz. - Napalm dostrzegł, że gra już nikogo nie interesuje, zgarnął więc bank do kieszeni. - Dwaj moi przyjaciele polegli od przedawkowania, a trzeci stoczył się na dno. Dla mnie móc podpalić tych producentów i handlarzy dragami, to znaczy spełnić jeden z lepszych uczynków w życiu.

- „Splunąłbym w twarz bogom heroiny” - sam nie wiem, dlaczego zacytowałem nagle piosenkarza z „Bieguna Zachodniego”.

- Nigdy bym nie pomyślał, że interesujesz się twórczością Locmana - zdumiał się szczerze piromanta. - Mnie bardziej podoba się inny jego wiersz:

Do raju pociąg już odszedł ostatni, niestety.

Siedzę na peronie, palę, piwo piję duszkiem.

W kasie zostały jedynie do piekła bilety -

Jak chcesz, jedź w korytarzu albo kup miejscówkę.

*Rogaty konduktor, człowiek przecież nasz
Migiem ci załatwi i pościel, i obiad,
Wódka, gandzia plus żarcie, wszystko tutaj masz
Każdy zatem w pociągu pijany i rad.
Problem tylko jeden - bo przystanków brak,
Wszak droga do piekła niedługi to trakt.*

- Czekaj, Napalm. Ty się zaciągnąłeś z przyczyn ideologicznych? - osłupiał Drugi.
- Też coś! Masz mnie za chorego na umyśle? - Piromanta zakręcił palcem kółko na czole.
- Miałem swego czasu pospolitą zapasć finansową.
- Zdaje ci się, że tu można zgarnąć jakąś forszę? spytał z powątpiewaniem Pierwszy. - Żeby chociaż na życie starczyło.
- Kiedy zaczął mi doskwierać brak pieniędzy, rozkręciłem taki jeden interes. I zarobiłem trochę uśmiechnął się krzywo Napalm. - Ilja mnie wtedy ledwie wybronił. A teraz odpracowuję. A wy to niby jak tutaj trafiliście?
- Jak to „jak” - Drugi odpowiedział równie kwaśnym uśmiechem. - Daliśmy kiedyś dęba z armii, wysłali nas na placówkę północną. Ale w miejsce północy popadliśmy w to cholerne gównno.
- Tak, gównno z wielkiej litery - zgodził się Pierwszy. - I gdzie się można podziać? Albo iść do bandytów, albo do Drużyny. W bandzie nas nie chcieli, a u Ilji znalazło się miejsce.
- Popatrzcie tylko. - Drugi zmarszczył nagle czoło.
- Odwróciłem się i zobaczyłem, jak Chan coś już tam nawija Grigorijowi, który dopiero co wszedł do obory. - Ot, i wszystko, poszedł rzyg w kanalizację - westchnął Napalm.
- Zbierajcie się zaraz. - Grisza przepuścił czarownika, nie słuchając paplania Chana. - Zaraz z wioski wyjedzie furmanka z transportem narkotyków. Odejdziemy jakieś sto metrów drogą i zorganizujemy zasadzkę. Ochroniarzy jest czterech. Strzelać tak, żeby zabić, Wiera będzie ubezpieczać. Żaden nie może uciec. Prochami się nie przejmujcie, mogą nawet spłonąć.
- Przecież usłyszą nas we wsi! Po co zasadzka? Jeśli brać to wszystkich naraz - zaniepokoił się Chan.
- Załatwię wam dwadzieścia sekund w pęcherzu ciszy - rzekł Jałtin. - Więcej nie mogę zagwarantować. Naturalne do magiczne jest tutaj tak mocne, że czyni niemożliwym podtrzymywanie czarów.
- Dwadzieścia sekund? Toż to świat i ludzie. Chan nazbyt optymistycznie, jak na mój gust, podszedł do rzeczy.

Nie mogłem sobie wyobrazić, jak Siergiej Michajłowicz zamierza spełnić obietnicę, przecież widziałem, jaka kaszanka robi się z energią. Chociaż... Pracę przecież wykona w pewnym oddaleniu od epicentrum zakłóceń. A gdyby nawet coś, przecież mamy chodzący miotacz ognia.

- Zaraz po zlikwidowaniu kurierów zajmujemy pozycje wyjściowe do ataku. - Grigorij rysował plan czubkiem buta na brudnym betonie. - W obozie zostało od siedmiu do piętnastu ludzi. Naszym zadaniem jest zneutralizować ich w jak najkrótszym czasie i przejąć laboratorium - ten wagonik tutaj. Są przy tym dwie wiadomości. Gorsza jest taka, że pole energetyczne ma tam taką moc, iż Siergiej Michajłowicz nie udzieli nam wsparcia. Lepsza: wartowników mamy tylko czterech. Pozostali albo pracują w laboratorium, albo odpoczywają. Siergieju Michajłowiczu, wy zajmiecie się posterunkiem, o którym mówił Mielnikow. Dacie radę?

- Oczywiście.

- To znakomicie. Amuletami komunikacyjnymi można się posługiwać dopiero po rozpoczęciu szturm.

Wiera, ty ściągniesz tego typu z wieżyczki. Resztę wybijesz według własnego uznania. Siergiej Michajłowicz jest pewien, że wszyscy wartownicy posiadają amulety odchylające tor pocisków, dlatego nie możesz zawieść, dziewczyno.

Wiera kiwnęła tylko głową.

- Chan, w głębi obozu rosną krzaki bzu. Gdzieś tutaj - wyrysował butem linię. - Tam jest czujka. Musicie z Mielnikowem zdjąć strażnika.

- Jasne.

- Napalm, możesz spalić wagon tak, żeby nikt nie zdążył z niego wyskoczyć?

- Tak, jakbyście nie wiedzieli. Pewnie, że mogę.

- Twoim celem jest więc ten stojący dalej od wiatraka. Sopel, będziesz osłaniał Napalma. Pamiętajcie o jednym: jeśli nie zdążycie, będzie z nami krucho. Pierwszy i Drugi idą ze mną.

- Grigorij zamilkł, przyjrzał się nam uważnie. - Pytania?

- Grisza, oni zbierają się do wyjazdu. - W drzwiach pojawił się wujek Żenia.

- Wychodzimy. Rzeczy zostawcie tutaj. I nie strzelać bez rozkazu.

Podrapałem się za uchem, rozpiąłem torbę i przełożyłem do kieszeni paczki dolarów. Na wszelki wypadek. Poza nimi nic cennego nie posiadałem. Naboje i pozostałą broń miałem przy sobie. Jak inni? Też już byli gotowi.

Wiera, która nie powiedziała w ostatnim czasie ani słowa, wyszła zaraz za Pięgowatym. Była bardzo zdenerwowana, co dało się zauważyć po zaciśniętych wargach i ostrych ruchach.

Dla snajpera taki stan to nic dobrego.

Strzelec wyborowy powinien być spokojny jak boa dusiciel. Miałem tylko nadzieję, że ją odpuści.

Chan, czy to naśladując Grigorija, czy też z wieloletniego nawyku, zlustrował uważnie wszystkich. Najwyraźniej chciał nas zrugać, ale dał spokój. O niego można się było nie martwić. Doświadczenie i karność robiły swoje. Gdyby dostał rozkaz wydusić kurierów gołymi rękami, uczyniłby to bez wahania. Chociaż swołocz z niego, ale za to z żelaznym charakterem.

Pierwszy i Drugi szybko rzucili swoje plecaki w ką, sprawdzili automaty i ustawili się przy drzwiach, czekając na Napalma. Dziwni goście. Dopiero co zadawali pytania o sens ludzkich działań, a teraz byli gotowi zabijać. Czyżby armia była szkołą życia? Nie służyłem, nie potrafię więc powiedzieć.

Napalm długo kopał w torbie, wreszcie znalazł jakąś paczuszkę, schował ją do kieszeni i zasunął zamek błyskawiczny. Sprawdził, czy pistolet da się łatwo wydobyć, przetarł dłonią twarz i uśmiechnął się. Jeśli ktoś tutaj był pewny siebie, to na pewno on. Gdyby ktoś mnie zapytał, czy piromanta się denerwuje, nie wiedziałbym, co odpowiedzieć. Z drugiej strony, rano przecież nie spanikował, podpalił zombie jak należy. Miałem nadzieję, że i teraz nie zawiedzie. Gdyby coś poszło nie tak, cała nadzieja w nim właśnie - inaczej w dwadzieścia sekund się nie wyrobimy.

Wyszedłem z obory i natknąłem się na wujka Żenię, który szedł nas popędzić.

- Chan, Sopol i Napalm za mną - zakomenderował. Szliśmy na pozycje tak, żeby ominąć zmrożony przez kriogen pas, na którym trawa zaczynała już tajać, czernieć i więdnąć. Czarownik, Grisza i bliźniacy przebiegli na drugą stronę drogi, a gdzie zniknęła Wiera, nie zauważyłem.

Nałożone na nasze amulety dodatkowe zaklęcia zaczęły się już uwalniać, dzięki czemu postrzegaliśmy czary ochronne jako obłoczki pary przelatujące od jednego drzewa do drugiego. Gdzieś tam srebro się rozciągnęło w nieładzie po lesie nici stacjonarnej sieci alarmowej, ale je akurat łatwo było obejść.

Miejsce do zasadzki wybraliśmy na styku lasu świerkowego i brzezinki. Zaległem na zboczu zarośniętego malinami niewielkiego pagórka. Chan szybko rozpatrzył się w sytuacji, spoczął obok mnie.

- Nie słyszałeś może o jakichś premiach za pomyślnie zakończoną operację? - spytał nieoczekiwanie.

- Nie. - Przygotowałem karabin, starając się, żeby trawa i liście nie zasłaniały przyrządów

optycznych. Miałem gdzieś ich wszystkie premie. Zresztą, forsa nie była w tym wypadku najistotniejsza. Ważne, żebyśmy znaleźli faktycznie bazę producentów mózgotrzepów. A teraz trzeba przede wszystkim wystrzelać tych lewych grzybiarzy.

Wychodziło na to, że musieliśmy trafić w dziesiątkę.

Miejsce było idealnie wybrane, dobre dla tych, których szukaliśmy: na południowym wschodzie las ciągnął się aż do granicy z Miastem, od strony Świerkowego osłaniały ich rozlewiska, od Rudnego rwał potok. Normalny człowiek nie ma czego szukać w podobnej głuszy. A poza tym normalni ludzie nie organizują takich systemów ochronnych.

- A coś obiecywali? - Postanowiłem jednak podtrzymać rozmowę, bo zrobiło się jakoś niewyraźnie. Niech sobie ogląda mnie na razie jak żuczka pod lupą. Bo to jego zainteresowanie takie jakies niezdrowe, zupełnie jakby miał już przygotowaną igłę i miejsce pod szkłem dla eksponatu.

- Była rozmowa na ten temat. - Chan ukłął się łodygą, zasyczał z bólu i nerwów. - Szlag by to. Gadają, że ciepło tylko trzy miesiące w roku, a jak się to wszystko zdąży przez ten czas rozrosnąć!

- Czarownicy uważają, że rośliny zaczęły się odżywiać energią magiczną, dlatego listki mają niebieskawe żyłkowanie. Za dwadzieścia lat będzie tutaj jak na Północy, las nie wieczniezielony, tylko wiecznoniebieski. Tam drzewa nie zrzucają już liści na zimę. - Przyłapałem się na tym, że naprawdę miałem ochotę pogadać. A to znaczyło, że zaczynam się denerwować.

Chan spróbował jeszcze przygiąć krzak, ale znów się pokłął, więc odpełził w stronę świerka, parę metrów dalej.

Czekaliśmy. Od ziemi ciągnęło zimnem i wilgocią.

Pistolet w kaburze pod pachą wrzynał się w zebra. Jakaś mrówka, zaraza jedna, wlała mi pod nogawkę, trawa łaskotała w nos, w ustach mi zaschło. Mrówka doszła już do kolana, dzinsy zaczęły namiękać od mokrego igliwia. A czekać trzeba bez ruchu.

Skrzypienie kół furmanki doleciało nas po kwadransie. Zaraz potem dało się słyszeć kłapanie kopyt po kamienistej ziemi i pełne niezadowolenia parskanie koników. Kriogen je przestraszył? Najprawdopodobniej. Zwierzęta bardzo nie lubią takich zjawisk.

Na wyładowanym workami wozie jechało ich czterech. Jeden powoził, dwóch siedziało na burtach, ostatni z tyłu. Brałem wszystkich po kolei w skrzyżowanie lunety. Twarzy nie znałem. Na kolanach ubranego w rozpiętą kufajkę z obciętymi rękawami brodatego mężczyzny leżał obrzyn. Siedzący po bokach - jeden w skórze, drugi w wiatrówce - byli wyposażeni w dwururki, a rozglądający się bez przerwy dwudziestoletni może chłopak

dzierzył shotguna. Do tego każdy miał długi nóż i toporek.

Gdyby tak spojrzeć, nie wiedząc, co jest na rzeczy, można by powiedzieć, iż myśliwi wracają z polowania. Albo ojciec z synami wiezie towary do Fortu na sprzedaż. Albo... Co by nie mówić, i broń, i ubrania dobrane zostały doskonale. Na piątkę z plusem. Można się tym obronić przed bandytami albo leśnymi stworzeniami, a w Patrolu czy Drużynie takie rury nie wzbudzą podejrzeń. Broń myśliwska to w końcu nie automaty.

Wezmę woźnicę. Spróbowałem wybadać, czy narkokurierzy są zabezpieczeni jakimiś zaklęciami i bez większego zdziwienia wykryłem delikatne tło aktywnych czarodziejskich amuletów. Mogłem wnosić z intensywności doznania, że wszyscy mają „Smoczą Łuskę”. A to bardzo niedobrze, bo może być trudno zdażyć w dwadzieścia sekund. Najlepiej byłoby ich obrzucić granatami albo skorzystać ze zdolności Napalma.

Na co czekamy? Tylko patrzeć, jak furmanka nas minie. Czyżby pozostali ukryli się gdzieś dalej? Albo plan uległ zmianie?

W tej chwili woźnica włożył rękę za pazuchę i wyjął łańcuszek z amuletem. Ametyst wielkości paznokcia błysnął oślepiająco, po czym rozsypał się w proch.

Wystrzeliłem w woźnicę loftką i gość, wypuściwszy wodze, zwał się do tyłu, na worki. Serie z automatów skosiły siedzących na burtach, tylko chłopak zdażył skierować w stronę lasu shotguna, ale natychmiast oberwał z kilku luf. Ostatnie strzały wykończyły konie.

A wszystko to bez jednego dźwięku. Nie było słyhać nie tylko wystrzałów, krzyków i rżenia koni, ale nawet uderzeń kulo drewno furmanki.

Miałem wrażenie, że nie upłynęło więcej niż dziesięć sekund...

Leżałem jeszcze w ukryciu, wypatrując, czy któryś z kurierów się nie poruszy, kiedy z lasu wyszli bliźniacy i z bronią gotową do strzału obejrzel ich ciała.

- W porządku. - Jeden z braci machnął ręką pozostającemu wśród drzew Grigorijowi.

Wstałem, wyszedłem na drogę. Trzy trupy leżały w furmance, tylko siedzący z tyłu chłopak, wciąż ściskając kurczowo broń, przewalił się przez deski boku i upadł na kamienisty grunt. Włosy miał zlepione krwią.

W ogóle posoki było sporo. Przesączała się przez podłogę furmanki i skapywała na ziemię. W powietrzu unosił się zapach prochu. I - oczywiście - krwi. Proch i krew łączyły się w zapach śmierci. Zaczęły się już zlatywać muchy.

Reszta oddziału wyszła z lasu, a Grigorij z miejsca posłał Chana, żeby sprawdził stanowiska od strony wsi. Wiera zajęła pewnie pozycję gdzieś w tamtym rejonie.

Wujek Żenia wlaź na wóz, zaczął przeglądać zawartość woreczków oraz rzeczy zabitych.

- Siergieju Michajłowiczu - podszedłem do czarownika. - Jak daliście sobie radę z

amuletami czarodziejów?

- To taki mój sekrecik - nie zamierzał dzielić się tego typu informacjami.

- Znalazłeś coś? - zawołał Grisza do Mielnikowa.

- Zwierzynę, futra i suszone mięso. - Wujek Żenia zrzucił trupy na ziemię, wyjął nóż.

Hm, tak... Jeśli załatwiliśmy zwyczajnych myśliwych, pracujących ciężko na kawałek chleba... Spojrzałem na bliźniaków przestępujących niespokojnie z nogi na nogę. Na nieukształtowaną jeszcze do końca osobowość, a dokładniej na nieulegające atrofii sumienie takie coś może działać po prostu zabójczo. Wielu ludzi jest w stanie zarzynać innych w imię wyższych racji i słusznej sprawy, nie zastanawiając się, że zabójstwo to zawsze jednak zabójstwo. Ale z jakiegoś powodu takim osobnikom jest lżej jeśli mają świadomość, że nie zamordowali dla dwunastu kopiejek, lecz w imię pokoju i dla dobra świata.

Co tam, nie mogliśmy się przecież aż tak pomylić.

Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają!

Faktycznie, nie zdarzają się. Mielnikow stęknął z wysiłku, oderwał deskę i wyjął ze skrytki gruby pakiet. Nadciął go nożem, przyjrzał się uważnie, rzucił Piegowatemu.

- W detalu warto to z pięć tysięcy.

Ożywieni bliźniacy wymienili zdumione spojrzenia.

A czego by chcieli? Mózgotrzepy tanie nie są.

- Myślę, że to nie jedyna skrytka. - Wujek Żenia zeskoczył z furmanki. - Co z tym zrobimy?

- Zutylizujemy. - Grisza szmyrgnął pakiet z powrotem do wozu. - Ma ktoś pomysł?

- Spalić i z głowy - zaproponował Mielnikow.

- W obozie mogą zobaczyć dym - przestrzegł Na - palm.

- Siergieju Michajłowiczu, wasz ARIP można nastawić na opóźniony zapłon?

- Na ile? - Jałtin wydobył drewnianą kulę z nieodłącznej torby.

- Czterdzieści minut.

- Gotowe. - Czarownik ostrożnie włożył ARIP do furmanki.

- Co tak stoicie? - Natychmiast pogonił nas dowódca. - Czas goni. Zajmujcie pozycje.

Zaprowadziłem piromantę do wieży ciśnień, pokazałem mu wagonik, przy którym na kłodzie siedział wartownik. Drugi strażnik przeniósł się pod daszek i zaległ na sianie.

- Skąd będzie ci najbardziej poręczniej? - tchnąłem w ucho Napalmowi.

- Powiniennem podejść na jakieś trzydzieści metrów, bo stąd nie dam rady objąć całego obszaru - odparł, mrużąc oczy. - Od tamtych krzaków powinno być bliżej.

Oceeniłem odległość między wskazanym przez piromantę miejscem a wagonem i

nachmurzyłem się. Tak czy siak trzeba będzie przebiec ze czterdzieści metrów po otwartej przestrzeni. Jeśli nie zdejmą wcześniej erkaemu, mamy przechłapanie. Nie, jeśli nie zlikwidują erkaemisty, wszyscy będą mieli przechłapanie, nie tylko my. Ale nim przecież miała się zająć Wiera w pierwszej kolejności. Cała nadzieja w jej celnym oku.

Szerokim łukiem ominęliśmy z Napalmem nieporośnięty drzewami teren, podpełzaliśmy w pobliże krzaków. - Zobacz. - Piromanta krótkim ruchem brody wskazał zarośla. Na gałązkach srebrzyła się nić czaru strażniczego.

Zakląłem w duchu. Kiedy tylko ruszymy, ochrona zostanie z miejsca zaalarmowana. Cóż, tutaj będzie obowiązywała zasada „raz kozie śmierć”. Zwycięży szybszy, trzeba więc będzie włączyć pełny gaz. Nic to, włączymy! Żeby nasi lekkoatleci mieli taką motywację na olimpiadzie.

Dobra, wystarczy tych rozmyślań. Trzeba się skoncentrować na zadaniu. Za chwilę Chan z Mielnikowem zdejmą strażnika w krzakach i zacznie się impreza. Po co się w to pchałem? Trzeba było spieprzać jeszcze przed Rudnym. Spokojnie, spokojnie... Nie było przecież jak, a poza tym, jakże to trupy towarzyszy za sobą zostawić? Czy aby na pewno nie mogłem zwiać? A nocleg w piwnicy? Kto niby sam przez dwie godziny stał na warcie? Tak, ale dokąd miałem pójść w środku nocy? A skoro wtedy nie poszedłem, teraz muszę zagrać do końca spektaklu.

Napalm pogrzebał w kieszeni, wy dobył zatopioną w celofanie żelatynową kulkę.

- Co to? - spytałem, chociaż doskonale rozpoznałem „Magistra”.

- Doping.

- <I> Napalm, Sopol, naprzód <D> - Te trzy słowa sprawiły, że pogałem przed siebie, przedarłem się przez chruśniak, wypadłem na otwartą przestrzeń. Napalm gnał tuż za mną.

Minus czterdzieści.

Gdzieś przy wagonikach rozległo się wycie alarmu. Minus trzydzieści pięć.

Wartownik na wieży padł z przestrzeloną głową. Minus trzydzieści.

Siedzący na kłodzie strażnik skoczył na równe nogi i jak na zwolnionym filmie wycelował we mnie automat.

Minus dwadzieścia pięć.

Rozwalony pod daszkiem ochroniarz odpowiedział ogniem na strzały z lasu.

Chan i wujek Żenia wyskoczyli z krzaków bzu i pobiegli ku wagonikom.

Minus dwadzieścia.

Zaczął pracować „Anioł Stróż”, co sprawiło, że świat stał się szary. Kule z kałacha zalśniły fosforyzująco, przechodząc obok.

Minus piętnaście.

Pocisk z karabinu wyborowego przebił szyję leżącemu pod daszkiem.

Biegając, waliłem kulę za kulą w strzelającego do mnie wartownika. Obok. Obok. Obok. Obok.

Minus dziesięć.

Grigorij i bliźniacy wybiegli na otwarte pole i popędzili do wagonu, w którym zniknął doprowadzony od wiatraka przewód, ale ochroniarz w drzwiach zaczął strzelać do nich z podwieszanego granatnika.

Minus pięć.

Fala wybuchu zbiła bliźniaków z nóg. Grigorij, który nie poniósł szwanku, w biegu otworzył ogień z AKSU. Strzelający z granatnika mężczyzna zwał się na ziemię z przestrzeloną piersią, Wujek Żenia odrzucił na bok różdżkę „ołowianych os”, lecz artefakt zapłonął pomarańczowym ogniem tuż przy jego ręce.

„Anioł Stróż” zakończył działanie, znów znalazłem się w normalnym świetle, skoczyłem w bok, nie przestając strzelać. Obok. Obok. Obok.

Punkt zero.

Wewnątrz bliższego wagonika wybuchły płomienie, wrywając się przez okna, a zamienieni w żywe pochodnie wartownicy krztusili się krzykiem, tarzając się rozpaczliwie w trawie.

Zdążyliśmy...

Pierś od pewnego czasu paliła mnie dotkliwie, wsunąłem rękę za pazuchę i bez zdziwienia wydobyłem pozostałe z amuletu metalowe łuseczki. Dobrze, że mnie nie podpaliło jak Mielnikowa, który właśnie obwiązywał sobie dłoń.

Co z innymi?

Jeden z bliźniaków pochylał się nad nieruchomym ciałem brata. Chwiejający się Napalm ścisnął palcami krwawiący nos i patrzył na płomienie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Chan z Piegowatym pobiegli do drugiego wagonika i zatrzymali się przed drzwiami. Przełączyłem bezpiecznik na karabin i próbując uspokoić oddech, ruszyłem ku nim.

Chan poczekał na rozkaz Grigorija, przeskoczył przez ciało wartownika, wskoczył do środka. Zadźwięczało szkło, ktoś krzyknął. Chan wyskoczył zaraz potem, ściskając nasiąkającą krwią nogawkę. Grisza posłał w otwarte drzwi długą serię, zajrzał do środka.

- Mielnikow, szybciej! - krzyknął, oglądając się. Wujek Żenia, krzywiąc się z bólu, podbiegł do dowódcy.

Już nie musiałem się spieszyć, podszedłem spokojnie do wagonika i spytałem Chana:

- Co z tobą?

- Dostał, skurwysyn! - Sycząc przez zęby przekleństwa, wyjął pakiet osobisty i zaczął bandażować nogę.

- „Siedział kozioł na ławeczce, liczył swoje koziołeczki”. - Napalm wciąż jeszcze ścisnął nos. Oparł się o wagonik i zsunął powoli na ziemię. Rozwarł palce, a między nimi od razu pojawiła się wielka kropla krwi. - Raz, dwa, trzy... Sześcioro ich było. Sześcioro.

- Kogo? - nie zrozumiałem. Bredzi, czy co? Przesilił się, czy to „Magister” tak mu wali w mózg?

- Ludzi. Tam - wskazał na dopalające się szczątki wagonu.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, wzruszyłem tylko ramionami. Co u bliźniaków? Jałtin, który wyszedł z lasu, tłumaczył coś siedzącemu nad ciałem brata chłopakowi - Pierwszemu czy Drugiemu, z tej odległości nie mogłem rozpoznać - zakładając mu przy tym na ramię opaskę uciskową.

Pokręciłem głową, zjrzałem za Mielnikowem do wagonika-laboratorium i od razu poczułem, jak przez całe ciało przebiegły mi kłujące mrówki, będące skutkiem rozlanej w powietrzu energii magicznej. Jak oni mogli tutaj pracować?

Całe wnętrze było zastawione oplataną kablami aparaturą. Wolne miejsce znalazło się tylko na śmietnik przy drzwiach, wąskie przejście i kącik z dwoma krzesłami. Na jednym z nich siedział człowiek z poderżniętym gardłem.

Nie jestem specjalistą, ale miałem wrażenie, że nic tu wielkiego nie znajdziemy: operator został załatwiony, ochrona martwa, sprzęt w dużej części rozwalony, a dokumenty, jeśli jakieś były, niewątpliwie spłonęły.

Rozcięte przewody iskrzyły, czarny dym o nieprzyjemnym zapachu ścielił się na podłodze i spowijał ciała dwóch strażników.

- Sopol, wyciągaj ciała na zewnątrz. - Grigorij nie wydawał się specjalnie wyprowadzony z równowagi. Zapytał o coś Mielnikowa, który wodził dookoła jakimś przyrządem wyglądającym na skaner, ostrożnie schował do plastikowej torebki niedopalone stosik papierów.

W oprzyrządowaniu coś szcęknęło, dym popłynął silniejszą strugą, a ułucia mocy stały się nieznośne.

Najpierw wyniosłem ochroniarza z przestreloną piersią, potem drugiego. Ten nie wyglądał na zwykłego goryla - był zbyt lalusiowaty, a poza tym krótkie ostrze, którym zranił Chana, nie było zwyczajnym, tanim orężem dla byle kogo. „Skrzydło motyla” - bardzo cienka klinga cięła wyłącznie za sprawą mocy magicznej, zmagazynowanej w dużym kamieniu

szlachetnym wprawionym w głowicę. Bardzo specyficzna broń, ale nie mogła wcale świadczyć o przynależności posiadacza do Bractwa. Ostatnio stała się bowiem bardzo popularna nie tylko wśród profesjonalistów, ale także w pewnych kręgach grubych ryb i bogaczy jako swoisty wskaźnik wpływów oraz statusu majątkowego. To na pewno nie był fachowiec, inaczej Chan nie wyszedłby z walki obronną ręką.

Po ostatniego nieboszczyka nie musiałem się już fatygować, bo wywłókł go osobiście Grigorij. Nieźle poszerzyli uśmiech operatorowi - od ucha do ucha. Obawiali się, że może coś powiedzieć? Słusznie się pewnie obawiali.

- Zaczynaj - popędził Piegowaty Mielnikowa. Czas...

- Jak mam to zrobić? - Żenia podsunął dowódcy pod nos zabandażowaną dłoń.

- Przyrząd - ostro rzucił spochmurniały nagle Grisza.

- Bierz. - Mielnikow podał mu metalowy pręt zaostrowany z jednego końca. Z grubszej strony lśnił wprawiony weń rubin. Wujek Żeni a wyciągnął z torby drugi taki sam przedmiot.

Dziwne pręty. Nie wiadomo, czy lite, kute, czy też wydrążone, a z ostrzejszego końca miały coś jakby rowki.

Grisza odwrócił trupa właściciela „Skrzydła motyla” twarzą w dół, wziął szeroki zamach i z chrzęstem wbił pręt w kość potyliczną. Żelazo zagłębiło się prawie na dwie trzecie długości. Piegowaty z pełnym spokojem wziął drugi „przyrząd”, żeby powtórzyć procedurę z operatorem.

Nic z tego nie rozumiałem. Do głowy przychodziło mi tylko jeszcze jedno powiedzonko Sielina: „Wszystko to coraz dziwniejsze i dziwniejsze”. Laboratorium odnaleźliśmy, wszyscy zostali zabici, zatrzymaliśmy produkcję mózgotrzepów. Zadanie wykonane? Ano, wykonane. A może nasze działania mają na celu coś więcej, kryje się w nich ukryta głębiej treść? Bo co to za manipulacje? Po co ci dwaj amatorzy anatomopatologii bawią się w opracowanie trupów?

To już się nie mieściło w głowie! Przecież nie pobierali wycinków do analiz! Jedyne, co mogli robić, to odczytywanie informacji wprost z mózgów nieboszczyków. Wprawdzie o takiej technologii jeszcze nie słyszałem, ale przecież nauka idzie wciąż do przodu. A przecież media zjadły już zęby na odzyskiwaniu wiadomości od trupów i chociaż uparcie opowiadają bzdury na temat kontaktów z duchami, wszyscy przecież wiedzą, o co tak naprawdę chodzi.

Jaka też informacja mogła aż tak być potrzebna Drużynie? Najbardziej oczywiste to kontakty i hasła. Ale po co w takim razie dziurawić czaszkę operatorowi, który na pewno ich nie znał? Czyżby najważniejsze było opanowanie techniki sporządzania mózgotrzepów?

Jednak przecież Grisza mówił, że nasza wyprawa to tylko manewr odciągający... Czyżby jednak Ilja planował taki rozwój wypadków od samego początku, skoro wyposażył swoich

ludzi w te wihajstry? Kto go tam wie...

Rubin na końcu pręta wbitego w głowę operatora zamrugał i zajaśniał, a po chwili zaczął migotać kamień drugiego przyrządu. Grigorij odkręcił z zakończeń prętów małe cylindry, schował je do kieszeni.

Łeb mi puchł od kłębiących się pytań, postanowiłem zatem nie zaprzętać sobie w ogóle głowy tymi bzdurami. To już nie powinno mnie interesować. Teraz muszę myśleć tylko o jednym - jak by tutaj zniknąć niepostrzeżenie. Lecz nie mogłem oderwać się od rozważań związanych z tym, co zobaczyłem. Nie wiem, dlaczego, ale zaczęło mi się wydawać, że skądś znam operatora. Ryzykując burę od Grigorija, podszedłem, odwróciłem ciało i zapatrzyłem się w twarz nieboszczyka. Wąskie wargi, wysunięty do przodu ostry podbródek z dołeczkiem, pieprzyk pod lewym okiem. Widziałem go już gdzieś, na pewno widziałem! Ogarnęły mnie dziwne skojarzenia: zimno, ciasnota, Maks, Jean, Wietricki. Nagle przypomniałem sobie! Pokazywał nam zdjęcie tego gościa sierżant rangersów w Łudinie! I fotografia nie była umieszczona w zwykłym policyjnym albumie, ale w osobnej foliówce. Kruk potem zaproponował, żebyśmy przyłączyli się do obławy, a Jean, o ile sobie przypominam, natychmiast zmienił temat.

Żeby jakoś się uspokoić i zebrać myśli, zacząłem robić przegląd karabinu. Co o tym wszystkim mogłem w sumie powiedzieć?

Nakładały się tutaj produkcja narkotyków ze znajomym już, ubocznym efektem niestabilności i przerostu pola energetycznego. Ten efekt, choć może nie w tak wielkim stopniu, był charakterystyczny dla silnych alchemicznych artefaktów. W dodatku mój „Anioł Stróż” zwyczajnie się spalił. Czy można stąd wyciągnąć wniosek, że podstawą technologii produkcji mózgotrzepów jest alchemia? To raz.

Zapiąłem patrontasz, wytrząsnąłem spod koszuli resztki amuletu.

Wynikałoby z tego, że Grigorija, a tak właściwie Ilję, interesowało nie laboratorium, jako takie, lecz głównie alchemiczna technologia. To dwa.

Poprawiłem ubranie, spojrzałem na Napalma widać było, że czuje się paskudnie, wciąż jest osłabiony.

A jeśli pójść dalej w rozumowaniu, wydaje się logiczne, iż sekciarze mieli otrzymać od Jeana dokumentację dotyczącą alchemii. A rangersi urządzili polowanie na renegatów z Miasta. Tylko dlaczego ci uciekinierzy wybrali się tak daleko na północ?

Na pierwszy rzut oka wszystko to mogło wydawać się zupełną bzdurą. Ale jeśli dołożyć do tego pasjansa karty Bractwa, obraz całości stawał się bardzo interesujący. Bracia przekupili alchemików z Miasta - a mogli zapłacić o wiele więcej niż Niosący Światłość -

zatem zbiegowie podążali do Mglistego. Albo miejscy uchodźcy wraz z Jeanem myśleli, że powinni tam iść. Rzeczywiście, najbezpieczniejsza droga do Mglistego prowadzi przez Łudino. Stąd te obławy. Ale to akurat przemyślenie to nie trzy, ani nawet dwa i pół, to takie dumanie o niczym. Idźmy dalej.

Przekonać się, czy mam rację co do intencji Liniewa będzie bardzo łatwo - jeśli sprowadzą tu jak najszybciej połowę ekspertów z Drużyny i Gimnazjonu, rzecz szła od początku faktycznie o mózgotrzepy. Coś mi jednak podpowiadało, że odejdziemy stąd cichaczem.

Ale przynajmniej wiedziałem już, dlaczego produkcji narkotyków nie uruchomiono w samym Forcie - takich wyrzutów energii nie dałoby się ukryć w żaden sposób, a tutaj po zapaskudzeniu jednego miejsca, można się było przenieść w drugie.

Ale jeśli za tym wszystkim miałyby stać Bractwo, to czemu nie zorganizowali laboratorium w Mglistym? Chociaż to też można wyjaśnić: tam teraz trudno się przemknąć, bo terenu pilnują nasi patrolowi i miejscy jegrzy. A poza tym trochę za daleko wozić stamtąd towar do Fortu.

Z budy, dzwoniąc łańcuchem, wylazł wyłysiały pies i Chan, który już zdążył opatrzyć nogę, sięgnął po automat. Gruchnął pojedynczy strzał. I dobrze, ja przynajmniej nie musiałem tracić nabojów. Nie jestem hyclem, ale z takimi wrzodami i ropniakami psiak by długo nie pociągnął.

- Jak tam? - spytałem nadchodzącego czarownika, wskazując na bliźniaków.

- Nie żyje.

- Który?

- Pierwszy. - Jałtin podszedł do Grigorija i wujka Żeni. - Udało się?

- Jak najbardziej. - Piegowaty mimowolnie włożył rękę do kieszeni, w której schował cylindry. - A jak u was?

- Podobnie - czarownik uśmiechnął się leciutko. - Konstrukcje zaklęć, które sporządziłem u ludożerców, okazały się nad wyraz efektywne.

Wujek Żenia znalazł gdzieś nasiąkniętą smarem szmatę, zawinął ją na kiju, podpalił i wrzucił do laboratorium. Z miejsca wewnątrz wybuchły płomienie. A dymu z tego było co niemiara...

- To wszystko, spadamy. - Grigorij chwycił piromantę za poły kurtki, postawił go na nogi.

- Spadamy! - Co zrobimy z Pierwszym? - zapytał Jałtin, odsuwając się od wrywających przez drzwi języków ognia.

- Weźmiemy ze sobą, pochowamy gdzieś po drodze - odpowiedział Grisza bez chwili

namysłu. Chan, pomóż Drugiemu. A, jesteś przecież ranny. Siergieju Michajłowiczu, obejrzyjcie Napalma.

Mielnikow poprawił opatrunek na oparzonej ręce.

Patrzył nieruchomo w płomienie. Wewnątrz wagonika zaczęło pękać z trzaskiem szkło.

Napalm opędził się od pomocy Jałtina, na miękkich nogach ruszył za Grigorijem i Chanem. Czarownik obejrzał się na nas, chciał coś powiedzieć do Żeni, ale dał sobie spokój, poszedł powoli w stronę lasu.

- Jeszcze tylko mgły brakowało - wyburczał nagle Mielnikow.

Rozejrzałem się i w pierwszej chwili nie uwierzyłem własnym oczom: nie wiadomo skąd pojawiła się nagle mgła, pełznąca mleczną zasłoną ze strony wolnej od drzew przestrzeni. W dodatku działo się to bardzo szybko. Rozumiałbym jeszcze takie zjawisko o poranku albo wieczorem, ale teraz?!

- Chodźmy lepiej - popędziłem wujka Żenię. Ale było już za późno. Biały tuman ogarnął martwe ciała, w które dosłownie wstąpiło stado demonów: zaczęły się wyginać i skręcać pod wpływem niepojętej siły. - Uciekamy! - odwróciłem się do Mielnikowa i zmartwiałem. Prosto w twarz patrzyło mi chłodne oko lufy.

Na ułamek sekundy przed wystrzałem udało mi się odbić rewolwer w bok, tak że kula werżnęła się w ziemię. Podciąłem machnięciem nogi i to coś, co jeszcze przed chwilą było wujkiem Żenią, przewróciło się. Odskokczyłem, ale toto w mgnieniu oka podniosło się na równe nogi. W tym momencie kula odwalila pół głowy napastnikowi, który runął wreszcie na ziemię.

Dzięki, Wieroczka!

Runął na mnie pokryty szronem spalony trup wartownika, ale zdążyłem wsadzić w niego ładunek śrutu. Poskręcane ciało odtoczyło się do tyłu, a w jego pustych oczach mignęły diaboliczne odblaski lazurowego słońca. Na wszelki wypadek strzeliłem jeszcze raz i rozejrzałem się.

Mgły przybywało. Płomienie bijące z rąk Napalma nie pozwalały przystąpić jej do zgromadzonych pod lasem ludzi, ale stojący nieco dalej czarownik został przez nią otoczony. Ukryty za siłowym polem Jałtin ledwo radził sobie z ciśnieniem obcej magii. Jeden za drugim migające rubinowo kamienne guziki jego kurtki wypełniały się czarno-niebieskim blaskiem, aż wreszcie sylwetka Siergieja Michajłowicza rozmasała się i zniknęła. Teleportacja.

A co ja miałem zrobić?

Podpełzające niepostrzeżenie języki mgły ogarnęły moje nogi nieznośnym chłodem. W stronę swoich przebić się nie byłem w stanie. Zresztą, po co? Uciekając przed wynurzającymi

się z zasłony martwiakami, rzuciłem się w kierunku, w którym, jak mi się wydawało, było jaśniej, jakby znajdował się tam jakiś prześwit. Moje ciało zaczęły rwać potężne cęgi mrozu, ale udało mi się wyskoczyć z zamykającej się już pułapki. Lodowate powietrze parzyło płuca, straciłem czucie w palcach rąk i nóg. Tylko pragnienie życia pchało mnie do przodu.

Biegłem, dopóki starczyło mi sił. A kiedy ich zabrakło, biegłem dalej. Szedłem. Potem pełzłem. Prawdopodobnie... Nie pamiętam...

ROZDZIAŁ 9

Poranek wydawał się zimny i zatechły. Dawała o sobie znać bliskość bagien. Kropelki wiszącej w powietrzu mgły - tym razem zwyczajnej mgły, a nie wytworu wścieklej magii - osiadały na trawie i liściach drzew. Z rzadka dolatywał z oddali krzyk kikimory, a od strony drogi na Świerkowe ciszę parę razy przerwało wycie wilka. A poza tym było spokojnie. Gdyby nie komary i muszki, można by uznać okolicę za prawdziwy kurort. Zimno, oczywiście, i mokro, ale przynajmniej nikt nie próbował mnie zabić. A poza tym, miałem jakiś dach nad głową. I ognisko. Wprawdzie o świcie zgasło, bo przysnąłem na dłużej, ale i tak było w porządku. Wszystko to przecież drobiazgi w porównaniu z rewolucją ogólnoświatową. W moim położeniu nie miałem prawa grymasić.

Co by nie mówić, miałem wczoraj szczęście. Do bagien dotarłem jak na autopilocie, a kiedy poczułem wodę pod nogami, od razu wróciłem do siebie. A potem poszedłem dalej, o wiele już ostrożniej, starając się trzymać z dala od głębin i wypatrując miejsca na nocleg. Tutaj też mi się poszczęściło. Na niewielką, otoczoną sitowiem wysepkę natknąłem się, kiedy usiłowałem obejść spore oczko wodne. Oczywiście nie ruszyłem się dalej. Nie jestem samobójcą. O wiele większe szanse ma człowiek, kiedy nocne drapieżniki ułożą się do snu, a dzienne zaczynają dopiero wypęłzać na słończko.

Naciąłem zatem trzciny, a także długich wiklinowych gałązek i sporządziłem z nich coś, co mogło nawet przypominać mgliście szałas. Potem rozpałem ognisko - na szczęście znalazłem w wewnętrznej kieszeni kurtki suche pudełko zapalek. Obeschnąłem, rozgrzałem się. Tylko cieszyć się życiem, mogłoby się wydawać. Tyle, że nie miałem co jeść. Wszystko, co znalazłem w kieszeniach to trzy części zawiniętej w folię czekolady. Znaczący, niebogato. Żeby zapomnieć o ssaniu w żołądku zacząłem czytać zapiski konduktora, bo poza tym nie miałem się czym zająć. Bałem się rozebrać i wyczyścić karabin, a próbować łowić ryby albo polować na żaby nie przyszło mi nawet do głowy. Mógłbym przy tej okazji sam stać się pokarmem dla jakiegoś stworza. Na bagnach to bardzo prawdopodobne.

W każdym razie przynajmniej przenocowałem. Teraz musiałem tylko doczekać wschodu

słońca i ruszać dalej. Jak to mówią, pora do domu się zbierać. Da Bóg, może dojdę. A nie da... Na pewno pierwszy się o tym dowiem. Nie ma co za dużo o tym myśleć, żeby nie zapeszyć. Na początek powinienem dotrzeć do drogi na Świerkowe, ale co dalej, zupełnie nie miałem pojęcia.

Żywiłem tylko nadzieję, że teoretyczne rozważania konduktora pomogą mi przejść przez Granicę.

Cholera, czemu zrobiło się tak zimno? Aż mróz ściał skórę. Czyżbym zachorował? Nie, niemożliwe. Opanowało mnie wrażenie, jakby ktoś przeszedł się po mogile. I to nie jakiejś tam obojętnej, ale mojej własnej. Zawahałem się i przeskoczyłem przez wytyczony na ziemi ochronny krąg, wyjrzałem z szałas, trzymając broń gotową do strzału, rozejrzałem się, schowałem z powrotem. Nikogo nie zauważyłem. Trzeba rozpalić ognisko, dopóki popiół całkiem jeszcze nie ostygł. Zmarnowałem tylko trzy zapałki - zawilgocone drewno nie chciało się zapalić - schowałem więc pudełko do kieszeni, zamyśliłem się. Co by tutaj zrobić? Może jeszcze się prześpię? Zaraz, a dlaczego nie skorzystać z czyjejś mądrości? Gdzie w zapiskach było to miejsce? O, właśnie! Pamiętam, jak bardzo się dziwiłem, że Jeanowi tak łatwo wychodzą zaklęcia, a on, jak się okazuje, nie kłamał tak bardzo, wspominając o prawdziwych imionach rzeczy. Nie wiem, po co Mścisław wsunął między zwykłe papiery kartkę z opisem podstaw magii runicznej, ale okazało się to teraz bardzo przydatne. Wziąłem nóż i starannie kopiując runy ognia, wyryłem podobny wzór na drewnienku. Dupa tam! Dobra, spróbujmy jeszcze raz, tylko teraz będziemy wlewać w runę energię magiczną.

Porażka. Albo opuściły mnie zdolności i teraz niby jakiś czarownik nie poradzę sobie bez pałeczki, albo coś przegapiłem w zapiskach. Co tam napisali mądrzy ludzie? „Graficzne przedstawienie run to tylko forma ułatwiająca adeptowi sformułować potrzebny obraz i tchnąć w niego czystą energię”. Sprytne. A to co za znaki? Nie, z nimi sobie nie poradzę. Co to jest ta czysta energia? Gdzieś już na pewno o niej czytałem...

Tak, Wietricki mylił się, sądząc, że znajomość tajnych symboli robi z niego czarownika. Tutaj bez odpowiednich zdolności nic się nie działo. Wszystkie te runiczne zawijasy to nic więcej jak sekretne pismo. Coś podobnego stosuje się w Gimnazjonie. Dopóki profesor nie wyjaśni, jakie działanie któremu symbolowi jest przypisane, można tylko zepsuć sobie oczy, próbując je odczytać.

Nie, cholera, zaraz całkiem zdrętwieję. Zmiałem kartkę z opisem run, wsunąłem ją pod gałęzie i wyjąłem zapałki. Po kartce przeleciał ogienek. Teraz trochę trzciny... O tak, od razu lepiej! Pomogła jednak cudza mądrość, jeszcze jak pomogła. Po chwili mogłem dorzucić nawet wilgotniejszego drewna. Dobrze...

Rozgrzałem się trochę, zacząłem sprawdzać wyposażenie. Nóż przy pasie, dwa ostrza do miotania w pętlach pod kurtką, kindżał w pochwie ukrytej pod rękawem, szabla na miejscu. Czyli broń biała w komplecie. Palna też na pierwszy rzut oka wyglądała dobrze. Ale tylko na pierwszy. Z pistoletem pod pachą nic się stać nie mogło, ale co do karabinu miałem pewne wątpliwości. Trzeba by go jednak rozebrać i wyczyścić, ale nie miałem pojęcia, jak to zrobić. Z kałasznikowem bym sobie spokojnie poradził. Dlaczego nie wziąłem zwyczajnej dwururki? Ale z drugiej strony, to przecież bardzo ważne móc strzelać z amunicji myśliwskiej i wojskowej. A tak a propos, co z amunicją? Miałem dwadzieścia pocisków karabinowych w magazynku i jeszcze trochę w patrontaszu.

Ale nie wiedziałem, jak wygląda sytuacja z nabojami do strzelby. Mogły przemoknąć, kiedy brnąłem przez bagna. I jak teraz zgadnąć, zawilgły, czy nie?

Ale co najgorsze, gdzieś posiałem łańcuch multiczaru. Nawet nie pamiętałem, kiedy zsunął się z nadgarstka. Teraz go na pewno nie znajdę, a przecież wyłożyłem zań grubo ponad setkę w złocie i nawet nie miałem okazji użyć. Szkoda.

Upewniwszy się, że rozporządzam budzącym szacunek arsenałem, wyszedłem z szałas. Słońce podniosło się już znad horyzontu, jego jaskrawoczerwona tarcza mętnie przeświecała przez mgłę. Pora. Czas nocnych stworzeń minął, a dzieńne jeszcze nie wylazły z nor.

Zadeptałem ognisko, zarzuciłem popiół trawą błotną, a potem podszedłem do wody. Zdejmować buty czy nie? Dopiero co przecież wyschły. Jeśli nie zdejmę, cały dzień będę chodził w mokrych, a to już mi nieźle dojadło.

Zdrowy rozsądek wziął w końcu górę nad pragnieniem komfortu. Jeśli rozetnę nogę albo coś się przyssie do gołej skóry, mogę w ogóle nie wyleźć z błota. A porządnego obuwia byle gadzina nie przegryzie. Dzinsy mogę wpuścić w cholewki, wtedy nic pod nogawki nie wlezie.

Dokąd teraz?

Droga do Świerkowego prowadziła na północ, a to znaczy, że powinienem zwrócić się do słońca prawym ramieniem.

Ostre doznanie, że ktoś na mnie patrzy ukłuło mnie dosłownie w plecy, drgnąłem, jakby mnie ktoś rzeczywiście żgnął. Odwróciłem się - nikogo. Mgła wprawdzie zaczęła się rozwiewać, ale i tak nie było widać dalej niż na czterdzieści metrów.

Przeżegnałem się, wszedłem do wody i przytrzymując zwisający z ramienia karabin lewą ręką, zacząłem badać dno przed sobą za pomocą przygotowanego wcześniej kija. Miałem głębokie przeświadczenie, że do końca rozlewisk zostało już niewiele. I chociaż w życiu nikt mi nie zaproponuje biegów na orientację, tym razem byłem przekonany, że się nie mylę.

Chlupotanie w rytm stawianych kroków działało mi na nerwy, więc co minutę

zamierałem, wsłuchując się w panującą ciszę. Niekiedy rozlegało się głucho bulgotanie idących z dna pęcherzy, ale najczęściej słyszałem własny świszczący oddech. Jeden jedyny raz w dali pojawiła się i znikła we mgle sylwetka jakiegoś wielkiego ptaka podchodzącego do lądowania. Potem o mało nie wpadłem w głębinę, ale jakoś zdołałem uniknąć niebezpieczeństwa. Nie wiem, czy stało się to za sprawą mojego szczęścia, czy do brzegu rzeczywiście został naprawdę tylko kawałek, ale rozlewisk było coraz mniej, a w miejsce chwiejnych kęp zaczęła się pojawiać twarda ziemia. Starając się obchodzić gąszcze trzciny, z uporem parłem na północ.

Dziwny rytmiczny plusk, który przywodził na myśl uderzenia wiosła, zmusił mnie do zwiększenia czujności. Zamarłem. Długi cień czółna wyłonił się na chwilę z mgły, żeby natychmiast zniknąć. Co to było? Złudzenie? Cholernie realne jak na złudzenie. Szarpnąłem się, poszedłem dalej.

Na bagiennego wilkołaka trafiłem tuż przy suchym brzegu, gdzie z wody sterczały porośnięte mchem wieżyce drzew. Niektóre z nich jeszcze walczyły o życie, a na ich nędznym listowiu rozrósł się pajęczyna liszaj, zaś nici palącej rosanki frędzlami zwieszały się z gałęzi. Słońce podniosło się już dość wysoko, mgła zeszała, ścieliła się tylko nad samą wodą. Właśnie tam, w cieniu drzew przyczaił się stwór. Stałem jak wryty, na chwilę nawet przestałem oddychać.

Diabli! A właśnie zacząłem się cieszyć, że dałem radę przejść przez bagna bez przygód. Zapomniałem, że w moim przypadku coś takiego jest po prostu wykluczone. Odetchnąłem, otarłem pot z twarzy. W tym momencie wilkołak, jakby sprowokowany ruchem, rozdymając nozdrza i wężąc, powoli zaczął obracać łeb w moją stronę. Łapy z długimi pazurami zerwały z drzewa kilka gałązek. Na razie potwór jeszcze mnie nie zauważył, ale było to tylko kwestią czasu. Nie miałem szans wycofać się. Może bagienne wilkołaki mają kiepski wzrok, ale węchu i słuchu natura im nie poskąpiła.

Starłem się poruszać możliwie najbardziej płynnie i bezszelestnie, kiedy podnosiłem karabin do oka. Od stwora dzieliło mnie pięćdziesiąt metrów - niewielki dystans, nawet jeśli wziąć pod uwagę moją celność. Najważniejsze, to położyć zwierza pierwszym strzałem. Te stworzenia są niezwykle odporne i poruszają się tak szybko, że na drugą szansę nie ma co liczyć. Trzeba trafić w czerep. A czaszkę mają te dranie, że ho-ho! Jedna kość. Wrażliwe są tylko oczy, paszcza i uszy.

Ująłem głowę wilkołaka w skrzyżowanie lunety, zacząłem wypatrywać odpowiedniego miejsca do strzału. Możliwości miałem niewiele: głowę zamknął, stał bokiem, więc uszu wśród różnych narośli nie dało się odróżnić. Pozostawały tylko oczy. Ręce mi się trzęsły, po plecach

spływał strumień gorącego potu, celownik latał na wszystkie strony. No co? Strzelaj...

Potwór wysunął się na otwartą przestrzeń, spojrzął w słońce, warknął niezadowolony i zniknął w cieniu drzew. Czyżby uciekł? Niemożliwe! Znow się udało...

Nie tracąc czasu, pobrnąłem przed siebie i błoto szybko zostało z tyłu. Zamigotały białe pnie brzoź, a sitowie zamieniło się w zwykłą trawę. Powietrze stało się świeższe, zniknęła błotna ciężka woń. A może tak mi się tylko zdawało?

Odszedłem dalej, wyjąłem nóż i zdrapałem pijawki z butów. Jak pod spodniami? Nie wyniosłem z bagien pasażerów na gapę? Wyglądało na to, że nie. Dobra, zrobię potem postój, obejrzę dokładniej. Wtedy też buty doczyszczę i wysuszę.

Wszedłem na niewielki pagórek, z którego mogłem lepiej się rozejrzeć. Mgła zniknęła bez śladu. Rozlewiska mnie już nie interesowały, całą uwagę skupiłem na sosnowym borze. Dałbym sobie uciąć rękę, że zaraz za nim znajduje się droga na Świerkowe. Między mną a drzewami rozciągała się zarosła wysoką trawą łąka, na której to tu, to tam rosły brzoźki o wykrzywionych pniach. A oto i dróżka! Jestem uratowany! Witaj, cywilizacjo!

W butach chlupotała woda, ale starałem się nie zwracać na to uwagi. Znow poczułem na sobie czyjeś spojrzenie, jednakże przypisałem nieprzyjemne doznanie rozstrojonym nerwom. Zarzuciłem karabin na ramię i zszedłem ze wzgórza. Kiedy szedłem w stronę wydeptanej dróżki cudem tylko udało mi się nie rozchlastać butów i spodni o zbyt późno dostrzeżone błękitnawo-zielone liście turzycy. Co tam zresztą buty. Nogę do kości potrafi taka gadzina załatwić. Na rozmytej przez deszcze dróżce nie znalazłem świeżych śladów, patrząc uważnie pod nogi ruszyłem w stronę sosen. Na wszelki wypadek obejrzałem drzewa magicznym okiem - wszystko było w porządku. Z trudem powstrzymałem się, żeby nie zacząć gwizdać pod nosem.

Na razie wszystko układało się po prostu wspaniale.

Dzisiaj powinienem dojść do Świerkowego, gdzie zapewne przenocuję w jakichś w miarę ludzkich warunkach i najem się do syta. A potem ruszę w stronę Granicy z Mglistym i...

W tym miejscu przestałem snuć plany. Dotrę, gdzie trzeba, tam dopiero okaże się, co robić. Ludzie planują, planują i co z tego wychodzi? Pojawia się skądś dziwna mgła, ozywają trupy i wszystkie plany biorą w łeb. Ciekawe, czy moi towarzysze zdołali się wczoraj uratować? Miałem nadzieję, że tak.

Sosny rosły bardzo gęsto, ale widać było za nimi jasne plamy pola i nieba. A to znaczyło, że prawie doszedłem, a droga przez las nie zajmie dużo czasu. Powietrze stało się bardziej rześkie, poczułem się lepiej i zaryzykowałem nawet zerwanie garści karmazynowych kocich łez. Okazały się niedojrzałe i kwaśne, ale tak mi kiszki marsza grały, że nie pogardziłem

nawet takimi owocami. Wprawdzie zaspokoilem trochę głód, ale miałem za to wrażenie, że mam w żołądku czysty kwas siarkowy. Żeby mnie tylko teraz nie pogoniło.

Kątem oka zauważyłem białą plamę. Odwróciłem się w tamtą stronę i przez chwilę nie mogłem uwierzyć własnym oczom - pośród drzew, jakby czekając na mnie, stał biały człowiek. Nie biały w tym sensie, że mojej rasy, ale po prostu i zwyczajnie biały. Miał na sobie białe ubranie. Białą twarz bez kropli krwi pod skórą. Białe - właśnie białe, a nie siwe - brwi. Tylko na dnie jego oczu przyczał się błękit.

A cóż to za cudak odbarwiony? Nie wiadomo nawet chłop czy baba. Oblicze, wąskie i twarde, wyglądało niczym wyciosane z marmuru, a przy tym było w tej chwili dziwnie bezpłciowe.

Nagle moją uwagę zwróciły pokrywające się szronem trawa i liście w pobliżu tego człowieka. Powoli zsunąłem z ramienia karabin... Powoli... Zbyt powoli... Szalony korowód letniej zawiei porwał mnie, z rozmachem rzucił w ciemne odmęty zamroczenia.

Szlag jasny! Niech to cholera! Takiego potwornego zimna nie czułem od czasu, kiedy mnie opanowała zimna febra. Na dobitkę do palącego mrozu dołączyła się lodowata dłoń cudzej woli, ścisnęła skronie, zdławiła, skrzyła i pociągnęła na samo dno podświadomości. Mrozące dotknięcia obcego rozumu gniotły moją osobowość, sprowadzały depresję. Dosłownie wysysały wspomnienia i zupełnie, tak jak mokra gąbka ściera szkolną tablicę, wymazywały emocje wraz z pragnieniami. Ażeby ostatecznie złamać wolę, proponowały gdzieś na skraju pulsującej jaźni zamianę realnej, twardej i bolesnej rzeczywistości na jedwabną pościel zapomnienia. Zacząłem się poddawać. W zasadzie już się prawie poddałem. Jeszcze tylko troszeczkę...

Nie lubię zimna. To już trzy lata, jak go nie cierpię.

I kiedy ściągnęło mnie już na samo dno oceanu zimna, zacząłem walczyć. Wdech - mimo bólu, wydech na siłę. Każde uderzenie serca przebijało pierś ognistym kolcem. Ciało stawiało opór, mimo iż świadomość poddała się już napastnikowi.

Zupełnie nie mogłem uwierzyć w odniesione nagle zwycięstwo. Po prostu w pewnym momencie rozdzierające mnie ciemność i mróz zawyły, zupełnie jak stado gończych psów podejmujących trop, a utrzymująca się równowaga koszmaru prysła. Witaj, lato...

Otworzyłem oczy i zobaczyłem białego człowieka, który nadal stał, patrząc na mnie. W jego białych oczach migotały błękitne iskry, a gałęzie drzew wraz z ziemią wokół nas srebrzyły się szronem. Rozkaszałem się, zacząłem odpełzać od groźnego przeciwnika. Zamrożone nogawki skrzypiały, nie chciały się zginać.

- Nie bój się, człowieku. - Równy, pozbawiony emocji głos rozległ się wprost w mojej

głowie, wąskie wargi białego nawet nie drgnęły. Dla potwierdzenia swoich słów uczynił krok do tyłu. Z miejsca zrobiło się cieplej. - Nic ci nie grozi.

- Czego chcecie? - wybełkotałem, wstrząsany dreszczami. Mogłem się pożegnać z myślą o ucieczce, bo nogi i ręce całkiem odmawiały posłuszeństwa.

- Jestem trzecim Opiekunem Wiedzy, a to znaczy, że celem moich poszukiwań jest wiedza właśnie. W każdym słowie rozbrzmiewającego w głowie głosu brzmiały nieludzkie tony. - Przepraszam, człowieku, za niewygody, których ci przysporzyłem, ale inaczej nie dałoby się pokonać barier językowych.

- Aaaha - powiedziałem na wszelki wypadek, choć nie wierzyłem w ani jedno jego słowo. Barier językowych? Przecież mnie o mało nie wywróciło na nice. Dosłownie.

Szuka wiedzy? Mam go wysłać do biblioteki, czy jak?

Ślady, jakie za sobą zostawił, wyglądały dokładnie tak samo jak te zmrożone odciski na ziemi dostrzeżone przez Olega w Rudnym, tuż przed napaścią lodowych golemów. Postanowiłem udawać kompletnego idiotę. Może da się nabrać...

- Doszliśmy do wniosku, że powinniśmy z tobą porozmawiać o wielu rzeczach, ale na początek... - Opiekun zdjął rękawiczkę, wyciągnął ku mnie chudą dłoń o kościstych palcach. - Bardzo nierozsądnie nosić przy sobie rzecz, która należy do Mrozu.

Nie wiem, jak odgadłem, o co mu chodzi, ale prawa ręka sama wpęzła do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjęła wyrzniętą z przezroczystego kamienia piramidkę. Dziwny amulet przefrunął wprost do dłoni białego człowieka.

- Niektóre rzeczy są zupełnie czymś innym niż się z pozoru wydają. - Długie, szczupłe palce zacisnęły się, a na ziemię poleciało krystaliczne kruszywo.

Co to za stwór w ludzkim ciele? Czyżby ten sam gość z Północy, o którym kiedyś wygadał się Pierow? Ale jeśli miałby być przywódcą błękitnookich, po co zniszczył piramidę? Kim jest, niech go diabli wezmą?

- Kim jesteście? - zebrałem się na odwagę, żeby zapytać.

Przecież mnie za to nie zje. Tak? Na pewno? Dobry żart...

- Trzecim Opiekunem Wiedzy, ale ciebie, człowieku, zapewne nie to najbardziej ciekawi. - Po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiały jakieś emocje. Gorycz? Żal? Pogarda? Już lepiej, żeby ich nie było. - Wszystkiego się dowiesz. Opowiem ci historię mojego świata i pokażę zagrożenie, jakie zawisło nad waszym. Nie bój się, nie zajmie to wiele czasu. Może jestem tylko trzecim, ale zawsze Opiekunem Wiedzy...

Usiadłem, oparłem się o sosnę. Poczułem, jak obca wola znów ostrożnie dotyka mojej świadomości. Znowu szarpnęły mną dreszcze. Obrzydliwe uczucie: jakbym wynajmował

mieszkanie, a lokatorzy mało tego, że przewrócili wszystko do góry nogami, to jeszcze nie zamierzają się wynosić. Ale o czym on gada? Jakie zagrożenie dla świata? Co za brednie?

- Nasz świat nigdy nie był tak ciepły, jak wasz zaczął Opiekun. Wokół niego zaczęły krążyć śnieżynki, połyskując w przebijających się przez korony drzew promieniach słońca. - Nas także nie niepokoiło, że zimy stają się coraz dłuższe i mroźniejsze.

Dźwięczący w głowie głos i migoczące przed oczami płatki śniegu wprowadziły mnie w dziwny, na pół hipnotyczny stan, a na rzeczywistość zaczęły nakładać się rwane obrazy nigdy niewidzianych zdarzeń.

<I> Niebo zaciągnięte czarnymi chmurami, przez które przebijają się przenikliwe promienie lazurowego słońca. Śnieg wali, tworząc prawdziwą ścianę. Od czasu do czasu niebo przecinają oślepiające błyskawice. Niskie chmury niosą mrok i zimno. Śnieg zasypuje wąskie ulice miasta. Gromy uderzają w wysokie drzewa o długich, przezroczysto niebieskich liściach. Chmury skręcają się, tworząc gigantyczną trąbę powietrzną. Niesione z szaloną szybkością śnieżynki rażą z mocą nie mniejsza niż śrut. Krótkie zygzaki energetycznych wyładowań kroją nieboskłon. I znów chmury, śnieg, błyskawice... <D>

- A pewnego koszmarne roku pojawili się słudzy Mrozu. Tak siebie nazywali. Wyśmiewano ich nauki, zakazywano ich wiary, adeptów wyganiano z miast. Nikt nie brał poważnie nowego Kościoła... Kiedy więc Mróz odpowiedział na ich zew, nie byliśmy przygotowani. Nie poddaliśmy się bez walki, ale siły okazały się zbyt nierówne...

<I> Drapieżne wichry wyrrywają drzwi i okna domów, porywy wiatru zmiatają żalosse postacie ludzi z murów obronnych, a utkane z mroku i zimna stworzenia grasują po zasypanych śniegiem ulicach w poszukiwaniu tych, którzy przeżyli. <D>

- Kiedy mędrzy zrozumieli, że ani nasi żołnierze, ani wiedza nie mogą nic poradzić przeciwko armii Mrozu, było już za późno. Wtedy mój naród zaczął zmieniać siebie i swoje sługi. Uczyniliśmy się prawie nieczuli na zimno, ale to nie wystarczyło.

<I> Nad śnieżną pustką, na której wrze zacięta bitwa, zawisa gigantyczna lodowa piramida, a wylewająca się z niej gęsta mgła spowija całe pole walki, okrywając je nieprawdopodobnie zimnym całunem. Śnieżni Ludzie całymi setkami zamieniają się w zamrożone rzeźby, a bardziej odporne na zimno, ale nieliczne wampiry, zmiata szereg Śnieżnych Lordów. Wysłane do boju lodowe golemy grzęzną w nieprzelicznym tłumie zamrożonych ciał, nie są w stanie zmienić losów batalii. <D>

Co?! Wampiry i Śnieżni Ludzie mieliby występować przeciwko Mrozowi? Jak to możliwe?

- Uciekaliśmy się do różnych forteli, ale wszystko, co potrafiliśmy zdziałać, to ochrona

kilku prowincji. Ich oblężenie trwa do tej pory i z każdym rokiem odpieranie szturmów staje się coraz trudniejsze.

<I> W promieniach lazurowego słońca pokryte lodem ściany mienia się błękitem. Golemy zamarły na swoich posterunkach, ale kłębiąca się w oddali mgła najwyraźniej na coś oczekuje. Szturm odwleka się... <D>

Słowa Opiekuna Wiedzy wbijały się w duszę zatrutymi igłami, wypełniały ją goryczą i beznadzieją. Czy będziemy w stanie oprzeć się siłom Mrozu, skoro nie udało się to narodowi tej istoty? Trzeba coś zrobić, trzeba... Myśli plątały się tak, że wkrótce nie byłem już pewien, które należą do mnie, a które wywołała obca magia.

- Nadzieja pojawiła się, kiedy jeden z mędrców - pierwszy Opiekun Wiedzy - odkrył sposób stworzenia portali do innych światów. To był ratunek - realna możliwość znalezienia nowego domu. Ale było to także wygnanie - musielibyśmy porzucić na zawsze ojczysty świat. Była to też droga donikąd - prędzej czy później Mróz znalazłby przejście i polazł za nami. Wtedy pierwszy Opiekun Wiedzy zaproponował, aby połączyć dwa światy - nasz i taki, w którym istnieje nadwyżka ciepła. Jednak pierwsza próba zakończyła się niepowodzeniem, a wyrwane z naszej przestrzeni kawałki zawisły w międzyświecie. I chociaż z początku otrzymaliśmy trochę ciepła, nie wystarczyło go na długo.

<I> Zbudowane z czarnych kamiennych bloków ściany nie są już pokryte lodem, a wokół twierdzy faluje na wietrze wysoka, granatowa trawa. Ale Mróz nie rezygnuje: mgła odstąpiła ledwie o kilkadziesiąt kilometrów. <D>

- Wkrótce znaleźliśmy sposób, żeby nie dopuścić do kruszenia się światów. Kanał między przestrzeniami powinien otwierać się jednocześnie z obu stron, co z kolei powoduje, że ma mniejszą przepustowość. Mędrcy postanowili przebić najpierw cztery niezależne kanały, a pierwszy Opiekun Wiedzy podjął się dokończyć rytuał, wykorzystując już przeciągnięte do międzyświata przestrzenie. Przygotował pięć kluczy...

Po skórze przebiegły mi mrówki, znów miałem widzenie.

<I> Klucze... Ciemnogramatowe ostrza z zielonym wzorem i szarozielonymi rękojeściami. Bardzo znajome klucze... Klucze-noże... jednym z nich nie tak dawno podrzynałem gardła, jeszcze nie zapomniałem jego zimnego ciężaru w ręce. Noże... <D>

- Dlaczego właśnie noże? - przerwałem Opiekunowi po raz pierwszy, odkąd zaczął snuć opowieść.

- Ani jeden z mędrców nie posiadał dostatecznej mocy, aby pomyślnie zakończyć rytuał, a pierwszy Opiekun Wiedzy nie był w stanie powrócić po przeprowadzonej w pojedynkę próbie. Tylko ich cała życiowa siła mogła utrwalić utworzone kanały. Tak powiedział

pierwszy Opiekun, a posiadał w tym względzie o wiele większą wiedzę niż którykolwiek z mędrców. Wtedy czterech wybranych przeszło do waszego świata, aby dopełnić rytuału...

Co to znaczy „ich cała życiowa siła”? Czy to miało oznaczać rytualne samobójstwo? Wesoło. I oczywiście, coś poszło nie tak. Nie wydaje mi się, żeby obrzęd, który wyrwał z naszego świata Fort, Siewieroreczeńsk, Mgliste i Miasto można było nazwać utworzeniem normalnych kanałów.

- Teraz nikt już nie potrafi powiedzieć, na jakim etapie popełniono omyłkę - potwierdził moje podejrzenia rozmówca. - Kanały w każdym razie były gotowe, tyle że tak jak i przy pierwszej próbie, do międzyświata wciągnęło część przestrzeni. Waszej przestrzeni. Z początku nie budziło to niepokoju mędrców - dopływ ciepła pozwolił wzmocnić nasze pozycje, ale teraz w jakiś sposób dał radę przeniknąć tutaj także Mróz. W tej chwili nie wystarcza mu energii docierającej z naszego świata, ale wystarczy, aby jego słudzy zawładnęli kluczami, żeby odciąć nas od ciepła, a jednocześnie otworzyć drogę prosto do was. Musimy ich powstrzymać.

- Jak? Przecież wojujecie z Mrozem od tylu lat i nie potraficie go zwalczyć!

- Tutaj Mróz jest słaby. Za ciepło, za mało energii, tym bardziej że teraz panuje lato, więc przepuszczalność kanałów jest minimalna.

- Słaby? Przecież wystarczy jednej piramidy, żeby zrównać Fort z ziemią!

- Przerzucili tutaj cytadelę? - Wzrok trzeciego Opiekuna Wiedzy sprawił, że po plecach przeszły mi ciarki. - To jeszcze nic nie znaczy. Muszą tracić mnóstwo mocy do podtrzymania pól ochronnych. Dopóki Mróz nie dobierze się do kluczy, które pozwalają regulować przepustowość kanałów, dopóty możliwości jego sług po tej stronie są bardzo ograniczone.

- A czy ten wasz pierwszy Opiekun nie może tak po prostu odłączyć Przygranicza? A potem znów podjąć próbę?

I koniecznie tym razem z jakimś innym światem, dodałem w duchu.

- Pierwszy Opiekun Wiedzy mógłby to rzeczywiście zrobić. Lecz doprowadził rytuał do końca.

Źle się stało. Jedyne wujaszek, który cokolwiek rozumiał z tego całego bajzlu, popełnił harakiri. Namieszał, niestety. Żeby choć uczniów jakichś przysposobił, a wygląda na to, że ci wszyscy drudzy i trzeci opiekunowie w tej sprawie ani rączką, ani nóżką.

- W naszym posiadaniu jest klucz pierwszego Opiekuna Wiedzy, ale on stanowi tylko łączące ogniwo między pozostałymi. A jeżeli te cztery klucze wpadną - w ręce wroga... - Biały podszedł do mnie, tknął palcem w pierś. Skóra kurtki zaskrzypiała i popękała. - W twojej energii można dostrzec ślad jednego z nich. Gdzie jest?

- Nie wiem - wykrztusiłem i odwróciłem wzrok od wypełniających się ciężkim błękitem oczu Opiekuna.

- Możemy to łatwo odgadnąć, jeśli przestaniesz się opierać. - Od białej postaci powiało nieznośnym chłodem.

- Dobrze - zaszczekałem zębami. Tak jakbym miał jakiś wybór!

Lodowa dłoń oparła się o moje czoło i od tego dotknięcia świadomość przebiły palące zimnem igły obcej woli.

„GDZIE? POKAŻ!”

Moja dusza opuściła ciało, zaczęła się unosić. W tym majaczeniu zdążyłem dostrzec siebie samego i nieruchomą postać trzeciego Opiekuna Wiedzy, ale zaraz coś mnie ściągnęło z powrotem. Świadomość skrzyły konwulsje, z zaciśniętych warg wyrwał się jęk. Po utracie czucia lekkości, poczułem gorzyc i smutek.

- Twój związek z kluczem jest zbyt słaby - oznajmił spokojnie Opiekun. - Właściwego miejsca nie udało się znaleźć, ale za to wyznaczyłem kierunek. Teraz już chyba czujesz, gdzie jest ten przedmiot?

- Tak - odparłem, zanim zdążyłem się zorientować, że w ogóle coś mówię. Ale rzeczywiście tak było. Zupełnie jakby zarzucony na duszę arkan ciągnął mnie gdzieś na wschód. Czułem już kiedyś coś podobnego. Tylko, kiedy?

- Odnajdziesz klucz, zanim to zrobią słudzy Mrozu. - Ton Opiekuna nie pozostawiał wątpliwości, że tak się stanie w istocie.

- Dobrze - nie spierałem się z nim, dla siebie pozostawiając rozsądne, lecz cyniczne myśli o małym prawdopodobieństwie takiego rozwoju wypadków.

Jeśli Mróz dobierze się do noży, to kaplica dla wszystkich. Jeżeli dam radę mu przeszkodzić, będzie ze mną krucho. W towarzystwie rażniej umierać... A może nie? Czy to mój dług, mój chrzest, czarne kulki w woreczku mojej karmy? Czy mogę porzucić wszystko i uciec do normalnego świata? Uciec, wiedząc, że w pewnym momencie słudzy Mrozu pojawią się i tam? A to właśnie ja, ja sam, miałem możliwość ich powstrzymać. Trzeba o tym pomyśleć, zanim nie będzie już dokąd uciec.

I co to oznacza? Mam być zbawicielem świata? Mogłem już teraz nie mieć najmniejszych wątpliwości, że Kris służył Mrozowi. Co za podlec! Dobra, wtedy trochę źle się czułem, ale teraz po jaką cholere miałbym leżeć w paszczę lwa? Ech, żeby to jeszcze z własnej woli... Żyjesz sobie, człowieku, niby wszystko jest zwyczajne, normalne... Ani nie jesteś czarny, ani biały. Po prostu żyjesz, nie zawadzasz nikomu. A tu nagle - bęc w łeb! Wybieraj, miły, kim jesteś i z kim trzymasz. Jasne, że pytanie „Czy mam prawo być drżącą ze strachu kreaturą?”

nabiera nowego wymiaru, kiedy chcą, żebyś zaryzykował własnym życiem w imię ratowania świata...

Zaraz, zaraz. Nikt mi przecież niczego nie proponował. Pobawił się ze mną jak z kotkiem i postawił w takiej sytuacji. Ale kociak ma łatwiej: napaskudzi, to dostanie po uszach, jeśli jest czysty, nikt się nie czepia. A mnie to wszystko za co? Osobiście ten nóż wytaszczyłem na świat boży? Nie. Gdyby mnie poprosili - znajdź, człowieku, ten nożyk z dobrej woli - odmówić bym nie mógł. Ale tak? Chociaż, z drugiej strony, co by to zmieniło? Czy wystarczy po prostu wycofać się, kiedy gra idzie o taką stawkę? Wystarczy?

- Pójdziecie ze mną? - spytałem.

- Nie. Słudzy Mrozu zbyt łatwo potrafią śledzić moje ruchy. Ale będziesz miał towarzysza. Spotkasz go po drodze.

- A mnie Mróz nie znajdzie? Parę razy mu się udało.

- Nie ciebie odnajdywali, ale amulet. Tę piramidkę.

- A do czego ona służyła? - Nie mogłem powstrzymać ciekawości. Zacząłem niespiesznie zbierać się z ziemi.

- Pozwalała Mrozowi chronić sługi przed magią kluczy. - Opiekun nie okazał rozdrażnienia, ale miałem wrażenie, że zaczyna się irytować. - A jednocześnie ich obserwować.

- A jak wyście mnie znaleźli?

- Posiadasz znamię. Pewne piętno. - Zszedł z dróżki i natychmiast zniknął mi z oczu.

Piętno? O czym on mówił? Czyżby niezbyt długotrwały w sumie kontakt z nożem - dla mnie zawsze będzie to nóż, a nie klucz - tak bardzo odcisnął się na mojej aurze?

A może, skoro Opiekun gdzieś przepadł, brać nogi za pas? Kuszący pomysł, lecz byłem pewien, iż biały tak łatwo się nie podda. Ależ wybór! Na jednej szali znajduje się moje bezpieczeństwo, na drugiej czyste sumienie i losy świata. Co przeważy? Kretyńskie pytanie.

A w ogóle wcale nie wiadomo, czy Opiekun nie nawcisnął mi ciemnoty. Chociaż w głębi duszy czułem, że wszystko jest prawdą. Tak po prostu. Dlaczego? Przecież mógł opowiedzieć śliczną bajeczkę w rodzaju tych, którymi częstują Niosący Światłość. Tam wszystko jest proste i jednoznaczne: walka światła z ciemnością w najczystszej postaci. A jak jest naprawdę? Dlaczego problemy innego świata idą na nasz rachunek? Na mój rachunek?

Ach, wreszcie znalazłem temat do rozmyślań. Do cats eat bats? Oto jest najważniejsze pytanie. A reszta to drobiazgi. Zdecyduję, co robić, w drodze. I tak przecież wybierałem się na wschód ku Granicy z Mglistym. Wszystko jedno, czy faktycznie spotkam pomocnika. W razie czego bez trudu się go pozbędę.

Ruszyłem ścieżką przez las. Nie było tutaj ani ptaków, ani innych zwierząt. Wszystkie gdzieś się pochowały. Takie miałem wrażenie. Ale wdepnąłem! Tyle razy Bóg litował się nade mną, a jednak wreszcie wdepnąłem. Cóż, nosił wilk razy kilka... I chociaż w porównaniu ze Śnieżnymi Ludźmi taki Opiekun Wiedzy to cudowny brat łąta, lżej mi się od tego nie uczyniło. Tylko niepoprawny optymista potrafi we wszystkim doszukać się pozytywnych stron.

Wycucie kierunku nie zawiodło i ścieżka rzeczywiście niebawem wyprowadziła mnie na drogę do Świerkowego. Pole, które zaczynało się jakieś sto metrów od pobocza, zostało zasiane oziminą. W oddali dawała się zauważyć pojedyncza smużka dymu, wyjątkowo ostro odcinająca się od bezchmurnego nieba. W powietrzu panował zupełny bezruch. Na otwartej przestrzeni zrobiło się gorąco, nie to, co w cieniu drzew. I dobrze. Nie zaszkodzi mi teraz trochę się rozgrzać po tym, jak mnie Opiekun zamroził.

Na leżącym tuż przy drodze płaskim kamieniu, plecami do mnie siedziała kobieta w zakurzonym płaszczu. Kaptur miała odrzucony, włosy czarne z nitkami siwizny zaplotła w długi, gruby warkocz. Obok kamienia leżała podniszczona sakwa.

Poza kobietą nie widziałem nikogo. Dziwne, samotne panie na drodze nigdy nie były zbyt częstym zjawiskiem. Może gdzieś niedaleko jest wieś? Nie, Opiekun mówił wyraźnie o towarzyszu.

Zatrzymałem się obok siedzącej, ale w żaden sposób nie zareagowała. Głucha?

- Długo czekacie? - zapytałem.

- Długo. - Miała dziwny głos z jakimś takim przyświstem. A może to był tylko skrzypiący akcent? Podniosła się niespiesznie, odwróciła w moją stronę. Bardzo długo.

Była niczego sobie. Chociaż wieku nie dało się tak od razu określić, mogłem tylko zgadnąć, że nie jest już taka młoda. Bardzo nawet atrakcyjna. Nienaganną doskonałość linii twarzy zaburzał jedynie ledwie zauważalny ślad starego oparzenia na lewej kości policzkowej. A oczy zielone... Kurnaż mać!

Ledwie tylko zacząłem robić krok w tył i zdejmować z ramienia broń, kobieta już była przy mnie, uderzyła mnie lekko dłonią w czoło. Ziemia i niebo momentalnie zamieniły się miejscami, przetoczyłem się przez głowę i rozłożyłem na trawie. Nie mogłem poruszyć nogami ani rękami, a serce i płuca pracowały w szalonym tempie. Przez pewien czas nie mogłem dojść do siebie, zgadywałem tylko po wstrząsach, że jestem dokądś wleczony. Co zresztą znaczy „dokądś”? Zwyczajnie - do lasu. Też znalazł mi Opiekun Wiedzy towarzysza. Albo to ona znalazła mnie dla mieszkańca Północy?

Wszelkie usiłowania, żeby zrzucić odretwienie zdały się na nic. Członki wciąż

pozostawały nieruchome. Przed oczami miałem mgłę, nie mogłem niczego dostrzec. Na koniec zostałem oparty jak wór o pień sosny i zostawiony w spokoju. Szkoda, że nie na długo...

Praktycznie od razu ból odezwał się w lewym policzku. Otworzyłem oczy i zobaczyłem jak istota, którą wziąłem za kobietę, zlizuje z paznokci krople krwi. Suka...

- Jak mogłeś mieć nadzieję, że unikniesz kary, człowieku? - Źrenice królowej wampirów wyciągnęły się w pionowe szczeliny. - Ty, przynoszący śmierć i zabijający nadzieję?

- Z kimś mnie pomyliliście, cioteczko. - Nie mając innego wyjścia, zacząłem pokazywać zęby. Nie znajdziecie na moim koncie nadziei. Podobnie jak i Wia...

- Krew dzieci Zawiei została przelana. - Długie paznokcie - nie, nie paznokcie, ale pazury - przebiły rękaw kurtki, zmuszając mnie do milczenia. - Krew Zawiei żąda pomsty, dzieci Zawiei pożrą twoją duszę.

Aha, a moje serce wypełni popiół Belzebuba. Po co ten cały bałagan? Czyżby Opiekun Wiedzy nie wiedział, kogo podsunął mi na współnika? Idiota...

Po nadgarstku pociekła cieniutka strużka krwi, zaczęło mi się wydawać, że razem z nią spływa także czar odrętwienia. Odzyskiwałem już czucie w prawej dłoni. Jeszcze trochę, a stanę o własnych siłach. Tylko, co mi to da? Jak niby mam się rozprawić z wampirem? Czy wstanę, czy będę leżał jak skóra z diabła, wszystko jedno: szans na przeżycie żadnych.

Gdzie Opiekun? Gdzie ta swołocz?

- Krew za krew, śmierć za śmierć. - Wymawiane śpiewnie syczącym głosem słowa przebiegły lodowatymi mrówkami wzdłuż kręgosłupa. A przecież nie wypowiedziała tego po rosyjsku! Dlaczego wszystko rozumiałem? - Księżę Zawiei, Panie Szafirowych Pałaców, przyjmij tę ofiarę, która swoją krwią zmyje z dzieci twych przekleństwo przedwczesnej śmierci. Ja, jedyna z rodu, wzywam cię!

- Bardzo chwalebna wierność tradycji. - Cichy głos zimną falą zmył gorączkowe wzburzenie wampirzycy. - Jednak, Iloro, złożyłaś przecież inną przysięgę Przysięgę krwi i życia.

- Nasze porozumienie... - syczenie królowej wampirów uderzyło w uszy.

- ... uległo drobnej zmianie - oświadczył Opiekun beznamiętnym głosem. - Nie wolno ci go tknąć.

Wampirzyca bez słowa odwróciła się i zniknęła wśród drzew. A to niespodzianka! To naprawdę ma być mój towarzysz? Dożyję w takim razie końca poszukiwań? Bardzo wątpię. A jeśli nawet dożyję, co potem?

- Nie obawiaj się, człowieku. Dzieci Zawiei mają swoje pojęcie o honorze, ale słowa

dotrzymują. Śnieżnobiała dłoń dotknęła mojego policzka i zadrapanie natychmiast przestało dolegać.

- Kim są te dzieci Zawiei? - Już zrozumiałem, że chodzi o wampiry, ale chciałem się o nich czegoś więcej dowiedzieć.

- To nasi słudzy. Nadzorują bezrozumne stworzenia, których zdziczałych pobratymców nazywacie Śnieżnymi Ludźmi.

- Nie boją się słońca? Przecież nie możemy iść nocami!

- Wasze słońce jest dla nich rzeczywiście niebezpieczne, ale Ilora... Ilora to ktoś o specjalnym statusie.

Od Opiekuna Wiedzy powiało takim zimnem, że podniosłem się, zebrałem porzrzucone dookoła rzeczy i odszedłem od niego na parę metrów. Cholera, policzek miałem zamrożony zupełnie jak po znieczuleniu.

- Idź. - Biały człowiek nic więcej nie powiedział, ale też i nie musiał: pragnienie odejścia stąd jak najdalej nie opuszczało mnie ani na chwilę.

Wyszedłem z lasu i mrużąc oczy od jasnego słonecznego światła, zacząłem wypatrywać wampirzycy. Ależ daleko już odeszła. Dobrze chociaż, że zatrzymała się, aby poczekać. Dobrze? O czym ja gadam? Lepiej, żeby w ogóle zniknęła!

Uf, strasznie gorąco. Z miejsca cały się spociłem.

Idąc, włożyłem palec w dziurę, którą w kurtce wypalił mi mrozem Opiekun, podrapałem swędzącą skórę.

- Ej, koleżanko! Co będziemy robić?

Stojąca dotąd spokojnie wampirzyca wyszczerzyła się - spod warg ukazały się długie kły - i skoczyła na mnie. A dokładniej, ku mnie. Jeszcze w locie skręciło ją tak, że rozciągnęła się płasko na drodze. Postanowiłem nie zmarnować okazji, ściągnąłem z ramienia karabin, wcale nie pamiętając o zupełnej nieefektywności zwyczajnych pocisków przeciw takiemu stworowi. Zanim jednak palec dotknął spustu, poczułem, że mam zamrożoną całą rękę. Chwilę później ból zmaćił świadomość, padłem na ziemię obok zaczynającej dochodzić do siebie Ilory,

Poleżeliśmy tak z pięć minut, wstaliśmy i zaczęliśmy doprowadzać się do porządku. Oczywiście, w milczeniu. Niby o czym miałem z nią rozmawiać? Co, żal ci, że wytłukłem kupę twoich krewnych? A mnie nie. I dobrze że o tym wiesz. A tak przy okazji, czyżbyśmy ich wtedy wszystkich zarżnęli? Niemożliwe. Ale to w sumie nieważne. Istotne jest, żebyśmy teraz jakoś się ze sobą ułożyli. Krzywdy sobie nawzajem - podziękować Opiekunowi Wiedzy, żeby go sczyściło - wyrządzić nie możemy, ale trzeba jakoś przebyć wspólnie tę drogę. Nasze losy zostały złączone, zupełnie jakbyśmy zostali skuci jednym łańcuchem. I zanim zdołamy

odnaleźć ten przeklęty klucz, musimy jakoś się dogadywać.

- Dokąd idziemy? - Wampirzyca pierwsza przerwała milczenie. Spojrzała na mnie z nienawiścią, naciągnęła kaptur.

- Tam! - Nieoczekiwanie dla samego siebie wskazałem na wschód, a Ilorą natychmiast podążyła w tamtym kierunku.

Dogoniłem ją, szedłem nieco z tyłu. Droga ominęła głęboki jar, odeszła w bok, a wtedy ogarnęło mnie poczucie, że nóż znajduje się z nieco innej strony. O żeż ty! Zyskałem wewnętrzny kompas! Przynajmniej jedna mała radość w życiu. Tak, teraz skręciliśmy z powrotem. Prawidłowo. Niewidzialna strzałka magicznej busoli znów drgnęła, ustawiła się na właściwym kierunku. Mógłbym odnaleźć klucz nawet z zamkniętymi oczami. Jednego tylko nie mogłem pojąć: jak nóż mógł się znaleźć tak daleko na wschód od Fortu? Tym bardziej, że w zasadzie powinien zostać z niego tylko kurz i popiół! W ogóle nic nie rozumiałem w tym całym cyrku. Czyżby ktoś wywlóknął artefakt aż tam? Ale kto?

Czerwcowe słońce przypiekało porządnie, rozpiąłem więc kurtkę. Ciekawe, ile zajmie nam droga? Można by, oczywiście, chodzić z miejsca na miejsce, wyznaczyć azymut i określić dystans, ale jakoś nie miałem nastroju zajmować się takimi pierdołami. I bez tego mogłem z całą pewnością powiedzieć, że droga jest daleka. Intuicja mi tak podpowiadała, niech ją chudy byk popieści.

Dotknąłem podrapanego policzka - Opiekun postarał się naprawdę i ślady paznokci znikły, ale miałem wrażenie, że skóra w tym miejscu została odmrożona. Spojrzałem nieprzyjaźnie na wampirzycę. Kołek by tak osinowy...

Ilorą obejrzała się, jakby poczuła mój wzrok i od widoku jej źrenic, które znów stały się pionowe, zamarło we mnie serce. Co jeszcze? Po plecach powiało chłodem, rozległ się dźwięczny świergot. Odwróciłem się, a to, co zobaczyłem, sprawiło, że wstrzymałem oddech. W powietrzu zawisła piramida, świecąc lodowymi krawędziami, powoli przesliznęła się nad lasem. Drzewa, które dostały się w jej cień, natychmiast przemarzały i wybuchały, siejąc niezliczoną ilością odłamków. Kiedy z boru prawie nic nie zostało, lodowe kruszywo okryła mgła. W tej samej chwili po piramidzie od dołu w górę pobiegły bładniebieskie fale i rozplynęła się w powietrzu.

- Chodźmy już wreszcie! - Pierwszy otrząsałem się i pociągnąłem Ilorę za rękaw. Mogłem zrozumieć jej osłupienie: ja tylko w wizjach zesłanych przez Opiekuna miałem okazję zobaczyć bojową cytadelę Mrozu w akcji, a i tak mało nie narobiłem w gacie.

Ilorą szarpnęła się, wyrwała mi rękaw, zaczęła iść ostentacyjnie wolno. Głupia! Wsadziła sobie dumę w jedno ciekawe miejsce i chodu, chodu! Chociaż może i miała rację.

Jeśli Opiekun Wiedzy nie mylił się, Mróz nie był teraz w stanie mnie odnaleźć. A jeśli się pomylił, czy będziemy iść czy pełznąć, czeka nas tylko jedno. Można się nie spieszyć.

Bo i dokąd? Co mnie dobrego czeka na ostatnim przystanku? Może nie potrafię odgadnąć myśli po wyrazie twarzy, ale też całkiem durny nie jestem. Ilorą patrzyła na mnie jak na skazańca. A moratorium na karę śmierci nie będzie trwało wiecznie. Mówiła coś o porozumieniu z Opiekunem. Ciekawe, czego też ono dotyczyło? Czy przypadkiem nie mojej głowy? Mógł jej w nagrodę obiecać moje życie? Naturalnie, że mógł.

No nie, trochę cię poniosło, przyjacielu. Nastąpiło zaostrzenie objawów chronicznej paranoi. Cały świat chce cię zabić. Wokoło sami wrogowie. A do diabła z tym! Dobrych ludzi może jest naprawdę więcej niż złych, jednak gadziny są zazwyczaj o wiele bardziej aktywne.

Też mi odbiło, żeby samemu ze sobą prowadzić rozmowy. Tylko patrzeć, jak całkiem ocipieję. A pospieszyć należy się chociażby dlatego, że trzeba by coś zjeść, zregenerować siły. Do Świerkowego powinniśmy dotrzeć dopiero koło wieczora, a po drodze nie byłoby od rzeczy coś przekąsić. Z krwiopijcą nigdzie i tak się nie wstąpi. Na drodze wprowadzie nikt na Ilorę nie zwróci uwagi, ale do domu takiego obcego nie wpuszczą. I niech ona tam sobie będzie nawet trzy razy szczególnie tworem, ale gdy natknie się na kapłana, nastąpi ciao, bambina, sorry, malutka. A i mnie, jako jej kompanowi, chętnie zorganizują interesujące przedstawienie.

A w ogóle w samym Świerkowym i tak nie mieliśmy czego szukać, lepiej zatrzymać się w Karawanseraju. Z ich służbą bezpieczeństwa nie powinno być trudności. Bo na czym im głównie zależy? Żeby klient płacił, reszta nieważna.

A jeśli rzecz o pieniądzach, to - o ile dobrze zrozumiałem - ja zostałem wyznaczony na sponsora tej podróży. Opiekun Wiedzy jakoś opuścił tę kwestię, zaś Ilorą nie wyglądała na zamożną. Sraluchy.

Do południa nikogo nie spotkaliśmy. Słońce paliło już na całego, wilgotna ziemia parowała, w dodatku zaczęło mnie mroczyć z głodu. A może działa się tak dlatego, że główka uległa przegrzaniu? Gdyby mnie dopadł udar słoneczny, bandana za dużo pomóc nie mogła. Dopilem resztkę wody, zawahałem się, ale nie wyrzuciłem butelki. Przypiąłem ją z powrotem do pasa. Uf, ale mnie męczyło, skręcało... Jeśli nie zatrzymamy się na mały popas, zdechnę.

Z przygnębieniem spojrzałem na idącą niewzruszenie - a jeśli przyjrzeć się dokładniej, praktycznie sunącą nad popękaną drogą - wampirzycę. Tak w ogóle, krwiopijca wystawiony na światło słoneczne powinien natychmiast kojfnąć, a przynajmniej ulec poparzeniu. A ta tutaj parła do przodu niczym koń. Ale co prawda to prawda, że słońcem tak naprawdę nigdy nic nie wiadomo. O jakim specjalnym statusie mówił Opiekun Wiedzy? Czyżby magia krwi

była aż tak silna? A może królowej niczym się nie zmoże? To straszne. Miałem tylko nadzieję, że jej owijanie się w płaszcz coś jednak oznacza.

Wyobraziłem sobie, jak wbijam jej w plecy osinowy kołek i zrobiło mi się trochę lżej, choć nie na długo. Nie na długo, bo zaraz, kiedy sobie o tym pomyślałem, wewnątrz czaszki zaczął się kręcić lodowaty jeź z nastawionymi ostro igłami. Kurrr... Zdaje się, że nie mogłem nawet pomyśleć bezkarnie o zabiciu poczwary! O ucieczce zresztą też...

Z niewielkiego pagórka, gęsto pokrytego krzakami i niewysokimi brzoźkami, spływał strumyk, który znikał w zakopanej pod drogą rurze i pojawiał się z drugiej strony, aby rozpląnąć się w błotnej trawie zarastającej porzucone pole. Bielutkie pnie i miękka zieleń brzoź wabiły, ale musiałem zwalczyć pokusę. Nie pora pozwalać sobie na odprężenie.

Zawołałem Ilorę, zszedłem do rury, żeby się umyć w przejrzystej, zimnej wodzie. Zmoczyłem także bandanę, zawiązałem ją z powrotem na głowie. Cudownie! Bo już mózg mi się zaczął gotować.

Kiedy wyszedłem na drogę, wampirzyca czekała na poboczu. Z przodu pojawiła się karawana. W promieniach słońca błysnęły szkła lornetki, ale najwidoczniej nie uznano nas za zagrożenie, bo eskorta nie wysłała patrolu. Prawdę mówiąc, wcale mnie to nie zdziwiło: karawana należała do Komhazu - Komitetu Handlu Zagranicznego Miasta - a nikt przez cały zeszły rok nie odważył się zagarnąć ich ładunków. A w każdym razie ja nic o tym nie słyszałem. Ochronę mieli zdecydowanie na najwyższym poziomie. Na honoraria dla łowców głów ta organizacja nigdy nie skąpiła pieniędzy. Wozy, podskakując na wybojach, przejechały obok, nikt nas nie zaczepił. Poszliśmy dalej.

Od tej chwili coraz częściej spotykaliśmy zmierzające w przeciwnym kierunku tabory. Najpierw minęły nas załadowane węglem furmanki, ciągnące się na dobre sto metrów. Potem czwórka koni powoli wlokła przyczepę samochodową z załadowaną cysterną, na której białą farbą wymalowano „ŁATWO PALNE!”. Czyżby materiał wydobywany z szybu w Łudinie? Zapewne, bo wóz miał przydzieloną liczną ochronę, chyba ze dwa oddziały żołnierzy. Ale czego przy ropy szukał Garnizon?

Dalej już wszystko szło w takim właśnie duchu do Fortu wieziono deski, bale i drwa, ryby i zwierzynę, uzdrawiające zioła i futra, samogon w butelkach i jagody w pudłach, kurzyły się bele materiału i rulony gobelinów. Kupcy wieźli nawet szary mech i lśniące zielono niedojrzałe śnieżne jagody. Sznurek, mydło i powidło, cholera.

Jedno w tym było paskudne: nie mogliśmy liczyć na okazję podjechania jakimś taborem idącym w naszym kierunku. Ale to całkowicie zrozumiałe, bo jeśli ktoś wyruszył o poranku, teraz powinien docierać do celu, a nie znajdować się pośrodku trasy. A jeśli odmieńcy nadal

urządzają protesty, możemy czekać na wracających do sądnego dnia. Jedyna nadzieja w jadących tranzytem, którzy nie wchodzili na noc za miejskie mury.

Od chwili, gdy spotkaliśmy pierwszą karawanę minęła ponad godzina, kiedy kolejny raz rzucając do tyłu okiem, zobaczyłem wyłaniające się zza lasu zaprzęgi. Chyba nam się jednak poszczęściło! Pięć wozów, przy każdym dwa koniki, poza tym trzy wierzchowce. Może znajdzie się miejsce i dla nas? Miałem już dość wleczenia się na własnych nogach w takim upale. Na niebie, jak na złość, ani jednej chmurki.

- Poczekaj, spróbujemy się przysiąść - zatrzymałem Ilorę. Ukryłem się przed palącymi promieniami w cieniu omszałej, granitowej skały.

Od masywnego bloku ciągnęło chłodem. Zrzuciłem z jednego z kamiennych występów igliwie, usiadłem. Dobrze... Już dawno trzeba było zatrzymać się na odpoczynek, a nie przeć uparcie niczym wielbłądy przez pustynię.

- Po co? - zasyczała wampirzyca.

- Szybciej dotrzemy do celu.

- Wyczuwasz kierunek? - Widocznie zgadzając się z moją argumentacją zesza z drogi, za moim przykładem schroniła się w cieniu.

- Czuję, czuję. - Ciągająca do noża cieniutka niteczka nie zwalniała mnie z uwięzi ani na moment. Niech to szlag. Znajome uczucie. Kiedyś na pewno spotkało mnie już coś podobnego. Powinienem się nad tym głębiej zastanowić.

- Wciąż jeszcze musimy poruszać się traktem? - Skrzypiący głos Ilory nieprzyjemnie szarpnął struny nerwów.

- Tak. - Droga odchodziła lekko na południe, ale nie tak, żeby miało to przeszkadzać.

Z głosikiem tej wrony trzeba było koniecznie coś zrobić. Zewnętrznie nie różniła się od normalnego człowieka, nawet źrenice miała normalne jeśli się akurat nie wściekała, ale gdyby ktoś odgadł prawdę... Aż mną wstrząsnęło na samą myśl.

- Jeżeli będą o coś pytać, masz milczeć. Jesteś głuchoniema. A ja jestem twoim bodyguardem, prowadzę cię do Świerkowego, do krewnych.

Wampirzyca nic nie odpowiedziała, więc nie wiedziałem, czy zamierza się zastosować do wskazówek, czy nie. Ale jeśli milczy, niech robi tak dalej, więcej niczego nie oczekiwałem.

- Podrzucicie? - zaczępiłem strażnika, który pod - jechał obejrzyć podejrzanych osobników.

Młody chłopak w wypłowiałej kurtce jedną ręką ściągnął wodze, drugą przytrzymał dyndający na pasie pistolet maszynowy. Po odzieniu - skórzanych butach chałupniczej produkcji, wytartych do białości dżinsach i ciemnozielonej niegdyś kurtce - trudno było

stwierdzić, kim są inni podróżni, ale już zauważyłem na jednym z wozów niebogato ubranych Chińczyków. Najprawdopodobniej byli to podwładni jakiegoś kupca z Miasta.

- Zapytam dowódcy. - Strażnik obejrzał nas uważnie, zawrócił konia i pojechał naprzeciw taborowi.

Kiedy dwa pierwsze wozy przejechały, nie zatrzymując się, uznałem, że dowódca postanowił nie ryzykować podwożenia przypadkowych podróżnych. Ale nagle woźnica trzeciej furmanki machnął na nas i poklepał dłonią deski.

- Dzięki - odetchnąłem z ulgą, sadowiąc się obok niego.

Ilora poszła w moje ślady, usiadła na workach, którymi wyłożone zostało dno wozu. Były chyba wypełnione czymś bardzo miękkim, bo z tyłu chrapał uwalony na nich młody facet, rozebrany do spodni. Koszula leżała obok. Znakomity pracownik. Kima sobie, zamiast obserwować okolicę.

- Nie ma za co - odparł spokojnie brodaty mężczyzna liczący sobie pewnie z pięćdziesiąt lat. Chlasnął batem konie, które zwolniły kroku, wyciągnął rękę i przedstawił się: - Michaił Grigoriewicz.

- Sopol - nie siliłem się na wymyślanie innego przydomka. A nuż jeszcze spotkamy kogoś znajomego! po drodze? Taborowi są poważnymi ludźmi, takich żartów nie rozumieją. Odłożyłem karabin nieco dalej, żeby nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń. Michaił Grigoriewicz wyglądał na człowieka rozsądnego, ale kto tam wie, co może strzelić do głowy ochroniarzom? Komu później udowodniać, że nie chciało się zrobić nic złego? Aniołkom? Hm... W moim przypadku chyba raczej ko - legom z dołu...

- Dokąd zmierzacie? - Woźnica wziął plastikową półtoralitrową butelkę z pienistą brązową cieczą. Czyżby kwas chlebowy? Zdjął nakrętkę, pociągnął długi łyk, otarł brodę. Odetchnął głośno, poprawił skórzany szeroki pas i podał mi pojemnik. - Pociągnij sobie, zaraz zrobi się lepiej.

- Do Świerkowego - zełgałem, napiłem się orzeźwiającego płynu i zakręciłem butelkę. Dobrze mówił, zaraz ulżyło.

- Uuu, w takim razie możemy was podwieźć tylko do Karawanseraju. Wracamy do Pierwszolasu.

- I bardzo dobrze - uśmiechnąłem się, klnąc w duchu. Trzeba było wymienić jakikolwiek chutor na Granicy, pojechalibyśmy dłużej. Chociaż dlaczego niby klucz ma się znajdować zaraz aż tak daleko? Może nie będziemy musieli dotrzeć nawet do Świerkowego? Chociaż, z drugiej strony, to duża wieś, więc nie będą zadawali wiele pytań. - Pierwszolas to gdzieś pod Miastem?

- No tak! - Woźnica schował kwas pod siedzenie. - W zeszłym roku nawet nas chcieli przesiedlać. Ze strategicznie ważnej strefy, znaczy... Od wsi do Bazy wy ją nazywacie Miastem - wszystkiego jest pięć wiorst, jeśli iść na przełaj przez tajgę. Bo drogą trzeba nadłożyć do dziesięciu.

- Ojczulku, co też ty wymyślasz? - Chłopak z tyłu obudził się, przetarł twarz. - Przesiedlać nas chcieli z powodu tartaku. Chodziliśmy z chłopakami, to wiem. Tam wdrożyli produkcję jakiejś chemii, ogrodzili wszystko aż do pasieki Iljicza.

- A tobie się to aby nie przyśniło, synku?

- Ojczulku, i czego się śmiejesz? - obraził się chłopak. - Pamiętasz Bobra? No, Miskę Prokofiewa? Nie ma dwóch przednich zębów. Alika syn. Przypomniałeś sobie? Właśnie. Jak tam polazł, mało mu łba nie odstrzelili. A potem całego go wysypało, miesiąc miał bąble.

- Z ojcem się będziesz kłócił? - Michaił Grigoriewicz stuknął trzonkiem bata w siedzenie. - Od kogo się tego nauczyłeś? Knutem możesz łatwo zarobić. A twój tartak nie pracuje już od grudnia. Jakiś zrzut był wtedy zrobiony do rzeczki, wszystkie ryby wyzdychały. A nas niby czemu za to wysiedlać? We wsi, powiadam ci, chcieli zorganizować sortownię. Komhaz wszystko z początku tam właśnie zwoził, a potem dopiero szła wysyłka do Bazy według potrzeb.

- A niech tam. - Syn machnął ręką i przewrócił się na drugi bok. - Dziewczyno, zdjęłabyś ten płaszcz, gorąco przecież.

- Jest głucha i niema - odparłem za siedzącą bez ruchu Ilorę. - Niech tak zostanie, przynajmniej się nie przeiębi..

- Żona? - zainteresował się Michaił Grigoriewicz.

- Bóg strzegł - zaśmiałem się. - Krewna mojego przyjaciela. Siódma dla niego woda po kisielu. Ja teraz objam się bez roboty, więc poprosił mnie, żebym ją odwiózł do Świerkowego. Do rodziny, znaczy, na lato. A że głuchoniema, nie uprzedził, paskudnik.

- Ech, ta młodzież - westchnął woźnica. - Tyle razy mówię swojemu: „Żenić się pora, Sierioża. Może się trochę ustatkujesz”. A on, wszarz, śmieje się tylko. - Aha, jasne, rozpędziłem się - wyburczał Sierioża, zamykając oczy. - Mam czas!

Zostawiliśmy z tyłu obrosnięte krzywymi świerczkami granitowe zbocza. Tabor wjechał na bagnistą nizinę. Niedawny przybór wód rozmył dobre siedemdziesiąt metrów drogi, konie z wysiłkiem miesiły podeschnięte już trochę błoto. Po obu stronach drogi narzucano worków z piaskiem i jeśli z lewej strony woda już zeszła, to po prawej wysoka trawa ledwie wystawała z mętnego rozlewiska.

- Ktoś jedzie. - Michaił Grigoriewicz przyłożył dłoń do czoła.

Jego syn niechętnie usiadł, położył na kolanach dwu - rurkę, - To myśliwi, spokojnie - przekazał do tyłu konny strażnik.

Sierioża ziewnął, ale bronie nie odkładał. Prawdłowo: choć miejsce na zasadzkę kiepskie, bo nie było gdzie się schować, ale droga podchodziła blisko wody. Wiadomo to, co się może z niej wynurzyć? Ze spluwą spokojniej.

Ocierając się prawie o nasz wóz, przejechała bryczka z dwoma opalonymi na ciemny brąz myśliwymi. Kiedy zdążyli tak się podpiec? Przecież nie wylegiwali się specjalnie na słońcu. Prawdę widać mówią, że latem nasze słońeczko jest bardzo aktywne.

- Upolowaliście coś? - krzyknął ktoś z furmanki za nami.

- Tuzin błękitniaków i trzy śniegule. - Jeden z myśliwych poklepał rozłożone z tyłu skóry o stalowoszarej barwie sierści.

- Śniegule? Gdzie je spotkaliście? - Dorodny kupiec zainteresował się skórami.

- W barłogu wzięliśmy ciepłutkie.

- A ile chcecie za łupież?

- Półtora stówy za każdą.

- Ile?! - Tym jednym słowem kupiec znakomicie potrafił wyrazić niedowierzanie i oburzenie zawyżoną ceną.

- Skóry nienaruszone, strzelaliśmy w oczy - niewzruszenie wyjaśnił myśliwy.

Kupiec chrząknął, zeskoczył w błoto, podszedł do bryczki i zaczął macać towar. Miękkie i czyste letnie futro zalśniło srebrem w jasnych promieniach. Zimą za wyprawienie skóry nie każdy fachowiec się weźmie, za to latem łupież ze śnieguła ma szykowne włosie. Tyle że o tej porze nie można ich znaleźć, bo zostają tylko pojedyncze sztuki, a stada migrują na północ.

- Jakież te wasze skóry wytarte - powątpiewał kupiec. - Nie dam więcej niż dziewięćdziesiąt.

- Ta może faktycznie wytarta - zgodził się myśliwy. - Bo to samica. Ale pozostałe są jak należy. Jeśli weźmiecie wszystkie, spuszczę trzydziestaka.

- Ha, trzy to już jakaś opcja. Trzysta czterdzieści pięć za wszystkie.

- Proszę uprzejmie nie rozśmieszać mojego konia! - zirytował się pokazujący skóry myśliwy i zsunął kapelusz na tył głowy. - Skup w Fortcie bez gadania zapłaci cztery stówy.

- Do Fortu kawał drogi, a ja daję zaraz.

- Ej, tatko. - Sierioża podrapał się w krótko ostrzyżoną potylicę. - Przyjrzyj się błękitniakom. Może by kupić?

- A po co niby?

- W tym miesiącu wpuścili do Bazy Ligę. Im sprzedamy, baby przecież cen nie znają.

- Akurat im ptaki potrzebne - skrzywił się Michaił Grigoriewicz. - Poza tym zaśmierdną się.

- Nie zaśmierdną. Upieczemy sobie - podniecił się Sierioża. - A pióra wciśniemy babom. Mówił mi Borka Jefimow - ten, co się zadaje z braciszkami - że na lotki strzał najlepiej nadają się pióra błękitniaków. Jak siostry nie wezmą, przez Borkę przehandlujemy braciom.

- Ile razy powtarzam, żebyś się nie zadawał z tym obrzydliwcem! - Michaił Grigoriewicz rozżłościł się nie na żarty. - Jak go kiedy wsadzą, pociągnie za sobą wszystkich koleżków.

- Dobra, dobra, ojciec, nie jestem dzieckiem. Zobacz, Prochor już wytargował skóry. Idź szybciej.

- Przypiąłeś się gorzej niż rzep - westchnął woźnica. - Sam idź, skoroś nie dziecko.

- Ale, ojczulku, ty lepiej umiesz się targować.

- Czort z tobą. Idę. - Michaił Grigoriewicz machnął ręką, zeskoczył z furmanki i podszedł do bryczki.

Hm... Nie myślałem, żeby udało mu się stargować mocno cenę błękitniaków. Nie taki to towar. W tych ptakach, ciut mniejszych od głuszców, cenne są rzeczywiście przede wszystkim pióra, które wykorzystuje się do produkcji strzał dopiero po nałożeniu specjalnych czarów. A te czary nie słabną z czasem.

- I co? - zapytał Sierioża, kiedy ojciec wrócił z pustymi rękami. - Cena za wysoka?

- Upolowali je na zamówienie Gimnazjonu - burknął Michaił Grigoriewicz, spojrzął ponuro na uwalane błotem buty. - A tamci sami braciszkom je sprzedadzą i jakoś się to obejdzie bez nas.

Sierioża uznał, że lepiej będzie teraz się nie odzywać. - Dużo jest braci w waszej wiosce? - Tabor znów ruszył, a ja chwyciłem się burty, żeby utrzymać równowagę.

- W wiosce żadnego. A w Bazie na początku roku zamknęli im punkt werbunkowy. Bo to napłotą młodym durnych bajek, a ci głupi wierzą. - Woźnica przekazał wodze synowi. - I żebyś mi się nie włóczył więcej z Jefimowem! Wezmą cię tajniacy na celownik, będziesz potem płakał.

- Napłotą bajek - przedrzeźnił ojca chłopak. Pewnie lepiej na tym naszym zadupiu mrozić tyłek do końca życia, co?

- Ale z tobą też jest rozmowa! Proszę bardzo, idź do Bractwa, skoro nie chcesz mrozić dupska. Oni tam u siebie mają prawdziwą Afrykę!

- Nieeee. Myślę, żeby iść do Siewieroreczeńska.

- I za co Pan na niebiesiech pokarał mnie synem idiotą? Za jakie grzechy śmiertelne? -

Przewrócił oczami Michaił Grigoriewicz. - Miodem cię tam będą smarować?

- A miodem! Sam widziałem przecież, że tam już ponad miesiąc panuje ciepło. I we wrześnie nie każdego roku śnieg leży. - Sierioża żarliwie przytaczał najwyraźniej przemyślane już dawno argumenty. - A u nas co? Dopiero dwa tygodnie temu śnieg stopniał.

- Ech, ty głupi dzieciaku. - Ojciec postukał się w czoło. - Sam pomyśl, jak byś nie patrzył, siedem-osiem miesięcy śnieg tam leży i robią zapasy siana na te właśnie osiem miesięcy. Śnieżne jagody, szary mech i rusałorosty zanadto się tam nie udają. Dlatego biorą pod nóż na jesieni prawie wszystko bydło, żeby przeżyć. Spróbuj jeść całą zimę solone mięso z mrożonymi jagodami, pójdiesz się rzucić ze skały.

- Oni mięso mrozą - odparł Sierioża, aczkolwiek bez wielkiej wiary. - A plony mają większe niż my.

- Plony to jest faktycznie wielka sprawa. W domu ktoś ci przeszkadza zająć się gospodarstwem? Jakoś nie widzę u ciebie ochoty do pracy na ziemi. Następnym razem wezmę ze sobą Jurkę, a ty okopuj ziemniaki, krowy pasać lataj. Nie chcesz? O to, to! A kim będziesz w Siewieroreczeńsku? Ani ziemi, ani pieniędzy, ani pracy. Ciepłe posadki dawno zajęte. Całe życie będziesz u kogoś na posługach..

Syn nie podjął dyskusji, a Michaił Grigoriewicz nie ciągnął dalej swoich wywodów.

Po obu stronach drogi zaczęły się pojawiać zasiane jakąś trawką pola. Czyżby owies? Nie wiedziałem, na agronoma nie miałem nigdy zadatków. Spojrzałem na znieruchomiałą wampirzycę, ułożyłem się wygodniej i spróbowałem zadrzemać. Sen nie nadchodził, nie mogłem się odprężyć, a szkoda, bo to byłby dobry czas, na chwilę odpoczynku. W głowie krążyły głupie myśli.

Noże - amulety - pistolety. Mróz - Opiekun - portale między światami - moja własna przyszłość. Czyli ogólnie pełen obciach.

Z przodu ukazały się trzy ogrodzone wysokimi płotami wiatraki, na łączce obok nich delektowały się młodziutką trawką wychudzone krowy. Oprócz wyposażonego w broń myśliwską wartownika stojącego na jednym z młynów, zwierząt pilnowało jeszcze trzech pastuchów - dwóch z kuszami, jeden z łukiem.

Ciekawe, co teraz tam miały? Ziarna po zimie zostać nie mogło. Porem dostrzegłem przeciągniętą wysoko nad ziemią na drewnianych podporach nitkę kabla i wszystko stało się jasne. O, za tamtym zagajnikiem powinien znajdować się chutor Widny. Bogaty chutor. Czy to starowiercy tam osiedli, czy inni jeszcze schizmatycy, nie wiem, ale zawsze trzymali się osobno, obcych widzieć nie chcieli.

- Michaił Grigoriewiczu, a właściwie skąd jedziecie? - Milczenie na tyle mi obrzydło, że

chętnie bym pogadał na jakikolwiek temat. No, prawie każdy... - Oczywiście, jeśli to nie tajemnica.

- Jaka tam tajemnica. Z Siewieroreczeńska - odparł wciąż jeszcze rozeźlony na syna mężczyzna.

- To czemu wybraliście się tak daleko na północ?

Przecież po południowej trasie powinno być bliżej. To było rzeczywiście dziwne. I Miasto, i Siewieroreczeńsk znajdowały się znacznie na południe od Fortu.

- Bo to głównie nie droga - splunął Siergiej.

- Zgadza się. Nie lubię tamtych rejonów. W mojego siostrzeńca stryjecznego zeszłego roku biesy wlażyły koło Lisich Kolonii. Nawet biedaka do cerkwi nie dowieźli, bo uciekł. Uratuj, Panie, duszę sługi swego. - Michaił Grigoriewicz przeżegnał się. - A poza tym, za każdym razem odwiedzamy Fort.

- Tato... - powiedział Sierioża z potępieniem.

- Och, daj spokój. Też mi wielki sekret - syknął Michaił Grigoriewicz. - Z Siewieroreczeńskiem wolno handlować tylko Komhazowi. Bierzymy więc towar, wieziemy do Fortu, sprzedajemy jednemu ze Związku Handlowego i zaraz odkupujemy. On ma z tego parę groszy, a my czyste papiery. Gliniarze, oczywiście, o wszystkim doskonale wiedzą, ale patrzą na to przez palce. Oczywiście, tylko do czasu...

- Jeszcze by mieli nie patrzeć przez palce. Za takie pieniądze... - dodał Sierioża. - Ale zawsze próbują urwać coraz więcej.

- A jak jest w Siewieroreczeńsku? - Zrozumiałem, że należałoby zmienić temat.

- Dobrze - westchnął chłopak z rozmarzeniem. Fabryki pracują, kominy dymią, wszędzie pełno towarów. - Dzieciaku, a czy te towary sami zrobili? Tam przecież handlarz na spekulancie siedzi i lichwiarzem pogania! Słyszysz tylko: dostawy nie było, dostawa będzie, dostawy nie było, dostawa będzie. Siedzą i czekają na zmiłowanie. Trafi się coś cennego czy nie trafi. A jak kramik splajtuję, zaczynają puchnąć z głodu. Kozacy wszystkich wykarmić nie dadzą rady. - Rozdrażniony woźnica zaczął rozwiązywać sakwę, sądząc po zapachu, z czymś do jedzenia.

- Mówicie o poszukiwaczach? - postanowiłem uściślić.

- U was ich może nazywają poszukiwaczami, a u nas dostawałami. Chrzan nie jest słodszy od rzodkwi. - Michaił Grigoriewicz zajrzał do torby i zamyślił się. - Ale na razie w Siewieroreczeńsku jest faktycznie dobrze. Szczególnie w porównaniu z Fortem. Jak tak sobie posłuchałem waszego ulicznego kaznodziei, miałem ochotę się powiesić. Aż się ręka sama po sznur wyciągnęła. Rety! Jutro nastąpi jeśli nie koniec świata, to na pewno początek

globalnego zlodowacenia. W dodatku musieliśmy u was zostać dzień dłużej.

- Dlaczego?

- Mutanci zaczęli mieszać przy bramie. Dokąd ich trochę nie spacyfikowali, nie można było wyjechać.

- I bardzo dobrze, żeśmy się spóźnili. Dzięki temu nie dopadł nas kriogen - zamachał rękami Sierioża. Nie wiedzieliście? Tam przemroziło całą roślinność, zahaczyło też o drogę i to przed samymi moczarami.

- Udało się wam. - Od razu pojąłem, o jakiej roślinności i jakim „kriogenie” mowa. - Z pogodą w ostatnim czasie w ogóle dzieją się cuda.

- Nawet mi nie mów. - Michaił Grigoriewicz wskazał rozłożone na ściereczce jedzenie: gotowane kurze jaja, kawałki słoniny, zieleninę, bochenek chleba i półkulę żółtego sera. - Jak powiadają, czym chata bogata. Częstujcie się.

- Tato, z ciebie skończony filantrop - skarcił ojca chłopak. - Od tego, że podwieziemy podróżnych, nam nie ubędzie, ale jak na razie bułki jeszcze nie zaczęły rosnąć na drzewach.

- Cicho bądź! Będziesz ojca pouczał?

- Ależ nie, ma rację - przełknąłem ślinę.

Tylko ze złotem ostatnio u mnie krucho. Dolary weźmiecie?

- O jakich pieniądzach mowa? Biercie. - Michaił Grigoriewicz skarcił syna groźnym spojrzeniem.

- Akurat nam potrzebne te zielone fanty. Rozliczcie się nabojami. - Sierioża siedział do ojca tyłem i dlatego nie widział, jak stary sięgnął po bat.

- Czemu przynosisz mi wstyd przed ludźmi? Michaił Grigoriewicz nie pożałował rzemienia, przeciągając nim w poprzek pleców chłopaka. Na skórze pojawiła się natychmiast krwista pręga.

- Au! Ojciec, czego chcesz? Sam tak zawsze mówiłeś!

- Ja ci dam „mówiłeś”! - Drugie uderzenie przecięło plecy od lewego ramienia aż do krzyża. - Ja ci jeszcze pogadam!

- To boli przecież! Tatko, dlaczego?

- Michaił Grigoriewicz! Wszystko w porządku. - Gdyby ktoś zaproponował mi taką wymianę podczas rajdu, obibym mordę. Ale tutaj mnie przecież wiozą, a jedzenia też nie wzięli z powietrza. Dlatego wyjąłem dwa naboje, co prawda z tych przemoczonych. - Bierz. Dwa wystarczą?

- Wystarczą. - Sierioża poruszył ramionami i zasyczał z bólu. Słońce schowało się za niewielką chmurką, powiał wietrzyk i od razu zrobiło się chłodniej. - Ojczulku, rzuć koszulę.

- Nie gniewajcie się na nas - westchnął pojednawczo Michaił Grigoriewicz, podając koszulę. - Młdzież teraz prostacka, a i czasy takie... Nie uwierzysz, ale u nas we wsi mamy wszystkiego ze dwadzieścia strzelb. Więcej nie wolno. Do tajgi chodzimy trójkami: jeden z normalną bronią, dwóch z samopalami własnej roboty. Chłopcy mocno się wyszkolili w tym względzie.

- Ja tam się w niczym nie wyszkoliłem - odgryzł się Sierioża.

- Pogadaj jeszcze do mnie. Wychowałem biznesmena na swoje utrapienie.

- Jakże sobie radzicie zimą bez broni? - zdumiałem się.

- Kwateruje u nas kompania jegrów. - Woźnica wyciągnął ku mnie pajdę posypanego solą chleba. Wasza towarzyszka niech też się częstuje.

- Ma w sakwie swój prowiant. Jak zechce, podje sobie. - Położyłem na chleb kawałek sera, ugryzłem. - W takim razie za znajomość. - Gospodarz wydobył butlę z ciemnozieloną cieczą, nalał w blaszane kubki na dwa palce. - Naleweczka na siedmiu ziołach. - A ja? - odwrócił się Sierioża.

- A ty lepiej patrz na drogę. - W ojcu gniew nie ustąpił jeszcze miłości.

Nalewka okazała się znakomita - delikatna i orzeźwiająca, bez ordynarnego posmaku bimbru. A w dodatku zaostrzała wybitnie apetyt. Chociaż, co tam miała zaostrzać, skoro ponad dobę nie miałem nic w ustach? Wystarczy już, ostatnia kanapka i koniec.

Po trzeciej kolejce Michaił Grigoriewicz z żalem schował butlę. I bardzo dobrze, bo już zaczęło mi lekko szumieć w głowie. Mocna, zaraza.

Wozy zjechały na pobocze i obok nas, rozbryzgując błoto, przemknął „Kamaz” z przyczepą zasłoniętą brezentem. W kabinie mignęły chmurne oblicza ubranych na wpół wojskowo ludzi. Jeszcze trzech żołnierzy kurzyło się między beczkami na pace.

- Rozjeździli się. - Sierioża stał palcem z policzka plamkę błota.

Z przodu pojawiła się przeprawa przez Leśną rzeczkę wypływającą z moczarów południowych. Solidną zaporę z kamieni ubezpieczały dwa posterunki zbudowane z cegły i betonu. Zamykające przejazd żelazne kraty były podnoszone za pomocą urządzenia, które napędzały obracane wodą koła.

Zamyślony celnik stał w drzwiach wartowni i robił zapiski w brudnym notesie. Siedzący obok na niskim taborecie dziesiętnik ostrzył topór, a dwóch jego podwładnych, wyposażonych w „ogniste ule” schowało się w cieniu pod daszkiem.

Niedaleko od zapory po zalewie pływały dwie łodzie.

W jednej rybacy sprawdzali sieci, w drugiej siedzieli mężczyźni uzbrojeni w kusze i bosaki, pilnując pracujących przed wodnymi stworami.

- Znow trzeba się wykupić - burknąłem. Przeprawa była płatna. Od pieszych brali jakieś grosze, ale z właścicieli wozów ściągali o wiele więcej. Ci, którzy nie chcieli rozstawać się z gotówką, mogli spróbować przejść brodem pięć kilometrów na południe. Może i niedaleko, ale niewielu się na to porywało.

- My nie płacimy za przejazd - uspokoił mnie Michaił Grigoriewicz.

- Jak to? - zdziwiłem się.

- Dogadaliśmy się ze starostą. Ma u nas zniżki, a my bezpłatną przeprawę. Wszyscy są zadowoleni.

Kiedy tabor zbliżył się do przejazdu, krata poszła w górę i furmanki spokojnie wjechały na deski mostu. Wartownik łowiący ryby prosto z zapory pomachał nam ręką.

Nieźle potrafią się dogadywać. Otrzymali chyba talent od Boga. Słyszałem, że dopóki Michajłow - naczelnik z Patrołu - nie przybiecał staroście Sobolowego spalić mu wiochy, ten nie zgadzał się absolutnie na bezpłatne przeprawy oddziałów. I dobrze, że groźba podziałała. Bardzo możliwe, że miało to związek z naciskami Bractwa, do którego Sobolowe w ostatnich latach należało, a które nie chciało zaognić stosunków z Patrolem. A tak w ogóle, o ile było mi wiadomo, prawem do bezpłatnych przejazdów, poza patrolowymi, mogli poszczycić się jedynie mieszkańcy okolicznych chutorów.

- A czym handlujecie? - spytałem, kiedy most został za plecami.

- Solą, cukrem, zapawkami - uśmiechnął się w brodę Michaił Grigoriewicz, który przejął lejce od syna. - Wszelkimi takimi artykułami pierwszej potrzeby.

- Aha. - Nie miałem zamiaru ujawniać wątpliwości. Nie chcą gadać, ich prawo. Tajemnica handlowa i te sprawy. - Widzę, że najmujecie Chińczyków.

- Najmujemy, czemu nie? Nie piją i na pensjach można przyoszczędzić.

- Nie boicie się, że wam sprowadzą Triadę?

- Nie - odparł pewnie woźnica. - Mamy ostre przepisy. Spróbuj tylko coś przeskrobać, a już chwycą za ucho i wyślą do kopalni rudy. A Kopalnia Monetarna to takie ciekawe miejsce, z którego nie wychodzi się nawet nogami do przodu.

- Monetarna?

- Wydobywają tam złoto. Srebro zresztą też. Nie, u nas nie pobalujesz.

- A niech tylko zaczną wykorzystywać Brzozową Odkrywkę, to już wszystkich bandziorów pozamykają. - Rozwalony na workach Sierioża z ciekawością oglądał mój karabin.

- Brzozową? Przecież ona jest na terytorium Fortu - przypomniałem mu. - Jak niby Miasto ma ją użytkować?

- Wiadomo, jak. Kilofami i łopatami. Przecież wy i tak nie wydobywacie stamtąd węgla. - Wzruszył ramionami. - A nasz Uprires od dawna ostrzy sobie na niego zęby.

- Mówią, że zbierają się zdobyć koncesję. - Michaił Grigoriewicz odwrócił się, żeby spojrzeć na syna. - No tak, bez koncesji nie da rady - roześmiał się chłopak, a potem dodał pod nosem tak, żeby ojciec nie słyszał: - To po cholere nam czołgi?

Po sutym obiedzie rozebrało mnie. Miękkie woreczki pod plecami zrobiły swoje, zdjąłem więc kurtkę, zwinąłem ją i podłożyłem pod głowę. Pistolet schowałem do kieszeni, żeby nie kłuł ludzi w oczy. Po niebie leniwie płynęły obłoki, słońce przygrzewało, worki wydawały delikatny, przyjemny zapach i w efekcie nagle spadł na mnie sen.

- Wstawaj, dojechaliśmy. - Zdawało mi się, że Sierioża szturchnął mnie w bok dosłownie sekundę później.

Przetarłem oczy i zobaczyłem, że tabor zatrzymał się obok Karawanseraju - skupiska drewnianych domków, w których piekli, gotowali, dusili i marynowali wszystko, czego tylko mogli zażądać zatrzymujący się tutaj podróżni. Oczywiście, zaspokajano tutaj nie tylko gastronomiczne upodobania klientów, ale także wszelkie inne, nieraz bardzo specyficzne. W Karawanseraju, podczas kiedy przyjezdni odpoczywali i jedli, podkuwano im konie, naprawiano wozy, oferowano usługi typu wyprać-wyprasować-zacerować ubrania oraz broń z doskonale wyposażonego arsenału. Mieli tutaj więc własne kuźnie, łaźnie, trochę kantorów wymiany walut, trzy sklepy oferujące zapasy na drogę i najróżnorodniejszy sprzęt, a także trochę handlarzy niekoniecznie troszczących się o czystość transakcji z prawnego punktu widzenia, ale za to bardzo pilnujących innego rodzaju czystości: za rzeczy ze śladami krwi oferowali ceny o wiele niższe niż zazwyczaj.

I jeśli nie panowała tutaj matka-anarchia to tylko dlatego, że miejscowym prowodyrom potrzebne były pozory porządku. Ale poza tym i kradzieże się zdarzały, i rankiem można było się natknąć na trupy w wąskich uliczkach. Pamiętam, że parę razy wysyłano tutaj z Fortu na obławy spore oddziały drużynników.

Zeskoczyłem na ziemię i rozejrzałem się w poszukiwaniu Ilory, Aha, jest, już zlała.

Gdzieś obok żałosne skomlenie zamieniło się w pisk, a Sierioża, podbiegłszy do chłopaków topiących szczeniaka w głębokiej kałuży, zasadził najstarszemu solidnego kopa.

- On przecież chory! - zajęczał uderzony. - My tylko tak, żeby się nie męczył.

Sierioża wszedł do kałuży, pochwycił na ręce wiercącego się tam czarnego szczeniaka nieokreślonej psiej przynależności rasowej, przyniósł go do wozu.

- Potwory - mruknął, owijając w koszulę drżącego pieska, którego jedno oko ropiało.

- Oni chcieli przynajmniej coś zrobić - powiedziałem, wcale nie zamierzając

usprawiedliwiać gówniarzy.

- Rozumiem, sam byłem taki. - Sierioża dotknął palcem sączącego się z oczka zwierzęcia śluzu i poprosił ojca: - Rzuć mi apteczkę.

- A tyś co znowu wymyślił? - nachmurzył się Michaił Grigoriewicz, ale podał torbę. - Po co on tobie?

- Wyleczę i będziemy razem chodzić do tajgi. Sierioża włożył skuczącego psa do furmanki, otworzył torbę. - Nazwę go Muchtar.

- O tym nawet nie myśl! Atiejew się obrazi.

- A co mnie to obchodzi? Niech się obraża - chłopak wzruszył ramionami. - Jeszcze sami popatrzemy czy się nie obrazić, że jakiegoś tam Atiejewa nazywają jak nas. Prawda, Muchtar?

- Ja ci dam Muchtara! Wrócimy do domu, to już matka wybije ci głupoty ze łba - Michaił Grigoriewicz rozgniewał się, ale nie na poważnie. - Tak! A skoroś otworzył torbę, podaj mi ekomaga. I sam też zażyj.

- Dzięki za pomoc - powiedziałem. - Nie wiem, co byśmy bez was zrobili.

- Nie ma sprawy. - Woźnica popił kwasem pigułkę. - Wy teraz do Świerkowego? My tylko kupimy wodę i także w drogę.

- Czujesz klucz? - Wampirzyca pierwsza przerwała milczenie.

- Tak. - Bez wysiłku mogłem zlokalizować nić łączącą mnie z nożem. W miarę naszego poruszania się po drodze, odchodziła coraz bardziej na północ. - Myślę, że musimy iść gdzieś w stronę Granicy z Mglistym.

- Dlaczego nie pojechaliśmy dalej z taborem?

- Oni na rozwidleniu za chutorem Sokołowskim idą na południe, a my potrzebujemy drogi północnej. - Chodźmy więc.

- Stój! - Nie odważyłem się chwycić Ilory za rękaw, poszedłem obok niej. - Nie piszę się na nocną wędrowkę, Wieczór już prawie, a do Sokołowskiego z pięć kilometrów. I nie wiadomo, czy znajdziemy tam nocleg. Tutaj się zatrzymamy, a rano ruszymy dalej.

Nie czekając na sprzeciwy i dyskusje, skierowałem się do Karawanseraju. Nie zechce ze mną iść, jej problem. Ja tam w lesie nocować nie zamierzałem, wystarczyło mi jednej nocy na bagniskach.

Terytorium Karawanseraju wyznaczało wysokie ogrodzenie z desek zwieńczone drutem kolczastym. Byle jak rzucone na drewno zakłęcia powinny odganiać plugastwo, a ludzi miała za zadanie pilnować ochrona. Nie można powiedzieć, żeby spełniała ona swoje zadanie z wielkim entuzjazmem, ale mordobicia, bójek na noże i rozkradania własności - oczywiście,

własności swoich pracodawców - nie tolerowała. Co dziesięć, piętnaście metrów na obwodzie osiedla, na wkopanych w ziemię słupach posrebrzanymi klepkami przymocowano zbiorniki Iwanowa - dokładnie wyszlifowane kule z górskiego kryształu. To już coś. Jeśli nie nadejdzie szczególnie silna burza magiczna, goście mogą nie obawiać się o swoje zdrowie.

- Op-pa! - zatrzymałem się niedaleko od otworzonej bramy. Znudzeni wartownicy nie zwracali uwagi na wchodzących, ale obok przejścia rozciągnął się owczarek. Jeśli poczuje wampira... Możliwe, że przyjdzie nam jednak nocować w lesie.

Iłora w milczeniu przeszła obok mnie, spokojnie minęła zajętego kością psa. Tak... Można przypuszczać, że wampir należy do istot nieczystych tylko warunkowo. Przecież na Niżnym też były psy... Cóż, teraz to i lepiej, ale trzeba będzie zapamiętać. W miarę oddalania się wampirzycy w głowie zaczynało narastać palące chłodem doznanie, zmuszające, bym za nią ruszył.

- Ej, gospodarzu. - Zajrzałem do pierwszej z brzegu karczmy. Mężczyzna o kaukaskiej powierzchowności brudną szmatą wycierał szklanę. - Przyjmiesz na noc? - Zachodzi, zachodzi. - Odstawił naczynie na ladę. - Mam tutaj najlepszą kuchnię w okrengu. Palce lizać!

- Pokoje, pytam, wynajmujesz? - powtórzyłem.

Nie, to na pewno nie tutaj: pod naciągniętą na drewniane kołki nieprzezroczystą foliową firanę stały plastikowe stoły i krzesła, tylko lada została wykonana z prawdziwych desek.

- Brat mój najmuje.

- Za ile?

- Eee, to już do niego takie pytanie. Zara przyjdzie.

- Rozumiem. - Nie miałem co robić, tylko czekać na jego brata.

- Czekej, czekej - zatrzymał mnie karczmarz. Czerwoniec za noc.

- Wyglondam może na zupełnego idiotem? mimowolnie zacząłem naśladować maniery rozmówcy, otrząsałem się. - Czerwoniec za nocleg w dusznym sraczu? Nie za dużo aby?

- Jaki sracz? U brata czyściutko. A w cenie wlicza się kolacje. Można się najeść do rozpuknięcia!

- I co, talerz przypalonej kaszy tak zawyża cenę?

- Czemu zara przypalonej? Znajdziesz u mnie coś za bardzo przygrzanego, darmo daje kolacje.

- Pięć rubli - zaproponowałem. - I nie we wspólnym pokoju na kupie.

- Za półimperiała brat da parawan.

- Ha! Za taką cenę wynajmę sobie normalny pokój. - Postanowiłem targować się do

upadłego. Na to, co miałem, zapracowałem potem i krwią.

- To idź se wynajmuj. - Gospodarz skrzyżował ręce na piersi. - Sześć i pół.

- Sześć i zgoda. - Zazwyczaj cena noclegu zaczynała się od sumy czterech, pięciu rubli, ale może w ostatnim czasie i to podrożało. Poza tym, był przecież sezon, pełno się nazjeżdżało handlarzy. A przecież płacić nie będę złotem.

- Siadajcie do stołu. Zara brat nadejdzie.

- Jest nas dwoje - uprzedziłem, spojrzawszy na zaglądnącą do lokalu Ilorę.

- To czegoś od razu nie mówił, że tu z tobom taka krasawica! - Karczmarz klasnął w rękę.

- Brat by wtedy i na dwa ruble się zgodził.

- Jeszcze nie jest za późno - zażartowałem. Rentgen ma w oczach, czy co? Wampirzycy nie było widać spod kaptura nawet nosa.

- Nie, nie. Umowa dla mnie droższa piniendzy! - Pogroził mi palcem. - Weź menu, wybieraj, co chcecie jeść.

Wziąłem kilka wypełnionych krzywym pismem wypalcowanych kartek, usiadłem przy stoliku w pobliżu lady. Co też tutaj można zamówić na kolację? A ceny naprawdę niczego sobie. Nic dziwnego, że klientów mało.

- Chcesz coś? - spytałem świdrującej mnie wzrokiem wampirzycy.

- Nie.

- Gospodarzu, a można zamówić jedną kolację i jedno śniadanie?

- Nie, siadania nie, bo do południa nie robimy ani zimnego, ani gorącego. Nie pracujemy, znaczy.

- W takim razie podsmażane kiełbaski myśliwskie, zupę jarzynową, makaron, chleb i herbatę. Wszystko podwójnie. - Czego nie zjem teraz, zabiorę.

- Herbaty zara przyniosę, zupę odgrzeje. Za dziesięć minut wszystko będzie.

Pod daszek wszedł mężczyzna bardzo podobny do karczmarza. Miał rozchełstana na piersi dżinsową bluzę, białe spodnie i drewniaki. Gruby na palec złoty łańcuch pięknie współgrał z także złotymi koronkami na zębach. I to w czasach, kiedy cała postępową ludzkość dawno już zadowalała się srebrem. To pewnie miały być oznaki wierności tradycji. Przybyły przechylił się przez lady i zaczął coś szeptać z gospodarzem, od czasu do czasu popatrując w naszą stronę.

- Słuchaj, ja rozumiem, że masz powody, aby mnie nienawidzić - podchwyciwszy kolejne spojrzenie Ilory, nie wytrzymałem w końcu. - Jednak teraz pracujemy dla wspólnego dobra. Jeśli wierzyć temu waszemu trzeciemu Opiekunowi Wiedzy, mamy za zadanie uratować świat. Może chociaż na ten czas zapomnimy o urazach?

- Rozumiesz? - wyszczała mi prosto w twarz. Sto lat żółtego przekleństwa nad głową? Ty to rozumiesz? A może pojmujesz także, co znaczy wiek życia w osamotnieniu? Potrafisz sobie wyobrazić, jak się czułam? A kiedy tylko wszystko zaczęło się jakoś układać, pojawiłeś się i zniszczyłeś to, dla czego żyłam przez ten okropny czas! Mam o tym zapomnieć?

Złotozęby zakończył rozmowę z bratem, podszedł do nas, więc Ilora zamilkła. W sam czas się pojawił, dla mnie, mogłem powiedzieć. Już prawie czułem zaciskające się na gardle kły. Takhhh... Jakoś mi się nie udało pozytywnie wpłynąć na stosunki z kobietą. Od razu widać, że krwiopijcy mają bardzo delikatną strukturę duszy. A to dla mnie może znaczyć bardzo wiele.

O jakich stu latach mówiła Ilora? Opiekun też coś wspominał o poprzedniej próbie związania światów. Czyżby to miało miejsce cały wiek temu? Tak by wychodziło... Cholera! Jak mogłem od razu nie zrozumieć, że Północ to dwa zespolone w jedno kawałki różnych światów? Teraz było jasne, skąd w Przygraniczu znalazło się tyle srebrnych i złotych carskich monet - miedziane też na pewno były, ale już je przetopiono. Sam przecież słyszałem, że w północnych ruinach nie tylko miecze i pancerze znajdowali, ale też strzelby z rewolwerami. Myślałem, że to brednie. Handlarze nieraz po moim powrocie z Północy pytali o stare księgi. Wiadomo już, czemu...

Przypomniałem sobie zasypane śniegiem gruzy, potworne zwierzęta, dziwne rośliny. Czyżby i nas czekał podobny los? Czy my także zmienimy się pod wpływem magii innego świata i wymarzniemy, darując tamtym kilka wieków ciepła? Ile to już lat ja sam żyję wystawiony na ciągłe promieniowanie? Ile lat magia przepełnia mnie, przenikając z jedzeniem, wodą, powietrzem? Jak dużo obcej energii osiadło w kościach, ile pływa jej we krwi? Jak bardzo się zmieniłem? Trzy lata to całkiem sporo. Jak to będzie, kiedy uda mi się wrócić do normalnego świata? Jeśli się uda...

- Słyszysz, co mówię, czy nie?

- Co? - Dopiero do mnie dotarło, że zębaty od jakiegoś czasu coś mi nawija na uszy. - Chodźmy, pokażę pokój.

- Najpierw zjemy.

- W takim razie poproście brata, żeby kogoś z wami wysłał. Jesteście mi winni dwanaście rubli.

- Zapłacimy jak przyjdziemy. - Nie miałem ochoty wydobywać z kieszeni paczki pieniędzy na oczach wszystkich. Może i jestem za bardzo podejrzliwy, ale...

- Dobra. Zjedzcie i przychodźcie.

- Na razie.

Kolację przynieśli może nie w ciągu obiecanych dziesięciu minut, ale i tak dość szybko. Wzięłam się za jedzenie, starając nie patrzeć na towarzyszkę podróży. Nie, żeby od razu pod wpływem spojrzenia wampirzycy kęsy stawały mi w gardle, ale przyjemne to nie było.

Nie można powiedzieć, żeby podawano tutaj jakieś wielkie porcje, ale zdołałam się najieść. W końcu jadłem za dwoje. Trochę kiełbasek i chleb zostawiłem sobie na rano. Żebym miał je jeszcze w co zawinąć. Dopilem herbatę, zacząłem się rozglądać.

Gości nieco przybyło. Jeden ze stołów zajęli krzepcy mężczyźni, zapewne ochroniarze któregoś z taborów. Trzech wyglądających na myśliwych wzięło butelkę samogonu i usiadło w dalszym kącie. A niedaleko od nas, złączywszy trzy stoły, rozsiedli się ludzie najwyraźniej doświadczeni przez życie - w różnym wieku, różnej narodowości, różnej budowy ciała. Łączyły ich twarze, wysmagane wiatrem, spłowiała na słońcu odzież i gorączkowo błyszczące oczy. Poszukiwacze złota. Aby to stwierdzić, nie potrzebowałem dedukcji Sherlocka Holmesa - po prostu dolatywały stamtąd urywki rozmów o cenach na samородki i warunkach ich sprzedaży w Forcie.

- Chodźmy - wysyczała wampirzyca, wstając.

- Ehe - mruknąłem.

Faktycznie należało już spadać. Ilora była jedyną kobietą w całym lokalu, a to mogło spowodować na nas kłopoty. Nie tyle obawiałem się o nią, ile o rzeźnię, jaką w razie czego mogła urządzić. A tutaj jeszcze na ulicy rozległa się wesoła muzyczka...

- Pozwolicie poprosić damę do tańca? - Jeden z ochroniarzy znalazł się natychmiast przy nas.

- Niestety, nie ma takiej możliwości - pokręciłem głową.

- Oczywiście, rozumiem. - Chłopak uśmiechnął się szeroko i lekko chwiejnym krokiem wyszedł na zewnątrz.

Wydobyłem od gospodarza torbę plastikową, wrzuciłem do niej resztki jedzenia, po czym za jednym z kelnerów poszliśmy do noclegowni.

Na ulicach dopiero rozkręcała się impreza. W towarzystwie ponurych osiłków i nerwowych facecików przechadzały się panienki o raczej mało pruderyjnych obyczajach, uliczni muzycy szarpali struny z całych sił, a chcący coś przekąsić dosłownie na każdym kroku mogli kupić najróżniejsze pierożki, z serem czy mięsem, u krążących w tłumie handlarzy. Naganiacze darli się ile sił, próbując zainteresować ludzi walkami bokserskimi, a bukmacherzy przyjmowali zakłady od kogo popadło.

Tak, prawdziwa zabawa miała dopiero nadejść, pracujących bowiem na razie było jeszcze prawie tyłu, co odpoczywających. Czeladnicy kowalscy nosili ciężkie worki z narzędziami,

zestawami podków i gwoździ od jednego zakładu do drugiego, lekarz spieszył się, żeby zdążyć odwiedzić wszystkich pacjentów przed zapadnięciem ciemności, szybko przebiegali chłopcy zatrudnieni jako kurierzy, kupcy kroczyli dostojnie w towarzystwie bodyguardów. Zaś zarówno ochroniarzy Karawanseraju, jak i kieszonkowców w ciżbie nie brakowało, bo jakże miałoby się bez nich obejść jakiegokolwiek święto?

Nie musieliśmy iść daleko. Kelner powiódł nas do pochylonego baraku i przekazał wprost do rąk złotozębego. Ten wskazał wydzielony kawałek pomieszczenia, odgradzony od ogólnej sali zasłoną. Dobrze chociaż, że na razie nie było tu zbyt wiele ludzi. Gospodarz potarł znacząco kciukiem o palec wskazujący.

- Poczekam na ulicy. - Widząc, jakim wzrokiem obrzuciłem barak, postanowił usunąć się nam z oczu.

Ilorza w milczeniu położyła się na jeden z materacy, rozłożonych wprost na podłodze, zamknęła oczy. Ależ miała nerwy! Po prostu i zwyczajnie nieludzkie nerwy. Bo ja, kiedy zauważyłem nad drzwiami podkową Przeklętych, struchlałem. Przecież powinna reagować na pojawienie się każdego nieludzia! A Ilorze to nie przeszkadzało. Weszła ot, tak sobie, nie mrugnęła nawet okiem. I artefakt nie zadziałał...

Dobra, trzeba rozliczyć się za nocleg i też pójść spać.

Chociaż warunki były dalekie od ideału, zdarzało mi się już gościć w gorszych bardakach. Najważniejsze, że sucho i ciepło. Wyjąłem plik dolarów, odliczyłem czterdzieści banknotów, wytarłem je o brudną podłogę, zmiąłem porządnie i zadowolony z uzyskanego efektu wyszedłem z baraku.

Zębaty z niezadowoleniem przyjął pieniądze, przeliczył i dopiero wtedy wpadł w gniew.

- Co mi tutaj za papierki wciskasz? Co mam z tym zrobić? Dawaj złoto!

- Jakiś problem? W Forcie weźmie je każdy kupiec!

A jeśli chcesz, w przedstawicielstwie Związku Handlowego wymienisz sobie na złoto. Wiem doskonale, że mają kantor w Świerkowym.

Gospodarz cmoknął, zwinął dolary, włożył je do kieszeni spodni i odszedł do swoich spraw, wskazując mnie przedtem ochroniarzowi przy wejściu.

- Opłacone ma do jutra, do ósmej.

Nie wracałem jeszcze do dusznego baraku, podszedłem do ławeczki stojącej pod bzm. Skoro mam trochę czasu, powinienem opracować dalszy plan działania. Bo, jak dotąd, płynąłem z nurtem niby kawałek tego, z czym rymuje się słowo „równy”. Tak nie powinno być. Ilorza nie zamieni gniewu na miłość, nawet jeśli odzyskam ten przeklęty klucz. A to znaczyło, że powinienem być przygotowany na wszystko.

Dopóki działało nałożone na mnie zaklęcie Opiekuna, byłem bardziej bezradny od ślepego kociaka. Na rozkaz sam sobie mogłem poderżnąć gardło. Kiedy nadejdzie czas, wampirzyca na pewno wymyśli specjalnie dla mnie coś niesłychanie wyrafinowanego. Co zatem robić?

Po pierwsze i najważniejsze, nie panikować. Opiekun Wiedzy powiedział, że potwora mnie nie ruszy. Dlaczego miałbym mu nie wierzyć? Przecież wyznaczono nam wspólną misję - uratowanie świata. Oczywiście, jeśli przyjmę, że nie pieprzył głupot, a nie mogłem wszak wykluczyć, iż opowiedział mi piękną, przekonywającą bajeczkę, żebym nie spierniczył. I nie spierniczę. A może jednak?

Oczywiście, tego w żaden sposób sprawdzić nie mogłem, ale pozostawało pytanie: dlaczego Opiekun i jego sprzymierzeńcy mają być zbawicielami? Przecież to oni nawarzyli tego piwa. To oni zrzucili nam na kark swoje problemy. Pewnie, nie mieli wielkiego wyboru, ale... Jeśli nawet kogoś zamierzają ratować, to przede wszystkim własną skórę i własny świat. Już dawno przekonałem się, że jakiegokolwiek by człowiek deklarował żelazne zasady, jeśli wejdzie się głębiej w jego intencje, zawsze wylezie z nich zasada „bliższa koszula ciału”.

Wychodzi na to, że im prędzej uda mi się zdjąć czary Opiekuna, tym lepiej. A przecież wiem, jak to zrobić. Uczyli mnie. Pozostawał tylko jeden problem - w ostatnim czasie czarowanie wychodziło mi nie lepiej niż przeliczanie w pamięci tablic logarytmicznych. Czyli - mówiąc prosto - wcale. A poza tym, czym niby wielkim dysponowałem? Nie do końca zapomnianym z czasów nauki w Gimnazjoni zaklęciem, mętnym pojęciem o procesie jego nałożenia i w dodatku brakiem energii. A mówiąc dokładniej, brakiem dostępu do mocy magicznych, bo sama energia nigdzie się nie zapodziała. Że też musiałem zgubić na bagnach łańcuch multiczaru! Nie byłoby teraz problemu.

Ale przecież musiało istnieć jakieś wyjście!

A co by było, gdyby tak przełożyć symbole czarowników na runy? Niepotrzebnie spaliłem kartkę z zasadami magii runicznej. Niepotrzebnie... Ale kto mógł wiedzieć? Tam coś było jeszcze napisane o „czystej” energii.

Gwizdać na to - źródło magicznej mocy dla wszystkich mamy to samo. I tej energii miałem pod dostatkiem. Pytanie tylko, jak uzyskać do niej dostęp.

Wyjąłem z pochwy przy pasie nóż, spojrzałem na ostrze.

Dam radę? Mam nadzieję...

ROZDZIAŁ 10

Iloraz zerwała mnie o szóstej rano. Kuląc się z zimna przez noc w baraku, mówiąc oględnie, nieco pochłodniało - zebrałem rzeczy i wyszedłem na ulicę. Jakie błękitne niebo... O czym to ja mówiłem? Ach, o tym, że pogoda ładna. To na plus. Ale słońce stało się już oślepiającą kulą, a to minus. Coś mi się dzisiaj niedobrego działo z oczami, a przecież nie mogłem powiedzieć, żebym się nie wyspał. Chociaż co to za spanie z wrogo nastawionym wampirem na wyciągnięcie ręki?

Od zbyt gwałtownego ruchu obrazek przed oczami zadrgał, a w skroniach załupało. Zatrzymałem się, oparłem o ścianę baraku. Iloraz popatrzyła na mnie podejrzliwie, ale nic nie powiedziała i poszła dalej. A niech sobie patrzy, od tego mnie nie ubędzie. Cichaczem poprawiłem przesiąkniętą krwią chustę, którą owinąłem lewy nadgarstek, a potem poszedłem za towarzyszką.

Mimo wczesnej pory życie w Karawanseraju nie to, żeby kipiało, ale nie tak bardzo odbiegało rytmem od wczorajszej wieczornej krzątaniny. Zmienił się tylko skład: na razie nie dało się zobaczyć szwendającej się beczynnicy po ulicach publiki, za to przybywało handlujących i pracujących. Rozpalano ogniska, gotowano jedzenie, w taborach sprawdzano oporządzenie przed dalszą drogą, koła wozów, uprząże i broń. Ktoś biegł z wiadrem wody, ktoś niósł obrok dla koni. Jak to mówią: „Kto rano wstaje, temu pan Bóg daje”. Właśnie...

Przełożyłem do lewej ręki torbę z resztkami wczorajszej kolacji. Jakoś rano nie mogłem nic przełknąć, ale do obiadu na pewno zgłodnieję. Zatrzymałem Iloraz, która zmierzała w kierunku wyjścia z Karawanseraju.

- Poczekaj, trzeba wziąć wody.

Dobrze, że sobie w czas przypomniałem. Butla przecież pusta, a po drodze znaleźć można zaledwie jedno lub dwa sprawdzone źródła. Z kałuży przecież pić nie będę, bo to niezły hazard.

Ziewający na całego chłopak zdarł ze mnie sto dolarów, machnięciem kija zmusił osła zaprzęzonego w kierat do zrobienia kółka, a potem podstawił butelkę pod zardzewiałą rurę.

Na szczęście, w odróżnieniu od rury, woda okazała się czysta - jeśli wierzyć treści ogłoszenia, czerpano ją z pokładu umiejscowionego na głębokości stu metrów.

Odpiłem z butli, żeby sprawdzić smak, a jednocześnie splukałem z ust suchy osad. W porządku, teraz można żyć. Czemu mnie tak od samego rana dopadło? W lewej ręce strzyka, ledwie stoję na nogach.

Też pytanie, wiadomo, czemu...

Opuściliśmy Karawanseraj, skierowaliśmy się w stronę Sokołowskiego. Po dojściu do rozwidlenia trzeba będzie skierować się na północ. Miałem takie nieprzyjemne wrażenie, że będziemy zmuszeni wejść na terytorium Mglatego, a tam nie ma normalnych dróg. Przy odrobinie szczęścia będziemy mogli przebijać się, korzystając ze ścieżek zwierzyny.

Włożyłem rękę do kieszeni kurtki, namacałem kolbę pistoletu. Schować go do kabury? Nie, nie należy: w tej chwili było jeszcze zimnawo, rozpiąć się nijak, bo zawieje. A zanim poradzę sobie z guzikami, zanim wsunę rękę za pazuchę... Niech zostanie w kieszeni.

Wiaterek przeczesał falą wysokie łodygi pszenicy, zwracając moją uwagę na brodzącego po polu człowieka. Zatrzymywał się to tu, to tam, a z podniesionych ku niebu rąk zaczynała wtedy ściekać niewidzialna dla zwykłego oka energia. W miarę jak szedł, ochronna pólfera okrywająca pole zaczynała nabierać coraz intensywniejszego szmaragdowego odcienia. Agromag przy pracy. Najwidoczniej wykorzystuje naturalne strumyki energii, żeby wzmocnić siłę zaklęć.

To dlatego magowie w większości mieszkają po wsiach i siołach. Gdzie w mieście znaleźliby lepszy poligon wielkości dziesięciu boisk piłkarskich? No i poważanie tu mają jak należy. A jakże inaczej? Człowieka, który potrafi ogrzać pole podczas kwietniowych mrozów trzeba szanować i dbać o niego. Temu towarzyszowi też dali osobistą ochronę - na przeciwległym krańcu pola stała furmanka z trzema uzbrojonymi wieśniakami.

Przyspieszyłem, dogoniłem wampirzycę i poszedłem obok niej. Niby nie szedłem w samotności, a nie miałem do kogo gęby otworzyć. To nic, nie ma się co przyzwyczajać do towarzystwa, a wampirzyca niech lepiej pysk trzyma na kłódkę, bo na widok jej zębów człowieka przechodzą dreszcze. Za każdym razem mam wizję, że przegryza mi gardło. Okropność!

A droga była dobra i krzaki wykarczowane na pięć metrów od poboczy. Czyżby mieszkańcy chutoru tak zadbali? Bardzo dobrze. Idziesz i nie zastanawiasz się, jakie cholerstwo wyskoczy zaraz z gęstwiny.

„Nie obawiaj się najmilsza, mam na szyi tylko krew... „Coś takiego, myśli krążą wokół jednego! Zmęczyłem się, a nikt już nie podwiezie. Na pewno. Minęły nas dwie furmanki, ale

woźnice tylko pognali konie. Nic dziwnego. Z dwoma podejrzanymi, uzbrojonymi cudakami nikt nie ma ochoty się zadawać. Po co kusić los?

A wampirzyca szła jakby nigdy nic. Mechaniczna lalka, normalnie. Ja też szedłem podobnie, ale najwyraźniej moja sprężyna rozkręciła się już do końca.

W dodatku zaschło mi w gardle, oczy łzawiły, a lewy nadgarstek sprawiał wrażenie, jakby ktoś nalał do środka ołowiu. Jeszcze mi mózg nie zaczął wyciekać przez uszy, ale to też było tylko kwestią czasu. Chód miałem taki, jakbym niósł na grzbiecie coś ciężkiego. Przedmioty dookoła nabrały jakichś dziwnie ostrych konturów. Ogólnie czułem się po prostu fatalnie. Szczególnie zresztą też. Nie ku dobremu szło to wszystko, nie ku dobremu. Czułem, że przesadziłem z wczorajszym eksperymentem.

I co, naprawdę nikt nie podrzuci? Nie, tym bardziej, że było już widać Sokołowski. Od teraz w ogóle trzeba będzie zasuwać piechotą; mało kto wybierał drogę na północ, bo na stepie znajdowały się jeszcze dwa chutory, a potem zaczynało się Mgliste. To zaś znaczyło, że trzeba będzie się tam o wiele baczniej rozglądać. W rejonie, gdzie jeżdżą ludzie, można sobie pozwolić na odprężenie, ale w głuszy łatwo się natknąć na jakieś głodne bydlę.

Nowicjusze zawsze są zdumieni, bo jak to tak gdzie ludzie są, tam i żarcia więcej, i spokojniej, a gdzie nie pojawiają się całymi tygodniami, różne potwory można znaleźć pod każdym krzakiem. A przecież to jak najbardziej zrozumiałe. Na ruchliwych drogach wszystko dawno wytłuczone i zabezpieczone, gdyż i kupcy wiozą ze sobą cały arsenał, i Patrol często obławuje urząda. A w odludne miejsca nikomu nie spieszy się leżeć.

Czym żywią się te wszystkie monstra? A kto to wie?

Mogę powiedzieć na pewno tylko jedno - nie ludźmi. Nie ma w Przygraniczu tyle narodu. No i w menu drapieżników człowiek nigdy nie stał na pierwszym miejscu. Na drugim też. Zwierzęta po prostu starają się ludzi unikać, a jeśli nie, to tylko w czasie wielkiego głodu.

A różne diabelstwo w ogóle żywi się w inny sposób.

Taki grabarz albo inny stwór z piekła rodem może wyczekiwać na ofiarę miesiącami. Zaś nieostrożnego wędrowca nie tyle zeżrą, co wyciągną z niego duszę. Dlatego nikt nie snuje się w głuszy, nikt się nie pęta po zachodzie słońca, a szczególnie zimą. Teraz to dobrze pomioty Mrozu znikły, ale podczas chłódów, jeśli trafi się pochmurna aura, potrafią wyłazić nawet za dnia. Niezbyt często wprawdzie, ale tak bywa.

Na rozstajach skręciliśmy w lewo. „A my pójdziemy na lewo”.

I tak właśnie przez całe życie. Na lewo i na lewo.

Żeby chociaż raz zrobić coś rozsądnie.

A cóż to się dzieje? Zaczynają się majaki? Z trudem podniosłem do twarzy ciężącą lewą

rękę. Na drogę upadła kropla krwi. Szlag by to! Trzeba zrobić postój i zobaczyć, co z raną. Tylko kiedy?

Ilorza zatrzymała się tak nagle, że o mały włos byłbym na nią wpadł. Coś się stało?

Cholera, gdzie ja miałem oczy?

Przy samym zjeździe na Sokołowski stały dwie furmanki, obok których krzątało się mrowie wieśniaków.

I dobrze, żeby to tylko wieśniacy, lecz w tłumku mignęła czarna sutanna kapłana, a doskonale widoczne wewnętrznym okiem migotanie otulało stojącego na uboczu czarownika. Odwrócony plecami do wiatru i rozpalający fajkę mężczyzna nie był kim innym, jak lekarzem. Znałem go.

Zdaje się, że zaszło tam coś poważnego. Ale to wszystko pół biedy: w naszą stronę już skierowali się dwaj uzbrojeni w dubeltówki funkcjonariusze miejscowej milicji. Ubezpieczał ich facet z kuszą.

Jasne - coś się zdarzyło, a tutaj zjawili się obcy, w dodatku z bronią. Coś takiego trzeba koniecznie sprawdzić. Tośmy wdepnęli. Prostym ludziom może wampirzyca umysły mącić do woli, ale kapłan od razu ją rozgryzie. A z czarownika też przecież nie prostak.

Cholerstwo! Takiej ciźbie nijak uciec. Złapią i wrzucą do ognia. Nikt przecież nie uwierzy, że nie wiedziałem, z kim podróżuję.

- Zostań tutaj. - Podałem torbę wampirzycy i wyszedłem na spotkanie miejscowym.

Jeśli zdołam ich zagadać, może nie zwrócą uwagi na Ilorę. Miałem w każdym razie jakieś szanse. W Sokołowskim bywałem nieraz po służbie, więc bez problemu powinienem znaleźć wśród obecnych jakiegoś znajomka. Lekarz na pewno mnie nie rozpozna, ale żołnierze zazwyczaj mają lepszą pamięć do twarzy.

- Coś się stało?

- Pozwólcie z nami. - Niewysoki mężczyzna spojrzał za moje plecy. - I zawołajcie waszą towarzyszkę. - Dajcie spokój, przecież to nie oni. - Drugi zarzucił strzelbę na ramię. - Służbowo do nas?

- Nie. Załapałem taką chałturkę. - Przypomniałem sobie tego dobrze zbudowanego człowieka. Kiedy tamtego lata nająłem się do ochrony taboru, właśnie on radził mojemu pracodawcy, żeby wzmocnić eskortę. A tamten nie posłuchał rady. I źle zrobił. A mojej towarzyszce, tak sobie myślę, nie ma tam na co patrzeć.

- Dochałturzysz się kiedyś, nie ma co - skrzywił się osiłek.

Jak mu było? Tola? Chyba tak.

- Gdzie się podział, Anatoliju? Normalne przecież, że codziennie człowiek jeść musi,

trzeba więc trochę się zakręcić.

- Myślałem, że ty do swoich, do obozu.

- A co, ktoś od nas zatrzymał się w chutorze? Ależ miał pamięć! W zeszłym roku była rozmowa, a ten nie tylko twarzy nie zapomniał, ale i tego, że chodziłem w Patrołu!

- Obóz jest dalej. Zabezpieczają drogę z Miasta do Łudina. A u nas mają magazyn.

Podeszliśmy do stłoczonych przy furmankach wieśniaków. Niezbyt głośny szum tłumu zagłuszał kobiecy płacz i zawodzenie. Kapłan podszedł do lekarza, zaczął go półgłosem o czymś przekonywać, ale ten tylko kręcił obojętnie głową.

Na drodze, z podłożonym pod głowę pustym workiem, leżał biały jak kreda brodaty mężczyzna około czterdziestki. Spod rozpiętej koszuli było widać kłutą ranę brzucha. Pochylony nad nim milicjant uważnie oglądał ślady na skórze. Obok płakała kobieta, przytulając do piersi pięcioletnią dziewczynkę. Ubrane były w skromne sukienki i pocerowane bluzeczki. Mąż i żona z córką?

- Co się stało? - spytałem Anatolija,

Dlaczego uzdrowiciel stoi z boku? Rana jakaś nieładna. Krwi prawie nie ma. Wygląda na to, że nastąpił krwotok wewnętrzny. Jeśli teraz nikt nie zajmuje się leczeniem, to znaczy, że mężczyzna jest nieboszczykiem.

- Rozbój. - Milicjant odwrócił się. - Ten biedak rzucił się do bitki i oberwał nożem w bebechy.

- Pomóżcie, ludzie! - wykrztusiła kobieta przez łzy. - Niech ktoś się zlituje, przecież on jeszcze żyje! Pomóżcie!

Wszyscy odwracali tylko oczy. A to znaczyło, że ranny jest obcy, pieniądze, jeśli jakieś miał, zabrali bandyci, a lekarz nie zamierzał się zajmować działalnością dobroczynną. Jego prawo, ale chłop faktycznie konał. Wszyscy mieli to w dupie. Ja, prawdę mówiąc, też...

- Taras, bądźże człowiekiem. - Kapłan spojrzał karcąco na lekarza. - Nie gub duszy.

- A czym wykarmię rodzinę, jeśli wszystkich zacznę leczyć za darmo? - Taras zacisnął zęby, opróżnił fajkę i podniósł z drogi sakwojaż.

Kobieta, pojmując, że nie doczeka się pomocy, padła na kolana.

- Pomóżcie...

Wszyscy stali i patrzyli na nią, jak krowa na pociąg, Nie chcecie pomóc, idźcie do swoich spraw. Czego to się gapić?

Nieoczekiwanie dla samego siebie, wyjąłem z kieszeni kurtki plik dolarów, rzuciłem Tarasowi.

- Lecz.

- Ale... - Lekarz sprawdził palcem liczbę banknotów. - Mało trochę.

- Bój się Boga! - zmitygował go kapłan.

Nie wiem, co wreszcie zagrało - wyrzut w oczach duchownego czy groźba w moich - ale łapiduch położył torbę na drodze, szczerknął zamkami i zaczął przekładać zioła.

Splunąłem, zacząłem przeciskać się przez tłumek.

Przykro mi się zrobiło. Co z nas za ludzie? Umarłby biedak zupełnie bez pomocy. Ani ksiądz, ani lekarz, ani miejscowi by się nie ruszyli. Wszystkim szkoda pieniędzy.

Tak, szkoda! Mnie też. Prawie osiemnaście rubli straciłem! Szkoda mi było forsy, a od tego poczułem się jeszcze gorzej. W sumie, spełniłem dobry uczynek, a miałem wrażenie, jakby mnie kto opluł. Nie z przyczyny oddanych dolarów, ale dlatego właśnie, że mi ich żal. Nie postąpiłem tak z czystego serca. Dlaczego więc? Niechby mi kto powiedział. Może się wczoraj czegoś najadłem? Cholera, sześć ton baksów! Kurna macana!

Dobra, gdzie Ilora? A, jest. Mądra dziewczynka; kiedy rozmawiałem, minęła zjazd do chutoru, odeszła sto metrów dalej. Doskonale.

- Nie spotkaliście po drodze kogoś podejrzanego? - Dogonił mnie Anatolij.

- Na przykład?

- Trzech gości o słowiańskim wyglądem, średnie - go wzrostu, jasne włosy. Jeden ogolony, dwóch z wąsami. I dziewczyna z nimi, smągła, małolata.

- Nie, nie widziałem - przypomniałem sobie wszystkich widzianych tego dnia i na wszelki wypadek zapytałem: - Jak uzbrojeni?

- Obrzyn, szable.

- Rozumiem - wyciągnąłem rękę. - Spotkam, do ciebie wyślę.

- Obowiązkowo. Bywaj.

- Powodzenia.

Dogoniłem Ilorę, odebrałem od niej torbę z jedzeniem, wyjąłem pieczoną kiełbasę i zacząłem jeść, idąc. Obrzydliwie mi źle. I wciąż gorzej. Lewa ręka ciążyła z każdą chwilą bardziej, a nadgarstek zaczął mocniej rwać. Czyżby znów poszła krew? Dojadłem kiełbasę, wytarłem tłuste palce w nogawkę i obejrzałem opatrunek - nie dostrzegłem nowych plam.

Wąska, porośnięta trawą droga zaczęła wic się między niewysokimi wzgórzami.

Nie podobała mi się ta okolica. Odludzie. Chociaż Tola mówił przecież, że nasi rozbili obóz przy drodze na Łudino. Czyli powinni często bywać w Sokołowskim. I słońce już wysoko. Nie, wątpliwe, żeby ktoś z mieszkańców lasu wybrał się teraz na drogę. Bo i po co? Jedzenia wśród drzew dosyć w pełni sezonu. Więcej było szans na to, że mogę się natknąć na dawnych kolegów, a tego bym nie chciał. Nawet nie ze względu na wampiryzę, ale na tamte

sławetne dobra materialne wartości dziewięciuset rubli złotem. Nie wiadomo przecież, kto dowodzi oddziałem. Nie uwierzy papierom o przeniesieniu do Drużyny i witaj, kompanio karna, nikt i nic mnie nie uratuje. Nie przypuszczam, żebym był Ilji jeszcze potrzebny.

Z pewnością wina leżała po mojej stronie. Zbyttno się odprężyłem. Uważałem, że wampiry czujnością biją ludzi na głowę i że to Ilora pierwsza dostrzeże zagrożenie. Pewnie by tak było, gdyby nie sławetne „żółte przekleństwo” nad głową.

A i miejsce na zasadzkę zostało wybrane wyjątkowo fortunnie. Za kolejnym zakrętem z przodu pojawiło się zarośnięte wysoką trawą pole, po którym hulał lekki wiaterek. A niewielka polana, ukryta za rosnącymi na poboczu krzewami, pozostawała jakby z tyłu, zupełnie nie rzucając się w oczy. Bardzo wygodne miejsce: jedzie ktoś groźny, siedzi się cicho. A trafią się zwyczajni ludzie, można ich przyhaczyć. Właśnie tak zdarzyło się nam.

- Patrol, oddział lotny. Proszę przygotować pozwolenie na broń. - Jasnowłosy facet, niezbyt solidnej budowy ciała, zatknął kciuki za pas, z którego zwisała pochwa z długą szablą i dwa noże.

Za nim majaczył kudłaty, wąsaty grubas z makarowem w łapie. Włosy miał jasnorude, wzrost średni, ubrany był w skórzaną kurtkę i postrzępiony mundur polowy.

Z lewej chrupnęła gałązka, spojrzałem tam zezem, zobaczyłem celującego do mnie z obrzyna młodziaka z podbitym niedawno okiem.

Tak, miejsce chłopaki wybrali znakomite, ale mieli cokolwiek mało doświadczenia. Dlaczego ten półniedźwiadek nie został w krzakach? Po kiego wylazł? Miałem do niego nie dalej niż pięć metrów.

- Dokumenty? A już, w tej chwili. Z papierami u nas wszystko w porządku, nie ma obawy. - Rzuciłem torbę z resztkami jedzenia pod nogi, chwyciłem za ramię karabinu. Mężczyźni drgnęli, a ten z pistoletem nerwowo podrzucił lufą. Przerzuciłem broń na lewe ramię.

Typ z podbitym okiem uśmiechnął się, podniósł obrzyn lufą do góry. Rączka zabolęła? Błąd... Gość z szablą podszedł do mnie, a jego dłoń spelzła ku rękojści noża.

Rozpiąłem zamek błyskawiczny, wsunąłem dłoń do kieszeni kurtki i wyciągając pistolet, przesunąłem bezpiecznik. Ten z nożem zgłupiał tak, że odskoczył w bok.

Podrzuciłem rękę, strzeliłem w łeb brzuchaczowi, który zbyt późno połapał się w sytuacji i nie zdążył użyć makarowa. Kula trafiła go między oczy, zwałił się na ziemię. Bandyta, który przedstawił się jako patrolowy, otrząsnął się, machnął nożem i skoczył na mnie, ale dwa strzały zbiły go z nóg.

Odwrociłem się, wycelowałem w młodziaka z obrzynem, ale, tak jak się spodziewałem,

nie było potrzeby marnować amunicji - osunął się już na ziemię ze zmiażdżoną tchawicą. Ilora zamarła obok niego, odrzuciła kaptur i wpatrzyła się w napięciu w przydrożne zarośla. Co jeszcze?

Zatrzeszczały gałązki, chwyciłem za karabin. - Strzelaj - syknęła wampirzyca.

Gdzie strzelać? Nic nie widziałem, a poza tym trzask ucichł.

- Strzelaj!

Pojmując, że za chwilę będzie za późno, nacisnąłem spust. Może kogoś trafię.

Szcęk.

Niewypał? Bardzo nie w porę. Ilora zaprezentowała się w całej swojej wampirzej krasie. Trzeba stąd zmykać. - Mięcho! Bezmózgie mięcho! - warknęła na mnie.

- Jak jesteś taka mądra, sama coś zrób! - nie pozostałem dłużny, oglądając karabin.

- Będę musiała. - Jej głos był tak nabrzmiały złością i groźbą, że przeszły mnie ciarki. Odtaszczyła na polanę chłopaka z rozerwanym gardłem, odchyliła głowę bandyty, wbiła się kłami w jego szyję.

Położyłem karabin na torbie z jedzeniem i poszedłem zobaczyć, co z postrzelonymi rabusiami. Obaj już byli gotowi. Ale trzeci zdążyłby mnie dopaść, tak że powinienem cieszyć się z bojowych talentów wampirzycy.

Cieszyć się można, ale czy powinienem? Ogarniał mnie coraz większy niepokój. Byłem pewien, że sekunda, w której przestanę być potrzebny Opiekunowi Wiedzy stanie się ostatnią w moim życiu. Ilora mnie rozerwie, co do tego nie mogło być wątpliwości. Czyli powinienem zrezygnować z takiej niefortunnej kompanii jak najszybciej. Zaraz. Dopóki mam jeszcze jakieś szanse.

Spojrzałem na pochyloną nad bandytą Ilorę.

W oczach od razu mi pociemniało, a w kręgosłup wbiły się lodowate igły krępującego wolę zakłęcia.

Cicho, cicho. Nikt tu nikogo nie zamierza zabijać.

Tak tylko popatrzę, co z nadgarstkiem, to wszystko.

Pod zawiniętym rękawem i nasiąkniętą krwią chustką ukazały się krwawiące nacięcia. Mimo wylanego na nie samogonu okazało się, że są rozpalone.

Wszystko pasowało, o niczym nie zapominałem. To co, ostatnia krecha? Wyjąłem nóż i powtórzyłem kolejność działań niezbędnych do aktywacji potrzebnego zakłęcia. Dobrze. Nie brakowało niczego, prócz końcowego nacięcia. Nie brakowało mojej krwi, która zawierała tak potrzebną do nałożenia czaru energię. Nie brakowało niczego prócz tego ostatniego ruchu...

Koniec noża rozpruł skórę i zamknął łańcuch wyciętych magicznych symboli. Z otwierających się na nowo nacięć popłynęła krew. Nadgarstek przeszył ostry ból, a wyciekająca zamiast krwi magiczna energia wzburzyła się i kierowana wykonanymi na skórze symbolami, przeniknęła mnie całego. W głowie dosłownie poczułem wybuch, na chwilę straciłem świadomość, wylana na drogę krew zapłonęła zimnym ogniem. W tym momencie nadgarstek zamroziło, a rany przestały krwawić.

Stojąc na czworakach, kręciłem głową i powoli przychodziłem do siebie. Teraz myśl o wyprawieniu Ilory do piekła nie budziła poczucia dyskomfortu. Może tylko strach. To nic, jeśli boisz się wilków, nie chodź do lasu.

Wyjąłem z pochwy ukrytej w lewym rękawie uniwersalny kindżał - jeśli nie jest tak doskonały, jak zapewniał sprzedawca, to mój przedwczesny zgon obciąży jego sumienie. Stop, nie myśleć o tym. Wstałem, podszedłem do zajętej wysysaniem krwi wampirzycy i spokojnie wsadziłem zębate ostrze pod jej lewą łopatkę. Czy zrobiłbym to zresztą pod prawą, czy lewą, bez różnicy, bo ten stwór miał dwa serca. Po prostu zwyciężyła siła przyzwyczajenia.

Spadam!

Ilora wyprężyła się, odrzuciła ciało bandyty na dobre dziesięć metrów, chwyciła długa łapą za kindżał, ale zdołała tylko odłamać rękojeść.

Ciekawe, czy ekstrakt w amulecie potrafi zsintetyzować osinę?

Ta myśl przeleciała mi przez głowę, kiedy pędziłem z całych sił, byle jak najdalej od szalejącej wampirzycy. Przenikliwy krzyk uderzył mnie w plecy, usłyszałem z tyłu szybkie kroki. Odskokić w bok udało mi się w ostatnim momencie, a Ilora przeleciała bezwładnie obok. Czyżby jad zaczął działać?

Wielkich szans ucieczki nie miałem, wydobyłem więc pistolet, wpakowałem w kobietę kulę po kuli, do końca. Pociski zbiły ją z nóg, dzięki czemu zyskałem czas, żeby wymienić magazynek.

Ilora skoczyła ku mnie, ale nie mogąc utrzymać równowagi, runęła na drogę twarzą w dół.

To już wszystko? Tak wyglądało. Rany po kulach nie zasklepiały się i chociaż nie wylała się z nich nawet kropla krwi, w miejscu, gdzie tkwiło ostrze kindżału, materiał zaczął przesiąkać nieprzyjemnie pachnącą burą cieczą.

Nie odważyłem się podejść bliżej do ciała, pognałem po pozostawiony karabin, porwałem z ziemi broń i torbę z resztkami jedzenia, wbiegłem między krzaki.

Wprawdzie przedzierając się przez las nadłożyłem drogi, ale teraz nie miałem się dokąd

spieszyć. Jeśli będzie spokojnie, wróć na trakt, bo po lesie też nie należy plątać się bez wyraźnej potrzeby.

A jednak musiałem jeszcze bardziej zagłębić się w gąszcz drzew, kiedy mijałem rozłożony wśród pól obóz Patrolu. Jeśli dowódca oddziału nie był kompletnym kołkiem - a takich, co by o tym nie myśleli szeregowcy, za moich czasów nie bywało - powinien wystawić ukryte posterunki oraz porozsyłać lotne patrole. A ja naprawdę nie powinienem się teraz spotykać z dawnymi znajomkami. Wręcz przeciwnie, dla zdrowia ciała i duszy musiałem trzymać się od nich jak najdalej. Owszem, kusiło, żeby choć jednym okiem zerknąć na obóz, zobaczyć, jak się urządzili. Ale pokusy są nam dane po to, aby im nie ulegać. Ciekawość, jak mówią, to pierwszy stopień do piekła.

Spocony po szybkim biegu, zwałem się pod drzewami na dywan zbutwiałych liści, spojrzałem na drogę do Łudina. Nikogo, najmniejszego ruchu. Nie zamierzałem czekać aż się ściemni, do tego czasu powinienem dotrzeć do Granicy z Mglistym. I na pewno dotrę - nie zostało już wcale tak wiele do przejścia. Najpierw trzeba przebiec przez drogę, potem będzie sosnowy bór, pole i od razu Granica. A dalej? Dalej to już jak wypadnie. Zapiski konduktora nie odznaczały się specjalną przejrzystością, ale miałem nadzieję, że na miejscu zorientuję się, co i jak. Wielką nadzieję... Gdyby się nie udało, byłbym zmuszony iść do Siewieroreczeńska poszukać odpowiednich ludzi.

Klnąc cicho pod nosem, potarłem doskwierający nadgarstek. Nacięcia stały się już prawie niewidoczne. I doskonale, bo może okoliczności zmuszą mnie jeszcze do użycia czarów, a tak przynajmniej nie będę cały w bliznach. Ale swoją drogą to dziwne. Przecież w zasadzie, jeśli idzie o samą ideę, powtórzyłem zabiegi, jakich dokonywał na mnie Jean, a po których na prawym przedramieniu do tej pory czerniały wzory, jakbym miał tatuaż.

Nasuwało się jeszcze jedno pytanie - skoro tak się nasączyłem energią magiczną, to co ze mną będzie w normalnym świecie? Jakie pociągnie to za sobą skutki? Po tamtej stronie nie istnieje przecież naturalne promieniowanie mocy. Czy magia z obcego świata stała się już moim naturalnym środowiskiem, czy jeszcze nie?

Niedługo się pewnie przekonam, a teraz nie ma co o tym rozmyślać, bo w zupełności wystarczy innych problemów. W dodatku karabin zawiódł. Miałem nadzieję, że przynajmniej strzelba działa. Chyba że posiadały wspólną automatykę. Na dodatek nie było jak tego sprawdzić.

A właściwie, dlaczego nie sprawdzić? Zaraz rozładuję., Dobrze już, nie ma co szaleć. Do Granicy zostało naprawdę niewiele.

Westchnąłem, wyjąłem ostatnią kiełbasę. W torbie coś się tam jeszcze majtało, ale nie

zamierzałem taszczyć wszystkiego ze sobą. Lepiej tutaj zostawić. Jak by co, zawsze mogę wrócić. Chociaż, nie, w żadnym wypadku nie zamierzałem wracać.

Strzepnąłem z rękawa dużą mrówkę, odetchnąłem kilka razy głęboko, upewniłem się, że nikogo nie ma w polu widzenia, po czym przebiegłem drogę.

Do Granicy dotarłem po czterdziestu minutach, zatrzymałem się na skraju sosnowego lasu, popatrzyłem na powietrze kolebiące się nad polem. Przestrzeń wyczyniała tam swoje niepojęte zabawy, przez co rosnący już na terytorium Mglistego las zdawał się to przybliżać na wyciągnięcie ręki, to oddalał się tak bardzo, iż przypominał rozmytą plamę.

Nie było co szukać innych niestabilności w Przygraniczu. To wprawdzie tylko Granica wewnętrzna, ale trzeba było jeszcze do niej dotrzeć. Nie warto jednak leżeć na rympał. Raz podczas patrolu podszedłem do tego zjawiska i mało nie osiwiąłem. Energią tam kipiało aż do obrzydzenia. Już na tej Granicy może rozerwać człowieka na sztuki. Lepiej po cichutku poszukać szczeliny. Przesączyć się tylnym wyjściem, jeśli można się tak wyrazić.

Podjąłem ostateczną decyzję, wyszedłem z boru i ruszyłem przez pole. Jeśli nie dam rady wrócić do normalnego świata, pójdę poszukać noża. Nie zejdem przecież zbyteń z właściwej drogi.

W razie czego od razu biorę nogi za pas i do Siewieroreczeńska. A na noc będę się zatrzymywać tylko w dużych osiedlach. Inaczej gotów mnie odszukać Opiekun i zrobić ze mną coś nieładnego w rodzaju wiwisekcji albo częściowego zamrożenia. A co? Towarzysz trzeci tylko wygląda na bezpłciowego, a w istocie rzeczy jaja ma może nie żelazne, ale wytoczone z lodu. Nawet Ilorę nieboszczkę - miałem nadzieję, że nieboszczkę - potrafił okiełznać. A jeśli Opiekun jest w istocie rzeczy kobietą to jeszcze gorzej. Królowa Śniegu w porównaniu z nim to zaledwie królowa Śnieżka.

Dobrze, że przynajmniej można się nie obawiać sług Mrozu. Cholera, trzeba było tę przeklętą piramidkę już dawno wypieprzyć. Co za paskudne przyzwyczajenie tak ze sobą byle chłam taszczyć!

Jak zawsze przy przejściu Granicy poczułem lekki prąd przeciwny, zgęstniałe powietrze stawiało opór, a stopy stawały niezupełnie tam, gdzie się człowiek spodziewał. Po skórze przebiegły ciarki, w oczach na chwilę pociemniało i znalazłem się po kolana w śniegu na wąskim pasku między terytorium Fortu a Mglistego. Ale zimno! I jak zawsze tutaj - noc.

Czarne niebo, punkciki gwiazd...

Niebo rzeczywiście było zupełnie czarne, a duże gwiazdy ledwie zauważalnie migotały zielonkawymi iskierkami.

Otrząsnąłem się, wypuściłem z ust obłok pary i zrobiłem dwa kroki w przód. Potem

jeszcze jeden. Las po tamtej stronie znalazł się nagle tuż przy mnie. I - co charakterystyczne - nie czułem żadnego wstecznego ciśnienia. Niedobrze, bo przecież czytałem, że trzeba wybierać drogę w stronę największego oporu.

A gdyby spróbować pójść z powrotem? Znów to samo - las wydający się już tylko wąską linią na horyzoncie, zbliżył się na najwyżej pięć kilometrów.

Zimno zaszczypało w uszy. Szlag, jeszcze trochę, a zamarzę! Podniosłem kołnierz kurtki, wciągnąłem szyję w ramiona i zakręciłem się w miejscu, obserwując otoczenie. Nigdzie nie widać drzwi z napisem „EXIT”? Niestety. Ale chociaż nie znalazłem tych drzwi, zobaczyłem przynajmniej coś, na co przedtem nie zwracałem uwagi. Pas zasypanej śniegiem ziemi ciągnął się między przestrzeniami Fortu i Mglistego.

A co będzie, jeśli pójdę po nim? Tylko jaki wybrać kierunek? A, co tam, zaryzykuję w lewo. Taki już mój los.

Poszedłem po śniegu wzdłuż Granicy i poczułem, że każdy następny krok wymaga coraz większego wysiłku. Zaczęło mnie znosić na boki. Miałem wrażenie, jakbym szedł pod prąd bystrej rzeki, a nurt targał mną to ku jednemu, to ku drugiemu brzegowi.

Zimno też stawało się z każdą chwilą dotkliwsze.

Mróz przenikał na wskroś, a szron, w jaki zamieniał się oddech, osiadał nawet na rzęsach. Tylko srebrny łańcuszek z krzyżykiem palił skórę, Krok - mrozący oddech mrozu. Krok - zwalające z nóg uderzenie rozszalałej przestrzeni. Krok - przenikające ciało igły lodu. Krok - zderzenie z bryłą granitu.

Przypomniałem sobie zepchnięte do podświadomości koszmary o pogrzebaniu na dnie morza chłodu, zaczęła mnie ogarniać panika. Jednak szedłem wciąż naprzód, wbrew sobie. Wszystkie siły traciłem na to, żeby wyrwać but ze śnieżnej niewoli, wyrzucić zrywem nogę, by zrobić krok właśnie tam, gdzie nie puszczą kurcząca się przestrzeń. Do przodu pchały mnie nie wiara w powodzenie i pragnienie wyrwania się do normalnego świata, ale strach i upór.

A jeśli nie dam rady zrobić tego jeszcze jednego, jedyne kroku? Nie, skoro przeszedłem już tyle, ten krok okaże się na pewno ostatnim. Nie? W takim razie następny już na bank!

I tak za każdym razem. Za każdym razem musiałem toczyć walkę z samym sobą. Za każdym razem przełamywać się w największym trudzie. Za każdym trudem zaczynać wszystko od początku.

Poczułem, że nie mogę się ruszyć, spojrzałem w dół i zobaczyłem, że srebrna nakładka na czubku buta świeci oślepiającym blaskiem. Nogę porwało w bok, przewróciłem się. Błysk i ciemność...

... Ocknąwszy się, przez dłuższy czas nie mogłem pojąć, gdzie się znalazłem. Że w lesie, to widziałem doskonale. Żeby dojść do takiego wniosku nie trzeba było mieć umysłu geniusza - wokoło miałem drzewa i trawę, Nie chodziło o to, co mnie otacza, ale gdzie to jest. Tutaj czy tam. A dokładniej: gdzie jest to tutaj? Wciąż przebywam w Przygraniczu, czy wyrwałem się do normalnego świata?

Odpowiedź na to pytanie mogła dać zwyczajna obserwacja. Wystarczyło stwierdzić, czy otaczająca mnie przyroda posiada charakterystyczne wyłącznie dla Przygranicza formy flory i fauny. Kurwa mać! Jest. Tam kocie łzy, a na drzewie szary mech.

Diabli! Ni czorta nie wyszło! Chociaż, dlaczego niby nie wyszło? Eksperyment można w sumie zaliczyć do udanych - zasady przejścia między światami zawarte w notatkach konduktora potwierdziły się na sto procent. Wyrzucić mnie stamtąd wyrzuciło, bo przecież nie odzyskałem przytomności na Granicy. I wiedziałem nawet, dlaczego stało się tak, a nie inaczej - krok postawiłem nie tam, gdzie trzeba. Nie dotarłem do wyjścia...

A właśnie, co z butami? A niech to! Srebrne nakładki całkiem ścięło. Na podeszwie zostały jedynie zwęglone ślady. Cóż, za to przekonałem się, dlaczego konduktorzy nie przenoszą srebra. Tylko łańcuszek z krzyżykiem ocalał. Dziwne.

Nie wiedziałem nawet, co wzbudziło moją czujność: trzask gałązki, uchwycony kątem oka cień, czy też może po prostu szósty zmysł wyczuwający czyjąś obecność. Nie wstając, przetoczyłem się, skoczyłem na równe nogi, wydobyłem szablę.

Wydobyć wydobyłem, ale nic więcej nie zdążyłem zrobić, bo ciężki wojskowy but wybił mi ją z dłoni. Odskoczyłem, cudem uciekając przed ostrzem wycelowanej w lewe przedramię finki. Od drugiego pchnięcia, tym razem wymierzonego w prawe biodro, uchroniłem się unikiem, następnie przyjąłem na klingę wyrwanego z pochwy przy pasie noża.

Mój przeciwnik, którego postać rozmazywała się w półmroku za przyczyną ubioru maskującego, zwiększył tempo, więc mogłem zapomnieć o kontratakach.

Odejdźcie, unik, skok, blokowanie...

Nie miałem szans w tej walce, a ten gad bawił się ze mną. Chciał wziąć żywcem? Po co? Nie mogłem ani dopaść karabinu, ani wyjąć pistoletu. A gdybym zaczął uciekać, dorwie mnie, swołocz, i podetnie ścięgna. Kurna, długo tak nie wytrzymam.

Blok, zwód, odskok za pień brzozy, blok, odejdźcie... I znów przed ostrzem pędzącym ku nodze udało mi się umknąć w ostatniej chwili. Dlaczego on zwleka? Mógłby mnie dostać przy odrobinie wysiłku. Czyżby bał się wystawić?

Wreszcie wyczekałem odpowiedniej chwili, przełożyłem nóż do lewej ręki, rzuciłem się do ucieczki, rozpinając kurtkę, Ale o jakim biegu można mówić w lesie? Bez szans. Czasu

starczyło ledwie na to, żeby wyjąć z pętli ostrze do rzucania. Uznałem, że oderwałem się na dostateczną odległość, lewą ręką cisnąłem z półobrotu nóż. Przeciwnik bez trudu uchylił się przed niezbyt udanym rzutem, przechwycił finkę klingą w dół i strzelił mnie pięścią w zęby. W oczach zatańczyły mi gwiazdy, ale prawą ręką zdołałem wsadzić gościowi nóż do rzucania tuż nad sprzączką pasa.

Od ciosu zarzuciło mnie, ale ustałem w odróżnieniu od zaciskającego ręce na ranie wroga. Zdrowy byczek zagonił mnie prawie na śmierć. Miałem szczęście, że nie zasadził się na skalp, ale chciał chyba wziąć jeńca.

Kłęczący mężczyzna - czarne i zielone pasy na twarzy nadawały mu groźny wygląd - nieoczekiwanie jednym ruchem wyrwał nóż z brzucha i otworzył oczy.

O, w mordę! Oczy miał nieżywe! Białe w bieli. Martwiak? Niekoniecznie. Bo co tam martwiakowi nóż w bebechach? Opętany, nie inaczej.

Nawet nie próbowałem brać się za pistolet. Odwróciłem się i rzuciłem do ucieczki. Niech tylko dotrę do Granicy, tam mnie nie dostanie.

Usłyszałem z tyłu trzask gałęzi. Otrząsnął się, gadzina!

W tej chwili opanowało mnie przeczucie, że prześladowca nie jest sam. Nie miałem czasu o tym myśleć, pędząc przez las, przeskakując nad zwalonymi pniami, uchylając się od gałązek, przedzierając przez zarośla. Już zaczęło mi się wydawać, że uciekłem, kiedy ziemia nieoczekiwanie usunęła się spod nóg i koziołkując, stoczyłem się do parowu. Rosnące na stoku krzaki nieco złagodziły upadek, ale uderzenie o zamarznięty śnieg wyparło ze mnie dech. Że też do tej pory jeszcze wszystko tutaj nie stopniało. Ziemia na pewno przyjęłaby mnie o wiele łagodniej.

Nie dałem sobie czasu na odzyskanie oddechu, wstałem i w tym momencie z zasy zaczął wypełzać powoli człowiek. A dokładniej coś przypominającego człowieka. Obok spod śniegu pojawiła się druga para rąk, zaraz za nimi jakiś krzywy łeb. Opiekun, podlec, i tutaj mnie dopadł!

Polazłem w górę parowu, łamiąc sobie paznokcie.

Stanąłem na górze, westchnąłem, zakaszałem, obejrzałem się - z drugiej strony mignęła niewyraźnie plama kamuflażki - i pognałem dalej.

Nie widziałem pościgu, ale z każdą minutą byłem coraz mocniej przekonany, że próbują mnie zagonić w jakieś określone miejsce. Zupełnie jak zwierzę podczas polowania.

Próba zmiany kierunku nie doprowadziła do niczego dobrego - wystrzał zerwał korę z dębu tuż nad moją głową, więc skoczyłem z powrotem. Diabli! Jeśli nic nie wymyślę, koniec ze mną! Nie miałem pojęcia, kim są prześladowcy, ale sądząc po wyposażeniu, mogli

pochodzić z Miasta, a zatem niczego dobrego spodziewać się od nich nie mogłem.

Zanim przyszło mi do głowy cokolwiek pożytecznego, las urwał się, wyskoczyłem na dość sporą polanę, pośrodku której ujrzałem jakieś ruiny. Nie rosły na nich ani drzewa, ani krzaki, a nawet trawa była marna i zwiędła. I te ruiny... Na samym środeczku, jakby rośliny obawiały się do nich zbliżyć.

Nie miałem wyjścia, popędziłem więc w tamtym kierunku. W lesie osaczyliby mnie jak lisa, a w jakiej takiej norze szanse może marne, ale zawsze jakieś będą. Miałem nóż, osiemnaście nabojęw i chciałem przeżyć. To całkiem sporo, żeby tylko zdążyć. Oczekiwanie, że padnie nieunikniony strzał w plecy, dodawało mi skrzydeł bardziej, niż gdyby ktoś zaoferował nagrodę w postaci dwunastu kilogramów złota. Pot zalewał oczy, płuca zdawały się rozrywać, a połamane niegdyś żebra zaczęły przypominać o swojej obecności.

Nic zatem dziwnego, że człowieka, który wyszedł mi na spotkanie, dostrzegłem zbyt późno. Zbyt późno na to, aby skrócić, zbyt późno, aby cokolwiek uczynić. Za późno po prostu...

Zatrzymałem się, obejrzałem do tyłu. Z lasu już bez pośpiechu wyszła nagonka. Wszyscy jak dobierani, rosłe chłopcy w kamuflażu. Dwóch miało śrutówki, jeden automat, a jeszcze dwóch tylko noże. Szli bardzo spokojnie, niczego się nie obawiając. A czego niby mieliby się bać? Mojego pistoletu? Z takiej odległości nie trafiłbym nawet w słonia, a oni mogli mnie w mgnieniu oka nafaszerować ołowiem.

Nie, nie ich musiałem się obawiać. Raczej lodowych golemów... Jeśli tamte stwory wpadły na mój ślad, tych tutaj czekają spore trudności. Chyba że działają razem. Bzdura. To po prostu niemożliwe. Chociaż w tym wypadku też nie wszystko było jasne: właśnie wyszedł na polanę także ten z rozprutymi kiszkami. Na bluzie nie miał nawet śladu krwi.

Odwróciłem się od nich. Nawet nie próbowałem wyjmować spluwy, bo mogłem się spodziewać, że oberwę wtedy w plecy, podszedłem do oczekującego mnie człowieka.

Na pierwszy rzut oka nie odznaczał się niczym szczególnym. Stał, jak jakiś ciołek, w palcie, a dokładniej, w płaszczu. Brudnym płaszczu. Przygarbiony. Ręce trzymał w kieszeniach, twarz ukrył pod kapturem. Stał i na razie nic do mnie nie miał. Właśnie, na razie, bo zbudzona znów w duszy nić wiążąca mnie z nożem wskazywała właśnie na tego gościa. Taka sprawa...

A co mógłbym powiedzieć o tej postaci, korzystając z czarodziejskiego oka? Czy to nie fagasy Mrozu zagnały mnie w pułapkę? Nie, to najzwyczajniejszy człowiek. Nic szczególnego. Zacząłem się już uspokajać, ale nagle aurę nieznanego zaczęła wypełniać czerni.

Aż mnie podrzuciło. Teraz miałem przed sobą niespiesznie pulsującą plamę mgły. Takiej

nieprzeniknionej czarnej aury nie widziałem nawet u Opiekuna Wiedzy. U tamtego migotały przynajmniej jakieś przebłytki błękitu.

Ale to nie było wszystko: z ruin, stopniowo zmieniając kolor z czarnego na przenikliwobłękitny, niespiesznie zaczęły wypływać energetyczne strumienie. W porównaniu z nimi nic znajdująca się w kostnicy Hadesa zdawała się mikra niczym dwużyłowy kabel w porównaniu z całym Laboratorium Elektrodynamiki Materiałów Przewodzących! Wzburzona energia stawała się prawie fizycznie namacalna; gdyby jej dotknąć, rozpyliłaby człowieka na atomy. Linie siłowe oploty gigantyczną pajęczyną całą polanę, sięgając lasu prawie we wszystkich miejscach. Jak mogłem ich nie wyczuć? Zdziwiająca! A przecież czekający na mnie... groźny kawałek mgły stał dokładnie między idącymi równolegle metr nad ziemią nitkami, ale zdawał się tego nie dostrzegać.

- Przyszedłeś. - Głos człowieka w płaszczu okazał się aż do obrzydliwości znajomy. Jakbym słuchał zapisu magnetofonowego. Opiekun też tak mi sęczył słowa do głowy. Bez intonacji. Martwo. Ale dlaczego ten głos taki znajomy? Przecież to nie trzeci...

- Przyszedłem. I co dalej? - Znów spojrzałem na stojących pod lasem naganiaczy, a kiedy ponownie zwróciłem wzrok na człowieka, zamarłem. Tamten odrzucił kaptur i zrozumiałem, iż ze mną nie rozmawiał Opiekun. Ze mną rozmawiał... Rozmawiałem sam ze sobą, tyle że interlokutor miał włosy jak dawniej moje i oczy szafirowe, a nie szare. - Kim jesteście?

- Ja to ty - odparł mój niebieskooki sobowtór i przeciągnął dłonią po twarzy od dołu w górę. - I on.

Co za dowcipy? Teraz martwymi oczami patrzyło na mnie oblicze Krisa. Widać było ślady rozkładu, odmrożone do kości mięso.

- Kim jesteście? - wychrypiałem, z trudem łapiąc powietrze. - Kim?...

- Jestem tym, kogo widzisz. - Jeszcze jedna zmiana twarzy - czy to wszystko maski? - w miejsce Krisa pojawił się próbujący mnie załatwić kiedyś razem z Wyszewem całkiem niczego sobie osiłek. - Ale mam nadzieję stać się tym, kim byłem dawniej, a nawet kimś więcej.

- A kim byliście? - Nie mogłem nie zadać tego pytania, chociaż zaczęły się pojawiać w głowie mętne domysły zaraz po tym, jak spasiony Andriej zmienił się w chudego pomagiera Krisa, który wlepił we mnie niebiesciutkie oczęta.

Tak, teraz już wiedziałem, kto łąził po Forcie z moją gębą. Jednak, kto teraz stał przede mną? Kris? Przecież on nie żył!

Ręka sama popęzła ku kaburze.

Nagle przypomniałem sobie palący chłód rękojści noża, wzdrygnąłem się. Czyżby ten

przedmiot wypijał dusze zabitych przeze mnie ludzi? Dwóch ostatnich faktycznie zarzniętem fatalną klingą, ale jak sam trafiłem do tej kompanii? Czy nóż spijał po trochu moją własną duszę?

Jednak, co w tym wszystkim robił Kris? Przecież nie zginął za sprawą klucza! I dlaczego, w odróżnieniu od pozostałych, wyglądał na stuprocentowego nieboszczyka? Czy to po prostu jego ciało, którym ktoś kierował? A może coś jeszcze innego? Ale co? Sam nóż? Albo...

- Nieważne. - To coś, stając się znów moim sobowtórem, wskazało na ruiny. - Tam na dnie szybu leży trup z nożem w piersi. Przynieś ten nóż.

- Aha, już się rozpędziłem. - Przypomniałem sobie o temperaturze panującej w Czarciej Wyrwie. Niczym przecież innym ten szyb być nie mógł. Zacisnąłem palce na kolbie pistoletu. Jeszcze powalczymy.

- Idź. - Rozkaz przemroził na wskroś moją jaźń.

Bez użycia rytuałów pajac w ubłoconym płaszczu zapanował nad moją wolą. Nic wiążąca mnie z nożem przekształciła się w żelazne okowy.

Prawa ręka puściła spluwę, zwisła bezwładnie, wbrew sobie zrobiłem krok w stronę ruin. A potem jeszcze jeden i jeszcze. Wzrok znów wykonał wolte, pozwalając mi zobaczyć pętające mnie liny cudzej woli. Ciągnęły się także od mojego sobowtóra ku pięciu naganiaczom.

Rozpaczliwe próby odzyskania swobody do niczego nie doprowadziły, sensu miały nie więcej niż usiłowania muchy schwytej w pajęczą sieć. A może i mniej. Ciało po prostu nie zauważyło starań przejęcia nad nim kontroli.

Do Czarciej Wyrwy zostało jeszcze dwadzieścia metrów, kiedy towarzyszący mi sobowtór zatrzymał się zniecka i odwrócił. Moje ciało powtórzyło ten manewr, dzięki czemu mogłem dostrzec przyczynę nagłej zmiany. Z lasu wyskoczyło pięć lodowych golemów.

Gruchnęły strzały ze śrutówek, zaterkotał automat, ale siły okazały się zbyt nierówne. Naganiaczom udało się rozbić tylko jednego stwora, zanim pozostałe przetoczyły się po nich. Cała walka trwała zaledwie kilka sekund, a potem golemy, pozostawiając za sobą zwiędłą trawę oraz plamy zgęstniałej od chłodu krwi, ruszyły w naszą stronę.

Moja twarz spłynęła z sobowtóra na podobieństwo rozmoczonej glinianej maski. Obok mnie stał znów martwy Kris, a pomiędzy jego żeber sterczała znajoma rękojeść. Białe palce położył na szarzielonym kamieniu, ostrze lekko wyszło z przemrożonego ciała, a golemy rozerwały się na drobne kawałki. Drobiniki lodu zawisły na chwilę, a potem powoli spłynęły na ziemię. No, no, niczego sobie nożyk...

Ale wszystko dopiero miało się zacząć. Bo czym były golemy? Tylko lalkami. A oto ich twórca.

Trzeci Opiekun Wiedzy pojawił się jak utkany z powietrza, machnął ręką, a lodowe kruszywo runęło na nas. Po ostrzu noża przeleciał niebieski ogień i lód roztopił się w locie. Kreśląc klingą dziwne figury, trup Krisa ruszył naprzeciw Opiekunowi.

Czując, że czary oplątujące moją jaźń nieco osłabły, postanowiłem wykorzystać tę okoliczność, nie czekać na wynik konfrontacji, ale zwijać się natychmiast. Tylko że nogi jakby przymarzły do ziemi. Diabli! Czary nie osłabły, po prostu część energii została z nich przelana na inny cel. A mnie, jak by to powiedzieć, odjęło dolne kończyny. Co robić?

Czołgać się? Do nocy może zdołam dopełznąć do lasu. A dalej?

Pomysł, który wpadł mi do głowy, w pierwszej chwili wydał się szalony. W drugiej - po prostu pozbawiony sensu. Ale jaki miałem wybór? Którykolwiek z przeciwników odniósłby tutaj zwycięstwo, mnie nie czekało nic dobrego. A tak miałem chociaż marną szansę. Dwa razy jakoś się przecież udało.

Wyciągnąłem rękę, spróbowałem dosięgnąć znajdującej się nie dalej niż półtora metra ode mnie siłowej linii. Nie mogłem. A z drugiej strony? Tutaj też zabrakło trochę, Gównno! Gównno! Gównno!

Tak niedużo brakowało! W desperacji rozłożyłem szeroko ręce, jakbym chciał ogarnąć dwa strumienie naraz. W potylicy odezwała się niska wibracja, blask czystej siły przylgnął do rąk, uderzające z obu stron ładunki energii rzuciły mnie na ziemię.

Oślepiający wybuch i ciemność...

Ocknąłem się w kręgu wypalonego gruntu, przez jakiś czas rozglądałem się oszołomiony, a potem wstałem z trudem i pokuśtykałem do lasu. Szczęśliwie, skuwające mnie czary nie wytrzymały wyładowania, które przeszło przez moje ciało. Nie mniej szczęśliwie przeżyłem ten eksperyment. Cholera, nic sobie nie spaliłem? Palców rąk w ogóle nie czułem. Dobra, potem sprawdzę, teraz najważniejsze to uciec jak najdalej.

Miejsce pojedynku Opiekuna z opętanym przez nóż - a może faktycznie wykorzystującym nóż - Krisem okrywał dym, a w jego gęstych kłębach rozbłyskiwały oślepiająco białe wybuchy. Zajęci walką nie dostrzegli pełznącej ku nim od strony lasu mgły. Cytadela Mrozu powinna pojawić się lada chwila. A to znaczyło, że naprawdę powinienem się spieszyć. Zdepczą mnie jak robaka i nawet nie zauważą. A jak już zauważą...

Poza tym siłowe linie, których dotknąłem, kołysały się na boki coraz mocniej, zbliżając się do siebie nieubłaganie. Bałem się nawet pomyśleć, co nastąpi, kiedy się wreszcie zewrą.

Skierowałem się na prawo od miejsca walki i gęstniejącej mgły, pokulałem między

drzewa. Uciekać, uciekać stąd! Od żywych trupów, noży pożerających dusze, sług Mrozu, od tego całego obłędu... Niech świat ratują bohaterowie - profesjonaliści. Mnie to nie pasuje. Ja chcę tylko dotrzeć do Granicy...

Bieg przez las pamiętam jak przez mgłę. Przypominam sobie tylko, że padałem, ponosiłem się i znów padałem, ale za każdym razem znajdowałem siły, aby powstać i gnać dalej. Z tyłu przez cały czas grzmiało, a jasne błyski przeczesywały las na podobieństwo mocnych reflektorów.

Nie oglądałem się, wkładając wszystkie siły w bieg.

I nawet nie od razu zauważyłem, że las już się skończył, a sięgająca nieba migocząca ściana to Granica.

Wtedy za moimi plecami znów zagrzmiało! Wyrzuciło mnie w powietrze, do przodu, fala uderzeniowa powlokła bezwładne ciało parę metrów po ziemi.

Ten wybuch...

Wstałem na czworakach, potrząsnąłem głową, spojrzałem na zwalony las. Gdzieś daleko z tyłu - zapewne nad Czarcią Wyrwą - skwierczały oślepiające błyskawice, a w niebo wzbijał się obłok pyłu. Dobrze chociaż, że nie w kształcie grzyba...

Kolana nijak nie chciały się zginać, ale przemogłem się i nie zwracając uwagi na ból ogarniający całe ciało, poszedłem ku Granicy.

Krok. I drugi.

Krok. I jeszcze jeden. Krok. I...

EPILOG

Ciepło - gorąco, ciepło - gorąco...

Leniwie płynące po niebie obłoki na krótko zasłaniały stojące w zenicie słońce i po minucie, najwyżej dwóch, znów zaczynało entuzjastycznie szczerzyć się prosto w moją twarz.

Ciepło - gorąco...

Leżałem na ziemi z zamkniętymi oczami i bałem się poruszyć, żeby nie spłoszyć ogarniającego mnie ciepła. Potem uznałem, że to jednak nie sen, wstałem więc, usiadłem na kępie trawy i umyłem się w kałuży.

Gdzie mnie zaniósło tym razem? Jak to gdzie? Do domu. To nie Przygranicze, ale normalny świat. Mój świat. Tutaj nawet stęchła woda z kałuży pachnie inaczej. I niebo ma cieplejszy odcień. I trawa nie połyskuje niebieskawo. I kwiaty... A najważniejsze, że w powietrzu nie unosi się ten wieczny posmak zimna, który na Przygraniczu czuć nawet w najbardziej upalne dni. I przestrzeń nie jest nasączona magiczną energią. Zupełnie. Ani na pół karata. Jakieś to nawet obce, okazuje się, że już do niej przywykłem. Zżyłem się. Bez czarodziejskiego widzenia wcale nie było tak przyjemnie.

To drobiazg, bzdura! Przeżyję bez tego! Wcześniej jakoś sobie radziłem. To za mało, żeby tęsknić za tym, co zostawiłem po tamtej stronie. Stanowczo za mało.

Gdzieś w oddali zadudnił pociąg i mało nie podskoczyłem z zachwytu. Może bym zresztą i podskoczył, gdyby wszystko tak nie bolało. Nic to, nogi i ręce na miejscu, głowa też nigdzie się nie zapodziała, a reszta jakoś się zagoi.

Witaj, nowe stare życie!

Pogwizdując cichutko, zacząłem sprawdzać zawartość kieszeni. Paszport i dolary trzeba odłożyć. Pistolet? Nie mogę go przecież wziąć ze sobą! W kałużę go, w kałużę! A kaburę w krzaki. Patrontasz także. Nóż dobrze byłoby sobie zostawić, ale po co mi taki fant? I tak wyglądam jak lump, każdy patrol będzie mnie rewidował. Do kałuży.

A to co? Rozkaz o przeniesieniu do Drużyny, blacha, pozwolenie na broń, karta medyczna i zapiski konduktora. Odznakę cisnąłem w błoto, które bulknęło z zadowoleniem,

wyjąłem zapalnik, potarłem drewnienko o draskę i podniosłem drżący ogienek do kartek. Na ziemię opadł popiół, natychmiast porwał go wiatr. Jak wszystko na tym świecie...

Wszystko albo i nie wszystko. Tu mam pudełko.

A w pudełku cyferki. I nie są to zwyczajne cyferki. W samej rzeczy nie takie zwyczajne - to klucz do odcinających mnie od przeszłości drzwi. Wystarczy tylko zadzwonić. Po prostu wykręcić ósemkę, a potem dziesięć cyfr. Cóż może być prostszego?

I co z tobą zrobić, przyjacielu? Przecież nie wolno cię tak zostawić. Absolutnie nie wolno. Złamię się przecież. Napiję się i złamię. Nie z powodu forsy, bo kto mi tam co zapłaci? To bajeczki dla głupców. I nie dlatego, że wziąłem zadatek. Nie, zadzwonię po pijanemu, kiedy ogarnie mnie żal. A ogarnie na pewno. Nie tak od razu, trochę później. Zbyt wiele tam zostawiłem. Zbyt wiele...

Pudełko zapaliło się niechętnie, obracałem je w palcach, ile mogłem, a kiedy zaczęło parzyć, rzuciłem resztkę w kałużę, roztarłem podeszwą. Teraz już wszystko jasne.

W oddali znów zadudnił pociąg.

KONIEC